

ANETA JADOWSKA
DENAT
WIECZOROWA
PORA



DENAT WIECZOROWĄ PORĄ

Droga Czytelniczko i drogi Czytelniku,

Garstki z Ustki to seria równie zmienna jak pogoda nad Bałtykiem, miasteczko nadmorskie o różnych porach roku albo pensjonat przed sezonem, w trakcie sezonu i po sezonie. Zróżnicowana, jak różne są jej bohaterki: Magda, Tamara i Maria.

Każda z nich przychodzi z własną historią i poniekąd własnym sposobem jej opowiadania, a w konsekwencji – własnym gatunkiem. *Trup na plaży i inne sekrety rodzinne* to historia Magdy, która ewidentnie ma ciągoty w stronę komedii kryminalnej, choć nie stroni też od poważniejszych tematów. *Martwy sezon* Tamary to rzecz bardziej obyczajowa, z elementami romansu i wątkiem kryminalnym. *W Denacie wieczorową porą*, opowieści Marii, mamy zagadkę zamkniętego pokoju, trochę mojego umiłowania do Agathy Christie i humor, który wnosi Anielą Grzebałko. Pewne rzeczy mogą się Marii przytrafić tylko z Anielą u boku.

Garstki z Ustki to seria i nie seria zarazem. Możesz czytać każdą z tych powieści osobno. Możesz włączyć się do historii w dowolnym momencie, a później nadrobić poprzednie tomy – lub nie, jeśli wystarczy Ci jeden element układanki. Każda z powieści jest zamkniętą całością, żaden cliffhanger nie zepsuje przyjemności lektury.

Zawsze jesteście mile widziani w Ustce, w pensjonacie Garstek i w ich historiach.

Bawcie się dobrze, odkrywając sekrety i trupy w szafach.



ANETA JADOWSKA

DENAT
WIECZOROWA
PORA

Kraków 2021

ROZDZIAŁ 1

Maria nie myślała o sobie jako o niewolnicy nawyków, a jednak miała swoje małe rytuały. Na przykład niezależnie od pory roku ani tego, czy czekał ją dzień pracowity, czy też wolny od zajęć (to ostatnie właściwie się nie zdarzało), wstawała sporo przed szóstą. Nastawiała mały ekspres przelewowy, który ze trzydzieści lat wcześniej podarował jej na urodziny syn, ubierała się adekwatnie do pogody i wychodziła z domu.

Schodziła kilka stopni zewnętrzną klatką schodową, która prowadziła tylko do jej mieszkania oraz drugiego, znajdującego się wyżej. Przez lata stało puste, ale teraz mieszkała w nim jej wnuczka. Drewniane stopnie były dosyć wąskie i wytarte, choć, jak cała dobudowana oficyna, liczyły dobre sto lat mniej niż szachulcowy dom, w którym mieścił się pensjonat – Wielka Niedźwiedzica. Jeden z wielu, jakie Ustka miała do zaoferowania turystom, ale w subiektywnym odczuciu Marii najlepszy i wyjątkowy.

Może dlatego nie szła dalej, do pobliskiego portu, gdzie przecież mogła sięść na wygodnej ławce, tylko wyciągała zza doniczki, w której latem kwitły pelargonie, a teraz tkwiły podsuszone łądźki przekwitłych wrzosów, składaną matę ogrodniczą – jedną z tych, na których ludzie kłęczą, wrywając chwasty z grządek. Maria układała ją na stopniu i siadała. Z pierwszą kawą i pierwszym papierosem, by, jak to lubiła nazywać, pomyśleć i poukładać sobie to i owo. Robiła tak od prawie pięćdziesięciu lat i nie widziała powodu, by po siedemdziesiątce zmieniać ten nawyk. (Wyjątkiem były papierosy: te starała się rzucić, nawet z pewnymi sukcesami, ale potem stres popychał ją do kupna jeszcze jednej, już na pewno ostatniej paczki).

Nawet zimą nie rezygnowała ze swojego rytuału. Po prostu ubierała się ciepłej. Zwykle przed siódmą było jeszcze szaro i ciemnawo – zwłaszcza na jej podwórku-studni, gdzie słońce docierało z oporami – ale w tym roku przestrzeń ozdobiła wnuczka Magda, wraz ze swoją szaloną ciotką Tamarą. Obie najwyraźniej miały fioła na punkcie dekoracji świątecznych. Wcześniej wynajmowane łódzkie mieszkanko raczej nie dawało pola do popisu, dlatego teraz rozwijały skrzydła, z których osypywał się anielski włos i brokat oraz zwieszały się sznury światełek. Udekorowały cały pensjonat i mieszkanie Magdy, a gdy w budynku zabrakło miejsca na kolejne dekoracje, wylały to morze czerwieni, złota i błyskotek za próg.

Właśnie dlatego zewnętrzne schody oblewała delikatna, tęczaowa poświata przyczepionych do balustrady lampek, a każdy, nawet najmniejszy iglak spośród dziesięciu rosnących w cementowych

donicach zmienił się w małą choinkę, upiękzoną barwnymi żaróweczkami, złożonymi szyszkami, aniołkami i złotą gwiazdką na szczycie. Magda wyznawała zasadę: „Wszystko dekorować, niczego nie oszczędzać”, więc każda szyba została spryskana sztucznym szronem, a każdą framugę zdobiła kępka jemioli.

Maria kręciła głową, musiała jednak przyznać, że ogromnie jej się to podoba. Zapomniała już, jak wesołe i piękne mogą być święta Bożego Narodzenia. Kiedy więc wychodziła rano na papierosa, kawę i rutynowe rozmyślenia, cieszyła się tymi światełkami, kolorami oraz spontanicznym szaleństwem, które wtargnęło w jej życie wraz z powrotem Magdy, a wkrótce potem – zacumowaniem w ich porcie Tamary.

Sama chętnie uległa temu wariactwu świątecznemu i zgodziła się na przykład, aby na ostatni tydzień grudnia i pierwszy tydzień stycznia zarezerwować pensjonat wyłącznie dla bliskich i przyjaciół. To też był pomysł Magdy.

– Warto naładować baterie miłością – oświadczyła wnuczka, przedstawiając jej plan.

Udało się, bez wątpienia...

Maria zdawała sobie sprawę, że jako siedemdziesięciolatka powinna być rozsądniejsza, bo kiedyś zapewne przyjdzie dzień, w którym jej stare kości odmówią posłuszeństwa i nie zdoła bez pomocy wstać z drewnianego stopnia, ale to jeszcze nie był ten moment. O giętkość jej ciała troszczyła się zresztą przyjaciółka Aniela, która wynajdywała dla nich obu zajęcia jogi dla seniorów, lekcje tańca brzucha czy tańców latynoamerykańskich (choć rumba okazała się zbyt dużym wyzwaniem dla biodra Marii).

Przez lata samotne poranki stanowiły jedyny czas, jaki Maria Garstka mogła wykroić wyłącznie dla siebie. Jej mąż Bolesław zwykle spał dłużej, zwłaszcza jeśli popił wieczorem, a o świcie nie musiał wypływać w morze. Wolała być poza domem, poza zasięgiem jego rąk, kiedy wstawał z łóżka skacowany, w podłym nastroju, rozdrażniony, co z upływem lat tylko się nasilało. Odreagowywał na niej, zostawiając ślady na jej ciele. Może zresztą stanowiło to dla niego część małżeńskich atrakcji.

Śmieszyło go, jak bardzo starała się ukryć te siniaki. Nosila bluzki z długim rękawem nawet w największe upały. I apaszki. Zakładała je tak często, że jej synowie, przekonani, że je uwielbia, co roku obdarowywali ją kolejnymi na urodziny czy święta. Miała ich cholernie wiele i żadnej nie lubiła. Wzdrygnęła się na samo wspomnienie, a jej dłoń odruchowo powędrowała do odsłoniętej szyi. Nigdy więcej żadnych apaszek.

Bolesław nie żył już od prawie dwóch lat. Zniknął któregoś wieczoru, zostawiając ją z poczuciem winy i wstydu. Zginął na morzu. Chyba

jeszcze nie całkiem do tego przywykła, nie przyswoiła tej nowej wolności. Mogłaby pospać i nie musiała już szukać spokoju poza domem. Siła nawyku.

Tylko gdyby nie wstawiała rano, kto karmiłby Włóczykija? Uśmiechnęła się, gasząc niedopałek w słoiczku po konfiturze, ukrytym za doniczką z suchym wrzosem. W kącie podwórka, między szopką na narzędzia a donicą ze świątecznie udekorowaną tują, w migającym świetle różowych lampek dostrzegła ruch. Przez chwilę czuła się obserwowana. Wreszcie dzikus wyszedł ze swojej kryjówki i ostrożnie, powoli, przemaszerował przez podwórko. Przyspieszył lekko dopiero, kiedy poczuł zapach karmy. Z łososiem. Jemu pewnie było wszystko jedno, ale jej wydawało się, że rybna smakuje mu bardziej. Przypadał do miski i jadł z głośnym mlaskaniem.

Nie należał do niej. Nie należał chyba do nikogo, nie tylko teraz, ale i kiedykolwiek. Emanował typową dla zwierząt ulicy nieufnością wobec ludzi. Musiał mieć przynajmniej sześć lat, bo dyskretnie dokarmiała go od pięciu. Gdy przyszedł tu pierwszy raz, był już dorosły, choć mniejszy niż dziś – czarny kocur z białymi skarpetkami i długą, nieco zmatowiałą sierścią, teraz zagęszczoną na zimę dodatkową warstwą podszerstka.

Na początku nie ruszał jedzenia, dopóki nie weszła do domu. Dopiero po roku osvajania i dokarmiania pozwolił się dotknąć. Chyba nigdy nie będzie ufnym przytulaszem, ale dziś, gdy zjadł, zrobił kilka kroczków w stronę Marii i otarł się o słupek ledwie metr od niej, zostawiając swój zapach. Uśmiechnęła się do niego z czułością. Nie potrafiłaby tego wytłumaczyć słowami, ale miała wrażenie, że ona i ten kocur są w jakiś sposób do siebie podobni, co dziwnie ją wzruszało.

Zawsze pragnęła mieć kota. Mężczyznom, którzy decydowali o jej życiu – najpierw ojcu, a potem Bolkowi – nie mieściło się to w głowie. Niechęć do kotów to jedna z niewielu kwestii, w których byli zgodni. Ojciec na pewno nie skrzywdziłby kociaka, ale w domu zawsze były psy. W przypadku Bolesława nie miała pewności, czy nie wyładowałyby się na zwierzęciu.

Kot, który nie wiedział nawet, że nazywała go Włóczykijem, miauknął na nią skrzekliwie, jakby przypominając, że Bolka już nie ma. Już nie musi się usztywniać na samą myśl o nim. Musiała to sobie uświadamiać kilka razy dziennie. A czasem i nocą, kiedy budziła się z koszmaru. Ten strach przed jego niezadowoleniem, przed choćby minimalnym uchybieniem jego wymaganiom, utrwał się w niej latami i nigdy do końca nie zniknął. Mimo to wierzyła, że to się zmieni – kiedyś.

Powietrze pachniało śniegiem. Nawet nie znając prognozy pogody, Maria wiedziała, że spadnie dziś, najpóźniej w nocy. Wszyscy liczyli na białe święta, ale musiały im wystarczyć szara breja i kałuże z dwóch centymetrów śniegu, które spadły dwudziestego trzeciego grudnia tylko

po to, by w kilka godzin się rozpuścić. Przewrotna Matka Natura nie uzależniała swoich działań od ludzkich oczekiwań. I dobrze.

Sygnal komórki zaskoczył Marię i chwilę zabrakło jej wymacanie telefonu w kieszeni dużej, puchowej kurtki. Dochodziła siódma. Serce jej się ścisnęło na myśl, że to jakaś awaryjna sytuacja związana z Przystanią, że ktoś pilnie potrzebuje pomocy. Zdarzało się już, że dla kobiet będących ofiarami przemocy domowej święta w rodzinnym gronie były ostatnią kroplą przepełniającą czarę...

Tym razem jednak na ekranie wyświetlała się uśmiechnięta twarz Anieli. Magda nazywała ją wróżką – z różowymi włosami i kolorowymi cieniami do powiek przyjaciółka Marii była jak eksplozja wiosny.

– Musisz mnie dziś uratować – powiedziała na powitanie.

– Powiedz tylko, przed czym, żebyś wiedziała, czy wystarczy kij hokejowy Magdy, czy mam ukraść synowi pistolet – odparła Maria.

Lekkim tonem zamaskowała echo niedawnych emocji, wywołanych przez bolesne wspomnienia. Aniela miała ucho do takich rzeczy.

– Kocham moją córkę, wnuka uwielbiam, nawet zięć mi nie przeszkadza, ale jeśli będę musiała spędzić z nimi jeszcze dzień, oszaleję. Albo gorzej: zestarzeję się. Będę dokładnie taka stara i niedołężna, za jaką mnie biorą. To będzie koszmarnie, zobaczysz! – Aniela mówiła szeptem, pewnie dzwoniła z łazienki, jak kilka razy w ostatnich dniach.

– Martwią się o ciebie. Przewróciłaś się, mocno potłukłaś, mogłaś złamać biodro – przypomniała jej Maria. Usłyszała przeciągłe westchnienie.

Aniela była jedną z ofiar tego śliskiego przedświątecznego błocka. Poślizgnęła się na schodach, runęła i na kilka minut straciła przytomność. Potem nie mogła wstać. Sąsiedzi wezwali pogotowie, które przewiozło ją na ostry dyżur do ślupskiego szpitala. Badania RTG, USG, a nawet MRI nie wykazały poważniejszych obrażeń, poza obitym biodrem, mnóstwem siniaków i guzem na potylicy. Rodzina Anieli błyskawicznie zjawiała się w szpitalu, zatroskana jak stado kwok. Córka i zięć zabrali ją do swego dużego i bez wątplenia wygodnego mieszkania w eleganckim bloku. I troszczyli się na potęgę.

– Maryniu, oni zaczynają pieprzyć o domu opieki, bo jestem, widzisz, niesamodzielną! I mogłam zginąć! Jakbym w domu opieki nie mogła się poślizgnąć na schodach! Mam siedemdziesiąt lat, do cholery! A oni traktują mnie, jakbym miała dziewięćdziesiąt siedem, a rozumu tyle, ile trzylatek. – Aniela podniosła głos. – Jeśli stąd nie wyjadę jeszcze dziś, stracę szacunek dla mojej rodziny i miną miesiące, zanim im wybaczę, że w ogóle wyskoczyli z takim planem!

– Przyjechać po ciebie do Słupska? – zapytała Maria.

– Wystarczy, że mnie odbierzesz z przystanku. Przekupiłam wnuka,

więc zawiezie mnie na autobus, zanim jego matka zauważy. Ale mam ze sobą walizkę i... No wiesz, trochę mnie jeszcze to biodro boli, więc nie zataszczę jej do domu...

– O której przyjedziesz?

– Tym po jedenastej. Nie wytrzymam ani chwili dłużej.

– Nic się nie martw, Anielko, odsiecz nadejdzie.

– Zaraz wychodzę! Żyję i nie zemdlałam w wannie! – wrzasnęła Aniela i zupełnie nie brzmiała przy tym jak słodka wróżka i eksplozja wiosny. Ścisłym głosem zwróciła się do Marii: – Przypomnij mi, proszę, że ich kocham i że to tylko kilka godzin.

– Kochasz ich i za kilka godzin będziesz w swoim domu.

– No i pięknie – odpowiedziała i się rozłączyła.

Maria schowała telefon do kieszeni. Włóczył się gdzieś zniknął, a ona musiała przygotować śniadanie dla gości pensjonatu, ostatnich na jakiś czas. Zawsze między trzecim a piętnastym stycznia Wielka Niedźwiedzica miała małą przerwę. Na końcowe dwa tygodnie grudnia i Nowy Rok pensjonat miał pełne obłożenie. Teraz pustoszał – większość przyjaciół i członków rodziny wyjechała wczoraj, dziś zniknie ostatnia czwórka i będzie trochę spokoju. Maria posprząta i odpocznie.

*

Przygotowania do śniadania zajęły Marii tylko pół godziny. Wszystko szło sprawnie, a ona pracowała w pensjonacie właściwie całe swoje życie. Zanim została jego właścicielką, rodzina wynajmowała pokoje letnikom. Była trzecim pokoleniem, które się tym trudniło. Jej synowie wybrali pracę w policji, ale może Magda będzie za jakiś czas kontynuowała tradycję? Lubiła ludzi, miała anielską cierpliwość do gości, a jej ducha nie złamały nawet martwy sezon i zima. Maria każdego dnia dziękowała losowi, że odważyła się pojechać do Łodzi i zaprosić wnuczkę z powrotem do Ustki.

Dziewczyna miała wszelkie powody, by odrzucić zaproszenie, odwrócić się na pięcie i zostawić babcię samą w wielkiej auli. Maria zresztą nie potrafiłaby jej za to winić. Zdradziła zaufanie dziecka, właściwie porzuciła małą po śmierci jej ojca. Nie była jednak w stanie się nią zająć – nie z Bolkiem, który na samą myśl o dziecku w domu dostawał piany większej niż na myśl o kocie... Maria odepchnęła od siebie złe wspomnienia. Szkoda, że nie można ich zamknąć w szczelnym pudełku i wrzucić do morza, by nigdy więcej nie wracały.

Magda zeszła zaraz po śniadaniu i zaczęła sprzątać ze stolików. Maria delikatnie wepchnęła dziewczynę do kuchni i zapytała:

– Może sama coś zjesz, panienko?

Jej wnuczka w samo południe zaczynała zmianę jako kelnerka w kawiarni Vincent i Maria wiedziała aż za dobrze, że do osiemnastej

będzie miała mało czasu, aby cokolwiek zjeść. Zima nie zniechęcała fanów najlepszych w mieście ciast, krówek i dobrej kawy.

Magda wyszczerzyła się i porwała muffinkę z patery. Maria upiekła je tego ranka, więc wciąż były lekko ciepłe.

– Tylko jeśli siądziesz ze mną – odpowiedziała dziewczyna.

Aż trudno uwierzyć, że skończyła dwadzieścia trzy lata, pomyślała Maria. Z tym szelmowskim uśmiechem, w swetrze ze świątecznym reniferem na piersi, wyglądała jak nastolatka. Miała wielkie czarne oczyska, a delikatnie kręcone ciemne włosy domagały się grzebienia. Była tak podobna do swojej mamy, Mileny – mała, piękna i pełna energii. Ale kiedy się uśmiechała, natychmiast przypominała Marii o starszym synu, który zmarł tak nagle i osierocił dziewczynkę kilka lat po tym, jak straciła matkę. Ten uśmiech zawsze dźgał ją prosto w serce.

Z tych sentymentalnych myśli wyrwało ją pukanie do drzwi.

Ludwiczka pamiętała, odkąd w pieluchach biegał po plaży. Teraz stało przed nią wielkie chłopisko o zaczerwienionych od mrozu policzkach, kulące się w służbowym uniformie. Ludwik podał jej plik listów, podpisała pokwitowanie, a gdy zauważyła jego tęskne spojrzenie, podsunęła mu paterę z pozostałymi muffinkami. Tym samym tradycji dokarmiania listonoszy przez emerytów stało się zadość.

Właśnie dlatego nie wyobrażała sobie, że mogłaby wyjechać z Ustki, zamieszkać gdzie indziej. Nigdy nie przestała widzieć w niej małego, rybackiego miasteczka, które owszem, rozrastało się i coraz gęściej zaludniało, ale nie traciło swojego charakteru. Jak żyć w mieście, w którym nie znasz sąsiadów albo nie masz pojęcia, z czym zмага się twój listonosz? Nie potrafiłaby, jak Tamara, wędrować przez świat, pozbawiona korzeni, bez kotwicy wrośniętej w dno morza. Stabilność dawała jej otuchę nawet w najgorszych chwilach.

Przez moment stała przy drzwiach i przeglądała koperty. Kilka rachunków, polecony z sądu – pewnie znów informacja o przełożeniu rozprawy, na której miały zeznawać: Magda jako poszkodowana, ona jako świadek. Kiedy zaczął się proces gnoja, który przez lata maltretował żonę, a potem przyjechał tu za nią i pobił Magdę, były przekonane, że to nie potrwa długo. Jedna rozprawa, wyrok – o czym tu dyskutować? Policja dysponowała nagraniem audio całego zajścia, bo Magda sprytnie zadzwoniła do wuja policjanta, kiedy poczuła się zagrożona. Nadzieje okazały się płonne, gdyż w piśmie informowano o drugiej już zmianie terminu. Łajdak miał cwanego prawnika i bezczelnie się migał.

Jedna z kopert różniła się od innych – była z grubszego papieru w zielonym, świątecznym kolorze, dość ciężka, z wykaligrafowanym pieczołowicie adresem...

Maria nie mogła oddychać. Żołądek ścisnął jej się jak pięść, trzymające kopertę dłonie drżały.

– Wszystko dobrze? – zapytała Magda, na szczęście skoncentrowana na nalewaniu sobie kawy.

– Tak, oczywiście. Jak to poczta, same rachunki i reklamy – odparła Maria z udawaną beztroską. Schowała kopertę pod stosik korespondencji i wepchnęła go do szuflady pod blatem stołu, a potem poprawiła serwetę w pingwinki i bałwanki. Jakby mogły zaplombować tę puszkę Pandory.

Nie mogła uwierzyć, że była tak nieostrożna. Ostatni list przyszedł przed świętami, dwudziestego grudnia, prawie o nim zapomniała... Najwyraźniej jednak szantażysta nie zapomniał o niej.

Choć czy właściwie mogła to nazwać szantażem? Owszem, przychodzące co kilka miesięcy lub tygodni listy były podłe i dźgały ją w samo serce jak rozpalony pogrzebacz, ale ten, kto je wysyłał, niczego nie żądał, nie domagał się pieniędzy, nie stawiał ultimatum. Przypominał tylko, że wie, czego się dopuściła. I że przyjdzie czas, gdy dowiedzą się inni, także ci, których kocha. Straci wtedy wszystko, co ma dla niej znaczenie, w tym szacunek rodziny i przyjaciół. Ludzie wierzyli, że Maria jest miłą, łagodną kobietą o złotym sercu. On jeden, tajemniczy nadawca, twierdził, że zna prawdę. Kimkolwiek był, przypominał, że żadne kłamstwo nie jest wieczne.

Maria poczuła duszności, potarła więc odruchowo mostek, a jej głowa stała się dziwnie lekka, jakby zamiast niej miała na ramionach wypełniony helem balon.

– Możesz wymeldować ostatnich gości? – zwróciła się do wnuczki. – Pani Karolina zapowiedziała, że przed dziesiątą muszą być już w drodze. Anielka dzwoniła, prosiła, żebym odebrała ją z przystanku.

Musiała wyjść z domu, zaczerpnąć świeżego powietrza. Magda nie mogła się o niczym dowiedzieć, bo wtedy – Maria nie wątpiła, że tak właśnie się stanie – te okropności z listów się ziszczą.

– Jasne, mogę dziś przyjść nawet przed trzynastą, Nika wisi mi godzinkę, zostałam za nią dłużej w sylwestra – odparła dziewczyna i wyciągnęła komórkę, by wysłać wiadomość koleżance z pracy.

Maria wypadła z kuchni, jakby się paliło.

Kiedy za seniorką rodu Garstków trzasnęły drzwi, Magda wpatrzyła się w nie podejrzliwie. Coś było nie tak. Starła się dawać babci przestrzeń i nie wściubiać nosa w nie swoje sprawy, ale... No właśnie. Ostatnim razem, kiedy Maria miała przed nią tajemnice i cały czas chodziła jak struta, okazało się, że jest na granicy utraty pensjonatu i dorobku życia. Wtedy także nerwowo reagowała na listonosza i chowała przed nią ponagląjące pisma z banku. Dlatego Magda czuła się nieco usprawiedliwiona, a na pewno rozgrzeszona, kiedy wysunęła szufladę i wyciągnęła spomiędzy szpargałów plik korespondencji. Odłożyła na bok wyciągi i rachunki oraz opieczętowany, obklejony

pocztowymi paskami list polecony z sądu. To nie one tak babcię zdenerwowały.

Sięgnęła po zieloną kopertę. Adres wypisano ładnym charakterem pisma i nietypowym atramentem w kolorze lekko połyskującego burgunda. Spojrzała pod światło i dostrzegła jakby drobinki brokatu czy złota połyskujące delikatnie w każdej literze.

Zważyła przesyłkę w dłoniach. Ciężka, ale nie bardzo. Wagę zwiększał raczej gruby papier, nie bomba... Trójkątne zamknięcie na odwrocie było przyklejone tylko na czubku. Pewnie nie powinna tego robić, ale... Gdyby delikatnie podważyła go nożem...

Zanim zdołała to sobie wyperswadować, trzymała kopertę nad parującą filiżanką kawy. Trzy sekundy później klej puścił.

Magda, przysięgając sobie, że tylko zerknie, a potem zaklei kopertę i schowa z powrotem do szuflady, zajrzała do środka. Nie tego się spodziewała...

ROZDZIAŁ 2

Ręce jej się trzęsły, z trudem przekreśliła kluczyk w stacyjce. Nie widziała rozświetlonych świątecznych dekoracji w oknach sklepów i na ulicy. Miała wrażenie, że jedzie w ciemnym tunelu. Prawie zahaczyła o betonowy kwietnik odgradzający ulicę od chodnika. Nie potrafiłaby nawet powiedzieć, którą ulicą tu dojechała, gdzie skręciła... Ocknęła się, siedząc w zaparkowanym tuż za lodziarnią aucie. Kurczowo ścisnęła kierownicę i oddychała nienaturalnie szybko. Wciąż czuła galopujące serce i ściśnięty ze stresu żołądek.

Spanikowała. Mogła się do tego przyznać przed samą sobą. Wyjeżdżając, nie spojrzała na zegarek, a teraz sobie poczeka, bo autobus przyjedzie dopiero za czterdzieści siedem minut. Jeszcze nawet nie wyjechał ze Słupska. Genialnie, Mario. W całym tym zamęcie odruchowo chwyciła torebkę, ale nie zabrała kurtki i teraz była zdana na ogrzewanie w małym, starym samochodzie. Do tego czuła, jak napięciowy ból głowy rozpełza się od potylicy w stronę skroni. Jeśli dotrze do oczodołów, migrena wyłączy ją z życia na dobę, może dłużej. Klnąc, przeszukiwała torebkę, schówek na rękawiczki i kieszeń w drzwiach auta, gdzie czasami wozila potrzebne rzeczy, ale jak na złość nie znalazła choćby pół paracetamolu.

Czemu aż tak ją poruszył ten list? Nie pierwszy i zapewne nie ostatni... Uzbierała ich przez dwa lata pewnie ponad dwadzieścia. Część zniszczyła, część trzymała w domu, jak wyrzut sumienia... Ale od dawna już nie reagowała na nie tak, jak dziś. Co się zmieniło? – myślała gorączkowo. Przecież nawet go nie przeczytała...

Czy to obecność Magdy w kuchni wszystko pogorszyła? A może winne były święta, sylwester i Nowy Rok, czas pełen spokoju i radości? Maria spędziła kilka dni w towarzystwie bliskich, w kompletnym oderwaniu od tego zagmatwania, które nosiła w sobie, a o którym szantażysta nie dawał jej zapomnieć... Patrzyła na syna Marka i jego żonę Anię, na wnuczki – Monikę z mężem i Madzię z jej chłopcem – na Tamarę z Czarkiem, i czuła, że serce wypełnia jej spokój. Były też Anastazja i Helena, dwie z Ptaszyn. Obie w znacznie lepszym stanie, niż kiedy tu trafiły. To był taki dobry czas, najlepszy w życiu Marii. Prawie uwierzyła, że tak już może pozostać.

W tym wszystkim niemal zapomniała o swoich grzechach, winie i karze, która wisiała nad jej głową jak miecz Damoklesa. Musiało tak być. Całe życie trzymała ją w pionie wiara w sprawiedliwość. W to, że prędzej czy później łaska pańska policzy i odda każdemu wedle zasług i wedle win. Skoro wierzyła, że Ptaszyny zasługują na lepsze życie po

piekle, które przeszły, a ci, którzy je krzywdzili – na karę... Jak mogła zrobić wyjątek dla siebie?

Poruszyła głową na prawo i lewo, naciągając pospinane mięśnie szyi. Palcami uciskała podstawę czaszki i skronie, ale ból nie ustępował.

– Cholera jasna – wymamrotała, spojrzawszy na zegarek. Czterdzieści trzy minuty. Za to pulsowanie w skroni zbliżało się do oka. Potrzebowała tabletki i czegoś z kofeiną do popicia. Samo nie minie. Już teraz słyszała swój głos jakby zza kurtyny wody.

Wysiadła i jak zwykle nie zawracała sobie głowy zamykaniem drzwi na klucz. Jej auto było zbyt stare i zbyt nadgryzione rdzą, by ktoś się na nie połakomił.

– To tylko dwadzieścia metrów – szeptała, idąc przez ulicę do sklepu monopolowego na rogu. Jeśli sprzedawali alkohol, i to całodobowo, pewnie mieli też coś, co pomaga na ból głowy.

Pchnęła drzwi, potrącając wiszący nad nimi żeliwny dzwonek. Aż się skrzywiła na donośny odgłos. Jak automat podeszła do nieczynnej kasy, przy której stał mały ekspozytor. Zdjęła z niego pudełko tabletek, a z półki obok butelkę napoju z rubasznym świętym Mikołajem na etykiecie. Z ulgą podeszła do drugiej kasy, mijając ustawiony na podłodze tor przeszkód ze skrzynek z piwem i ostatnich sztuk sylwestrowego szampana ułożonych w piramidę na samym środku sklepu. Trzymały się jedynie na choinkowe łańcuchy i słowo honoru.

Zapłaciła i chciała wyjść, ale...

Tylko własnym zaaferowaniem i osłabieniem czujności mogła wytłumaczyć to, że dała się podejść, że nie zauważyła ich od razu. Teraz było za późno. Zamarła, niepewna, czy już ją dostrzegli, czy może byli zbyt pijani, aby zwracać uwagę na drobne starsze kobiety ubrane za lekko jak na styczniowy poranek.

Jeśli Maria miałyby wskazać wrzód na dupie swojego istnienia, byłyby to bez wątpienia Alojz Zyśko. Sto osiemdziesiąt centymetrów wściekłości i procentów. Nalana, zaczerwieniona twarz i sinawy kulfoniasty nos zdradzały jego umiłowanie trunków nie gorzej niż alkomat. W rozpiętym oliwkowym sztormiaku, wełnianym swetrze, wypchanych na kolanach spodniach i ciężkich roboczych butach naprawdę zasługiwał na przydomek, jaki nadała mu Magda: Duch Minionych Połowów. Ten alkoholik, frustrat i furiat regularnie zamieniał życie Marii w piekło – pełen roszczeń pogrywał przez jakiś czas na jej poczuciu winy i bezprawnie wyciągał od niej pieniądze.

Nic mu nie była winna. Udziały w kutrze, na którym pracował z jej mężem, dawno przepił i przegrał w karty. Kuter nigdy do Marii nie należał, więc po śmierci Bolka to nie ona na nim skorzystała. Kiedy się pobierali, jej ojciec nalegał na intercyzę. Zmieniony na pensjonat dom miał należeć wyłącznie do niej, mogła go przepisać na swoje dzieci czy

wnuki. Kuter rybacki Bolek i jego brat Anatol odziedziczyli po ojcu, ona nie miała w nim żadnego udziału. Właścicielem kutra został Anatol i jeśli cokolwiek był winien Alojzemu, pewnie spłacił dług co do grosza, ale kasa nigdy się nie trzymała tego łajdaka. Więc teraz nachodził ją, Marię. Klął, wrzeszczał, zastraszał. Aż powiedziała: „Dość”.

Musiała załatwić tę sprawę przed sprowadzeniem Magdy do Ustki. Woląca oszczędzić dziewczynie pijackich najść Alojza i jego bełkotliwych oskarżeń. Nie do końca jej się to udało – Alojz zaczął bowiem nagabywać Magdę, wyzywał ją i obwiniał o to, że przez nią Maria zhardziała i przestała ulegać jego roszczeniom. Nastraszył ją raz czy dwa i wysmarował rybimi flakami schody, aż wkurzona Magda wyskoczyła na niego z kijem hokejowym. Choć mała jak pchełka, hartem ducha obdzieliłaby drużynę harcerek. Skończyło się interwencją policji i aresztowaniem pijanego w sztok Alojza za zakłócanie porządku. Potem Maria go nie widziała. Słyszała tylko, że najpierw spędził noc w izbie wytrzeźwień, dostał mandat, a potem jeszcze jakieś kolegium.

Jego brat przez lata trzymał się od niego z daleka, ale po tym, jak żona wyrzuciła go z domu za zdrady i wyprowadzanie pieniędzy z jej firmy, najwyraźniej doszło do wielkiego braterskiego pojednania, bo teraz obaj, napruci, tarasowali wyjście ze sklepu.

Maria znieruchomiała jak jeleń w świetle reflektorów. Nagle odwrócili się i wbili w nią bliźniacze brązowe oczy osadzone pod takimi samymi kudłatymi brwiami, teraz gniewnie zmarszczonymi. Nawet zarośnięte niechlujnie brody mieli podobne. Edmund Zyśko upodobnił się do brata ledwie w osiem miesięcy.

– A co my tu mamy, kurwa jego jebaniutka – wymamrotał Alojz, robiąc w stronę Marii chwiejny krok. – Marysia świętojebliwa! Złodziejka pierdolona i suka niewyżyta! Zimna ryba za życia Bolka, jeszcze zimniejsza po jego śmierci!

Milczała, sparaliżowana przez wstyd i gniew. Obejrzała się nerwowo, szukając pomocy u sprzedawczyni, ale ta obsługiwała klienta i wydawała się nie zauważać narastającego problemu.

– Myślisz, że zapomnę o tym, co moje? Co mi się należało? – Już nie mamrotał: krzyczał, z każdym słowem coraz głośniej.

Mundek początkowo chyba nie wiedział, o co szło, ale gdzieś w trakcie tyrady brata dwie szare komórki zderzyły się pod kopułą jego czaszki z głośnym traskiem.

– To ta?! Ta ci forszę daje? – zawołał, chwiejąc się w przód i w tył.

– A chuja daje! Nie daje! A powinna! – Alojz wymachiwał rękoma jak cepem.

– Czemu nie daje?! W mordę chce?! – wrzasnął Mundek i niczym potwór z niemieckich horrorów z lat trzydziestych zaczął się zbliżać do Marii, z wyciągniętą w jej stronę ręką, szurając buciorami po linoleum.

– Może trzeba szacunku sukę nauczyć? Może trzeba wpaść tam wieczorem? Do panienki na pięterku? – Alojzy zarechotał oblesnie.

Wtedy to samo zakłęcie, które trzymało Marię jak wmurowaną, pękło na milion kawałków.

– Wypierdalaj, ochlejusie! – wrzasnęła. – Wypierdalaj i na oczy mi się nie pokazuj! – Prawie nigdy nie przeklinała, ale teraz, o tak, teraz czuła, że to słowo najlepiej wyraża wściekłość, która wypełniała ją całą i paliła żywym ogniem.

Ruszyła przed siebie z determinacją i wykorzystując zaskoczenie mężczyzn, przepchnęła się między nimi do drzwi. Mundek próbował ją złapać, wczepił palce w rękaw jej swetra, ale z siłą, o jaką się nie podejrzewała, odepchnęła go, wrzeszcząc to samo przekleństwo, które teraz wydawało jej się potężne jak egzorcyzm, zdolny wypędzić z jej życia najgorsze demony.

Wyszarpała sweter z uchwytu i pchnęła Edmunda jeszcze raz, bo nie mogła otworzyć drzwi. Zachwiał się gwałtownie, a potem runął do tyłu jak kłoda wprost na kolumnę plastikowych skrzynek.

Maria wybiegła ze sklepu przy akompaniamencie odgłosów rozbijanego szkła i syku gazowanego piwa. Z łomoczącym sercem dopadła do samochodu, wsiadła i zatrzasnęła zamki. Napompowana adrenaliną, głośno dyszała i dygotała. W dłoni wciąż ścisnęła butelkę napoju i tabletki. Połknęła dwie, solidnie popijając. Podejrzewała, że po takich emocjach i tak nie zadziałają.

Oparła czoło o kierownicę, nie wierząc, że naprawdę to zrobiła. Że wybuchła, nawrzeszczała, przeklinała, popchnęła człowieka i doprowadziła do zniszczenia mienia.

Nawet nie zauważyła, kiedy minęło pół godziny i podjechał autobus.

Aniela zapukała w szybę auta i nie rozumiała, czemu Maria podskoczyła jak oparzona i wpatrywała się w nią niby w potwora z bagien.

Owszem, u córki nie miała jak odświeżyć koloru i róz całkiem się spłukał z jej włosów, ale bez przesady, nie wyglądała aż tak koszmarnie.

Wtedy Maria zaczęła się śmiać. Nie z wesołością, ale z wyraźną nutą obłąkania. Aniela pokręciła głową. Jej przyjaciółka naprawdę potrzebowała wakacji.

ROZDZIAŁ 3

Ostatni pensjonariusze wyjechali parę minut po dziesiątej, zostawiwszy na pożegnanie serdeczny wpis w księdze gości, pięć na pięć gwiazdek w serwisie dla szukających noclegu i zapewnienie, że wrócą latem.

Magda nie mogła sobie wyobrazić lepszych klientów. Wzruszyła się do reszty, gdy przyszła posprzątać ich pokój – poszewki były zdjęte i schludnie złożone, śmieci tylko w koszu, nawet ręczniki pozostawili na podłodze w zgrabnym stosiku. Żadnych trupów poukrywanych w materacu czy krwawych rozbryzgów w łazience, nieudolnie zmywanych śmierzącym wybielaczem... Pracowała w pensjonacie zaledwie pół roku, a już życie nauczyło ją doceniać takie rzeczy. Kiedy oblekła materac świeżym prześcieradłem i podnosiła rogi, aby zaczepić gumki o dolną krawędź, mimo woli myślała o upiornej Jadwini, która na miejsce zbrodni wybrała akurat Wielką Niedźwiedzicę.

Od czasu tamtych wydarzeń panował idealny spokój i Magda zaczynała być podejrzliwa. Ciotka Tamara twierdziła wprawdzie, że znalezienie w ciągu kilku miesięcy dwóch nieboszczyków stanowczo wyczerpywało limit trupów, na jakie młoda dziewczyna powinna się natknąć w całym swoim życiu, ale Magda nie była tego taka pewna. Czasami odnosiła wrażenie, że to jeszcze nie koniec, i niewykluczone, że najgorsze przed nią. Mrowiła ją skóra głowy, jakby los dmuchał jej w kark. Chyba że ciocia Tamara miała rację i czas kupić lepszy szampon, bo noszenie czapki przesusza skórę.

Posprzątała w czterdzieści minut. Odkurzyła, umyła łazienkę, wymieniła pościel i ręczniki, starła kurze, zebrała śmieci. Teoretycznie do dziesiątego stycznia miały przerwę, żadnych rezerwacji, ale przezorny zawsze ubezpieczony.

Zeszła na parter i przekręciła klucz w zamkniętych wcześniej drzwiach. Zwykle poza nią i babcią w Wielkiej Niedźwiedzicy przebywały przynajmniej jedna czy dwie kobiety będące ofiarami przemocy domowej, którym babcia dawała dach nad głową i pracę. Ale odpukać, na tę chwilę pensjonat nie gościł żadnej podopiecznej.

Magda załadowała zmywarkę i przetrąta blaty stolików w jadalni. Rozejrzała się zadowolona. Pięknie, mniej pracy dla babci. Usiadła z laptopem za kontuarem recepcji. Zanim będzie musiała wyjść do pracy w Vincencie, zdąży przejrzeć kilkaset fotografii ze świąt i sylwestra. Obiecała Arturowi, że wyśle mu kilka z tych, które ciocia Tamara cyknęła im pod jemiółą. Liczba fotografów – zawodowców i amatorów – na metr kwadratowy Wielkiej Niedźwiedzicy była absurdalnie wysoka, a wszystkie świąteczne zdjęcia wylądowały w chmurze, więc Magda

nastawiła się na dłuższe szukanie.

Skupiona na ekranie, nie usłyszała dzwonnka nad drzwiami wejściowymi. Z zamyślenia wyrwał ją dopiero stukot obcasów o terakotową podłogę. Uniosła głowę i zobaczyła zmierzającą w jej stronę kobietę, jedną z tych, które zawsze dbają o wyeksponowanie swojego lepszego profilu i bezbłędnie potrafią podkreślić wszelkie walory, by nikt nie dostrzegł niedostatków urody. Nieco ponad metr sześćdziesiąt, choć na obcasach jakieś osiem centymetrów więcej, świetnie skrojony, dopasowany w talii granatowy płaszcz, długi bob w kolorze złoty blond z doskonale zrobionym bależajem, makijaż perfekcyjnie dobrany do urody i wieku. Magda oceniła, że kobieta może być przed pięćdziesiątką, choć była pewna, że wielu dałoby jej nie więcej niż czterdzieści lat.

Kobieta podeszła do kontuaru, ciągnąc za sobą walizeczkę na kółkach, w kolorze pogodnej magenty. Uśmiechała się promiennie, ale uśmiech nie sięgał oczu. Było w niej coś, co sprawiało, że Magda zaczęła się zastanawiać, czy nie wywołała Ptaszyny z lasu. Miała wrażenie, jakby spod maski pozorującej poczucie sukcesu i kontroli wyzierał smutek czy nawet desperacja. Powitała przybyłą uprzejmie, niemal spodziewając się, że ta poda hasło, którym posługiwały się kobiety na forum Przystani. Zamiast tego usłyszała:

– Dzień dobry, pani... – Kobieta zerknęła w okolice biustu Magdy, jakby spodziewała się znaleźć tam etykietkę z imieniem. Skrzywiła się, bo Magda takowej nie miała, za to nosiła koszulkę z Fridą Kahlo w makijażu bella muerte, prezent gwiazdkowy od ciotki Tamary.

– Magda, Magda Garstka. Witam w Wielkiej Niedźwiedzicy, przystani dla każdego strudzonego wędrowca – odparła nieco górnolotnie, ale zdanie wydawało się jej najbliższe „najlepszym kasztanom rosnącym na placu Pigalle”. Jeśli kobieta faktycznie była jedną z Ptaszyn, odpowiedź powinna zawierać słowa takie jak „zarzucić kotwicę” albo „bezpieczny port”. Tymczasem tamta powiedziała:

– Chciałabym wynająć pokój, jeżeli to możliwe. Na pięć nocy, z niedzielą włącznie. Chyba macie coś wolnego? Bo tu, widzę, raczej puściutko?

Coś w jej głosie zjeżyło Magdę, jakby cień drwiny. A może tylko się przesłyszała?

– Ma pani szczęście, zwykle potrzebna byłaby rezerwacja, ale początek stycznia to takie okienko: już wyjechali goście świąteczno-noworoczni, jeszcze nie ma tych z następnymi rezerwacji – stwierdziła spokojnie.

– Jakoś się to kręci, prawda? Aż dziw, że gdy coraz więcej porządnych hoteli, ludzie wciąż wybierają takie małe miejsca! – Jej głos ociekał słodyczą, a Magda miała już pewność, że się nie przesłyszała.

– Niektórzy doceniają indywidualne podejście i rodzinną atmosferę, o co trudno w hotelach sieciowych – odparła.

– No może – w stwierdzeniu tym było tyle zwątpienia, że Magda zastanawiała się, czemu, u diaska, przyjezdna wybrała ich pensjonat, a nie coś większego, bardziej odpowiadającego jej oczekiwaniom.

– Pokój na pięć nocy, plus śniadania i opłata klimatyczna, to będzie... – Podliczyła szybko na kalkulatorze i podała kwotę. I choć kompletnie nie leżało to w interesie pensjonatu, który nie dalej niż kilka miesięcy temu otarł się o bankructwo, miała nadzieję, że kobieta zmieni zdanie i odejdzie z turkotem swojej walizeczki. Zresztą jakim cudem zdołała się spakować na kilka nocy w tak mikroskopijny bagaż?

– No to przynajmniej taniutko, prawda? – zachichotała tamta, wyciągając z portfela kartę kredytową.

Magda doszła do wniosku, że koniecznie powinny doliczać do opłaty klimatycznej opłatę za cierpliwość okazywaną tym klientom, którzy wystawiali ją na próbę. Coś jak podatek od bycia dupkiem albo zołą.

– Cieszę się, że nasze ceny panią satysfakcjonują – odpowiedziała uprzejmie i podała kobiecie kartę meldunkową. – Proszę to wypełnić. Wystawić fakturę czy paragon?

– Paragon wystarczy – zapewniła tamta, wyciągając z torebki wieczne pióro. Zaczęła starannie wypełniać formularz, wpisując eleganckim pismem wszystkie dane z pamięci, łącznie z numerem dowodu osobistego.

Czy możliwe, że zameldowałam w Wielkiej Niedźwiedzicy cyborga? – pomyślała Magda, która nie pamiętała nawet swojego PESEL-u.

Sprawnie przyjęła płatność, wydała klientce paragon i zabrała wypełnioną kartę meldunkową. Przez chwilę prześlizgiwała się wzrokiem po eleganckich literach i wciąż połyskującym wilgocią atramencie. Kobieta nazywała się Zofia Szyszka i co naprawdę dziwne, podała ustecki adres zameldowania. Magda zmarszczyła brwi.

– Jest pani stąd? Z Ustki? – zapytała zaskoczona.

– Byłam – roześmiała się nieco sztucznie. – Sprzedałam tu mieszkanie i salon, przez kilka miesięcy podróżowałam, odwiedzałam rodzinę w Anglii, ale nigdzie nie osiadłam na tyle długo, by zmienić adres. Wiem, to trochę dziwne.

Magda zapewniła, że w żadnym razie, bo z własnego doświadczenia wiedziała, że jest to możliwe. Ona i Tamara przez lata były zameldowane w mieszkaniu, którego właściciel jako jedyny nie stwarzał problemów przy meldunku kobiety sporo przed trzydziestką z nastoletnią dziewczynką. Wyprowadziły się stamtąd, kilka razy zmieniały miejsce tymczasowego pobytu, ale z formalnego punktu widzenia wciąż figurowały pod tamtym adresem na Zielonej.

– A pani Marysi nie ma? – zapytała Szyszka, rozglądając się.

– Nie w tym momencie. Zna pani babcię?

– Oczywiście – odparła, a Magda znów wyłapała nieszczerłość w jej głosie.

A może chodziło o inną „Marysię”? Przez ostatnie pół roku poznała wielu znajomych i przyjaciół babci. Nikt nie nazywał jej Marysią, wszyscy zgodnie mówili „Maria”. Nawet najlepsza przyjaciółka babci, pani Aniela, nie używała tej formy. Jeśli chciała użyć zdrobnienia, wybierała wyłącznie „Marynię”.

– Oj, a windy tu pewnie nie ma? – westchnęła kobieta, spoglądając w stronę piętra.

– Jeżeli potrzebuje pani pomocy z walizką, chętnie zaniosę – zaoferowała Magda.

– Będziesz tak miła?

– Gdyby miało być to dla pani ułatwieniem, mamy na parterze pokój przystosowany do osób z niepełnosprawnościami – oznajmiła Magda słodko.

Szyszka machnęła ręką.

– Na parterze są najgorsze widoki z okna, prawda? Najlepsze są powyżej czwartego piętra, ale tutaj, cóż, muszę się zadowolić widokiem z pierwszego – powiedziała z nutką pretensji w głosie.

Magda starała się nie uprzedzać do ludzi, co nie znaczyło, że nie wyrabiała sobie o nich opinii na podstawie ich zachowania. Dlatego mściwie zdecydowała, że Szyszka dostanie pokój, który nazywały trupim, odkąd zmarł w nim i przez jakiś czas się rozkładał pechowy gość. Jadwinia Brzeska, morderczyni, też miała parzydełka, którymi potrafiła zaleźć innym za skórę, ledwie otworzyła usta. Różniło je jedno: Jadwinia na swój sposób była szczerą i nie udawała miłej. Oschła i zgryźliwa, fukała na ludzi jak dzika kotka. Uprzejma zrobiła się dopiero wtedy, kiedy ukrywała zwłoki męża w materacu i nie chciała zwracać na siebie uwagi. Zofia Szyszka należała z kolei do tych kobiet, które sypały człowiekowi cztery czubate łyżki cukru do kawy doprawionej strychniną. Była słodka, ale zabójcza.

Magda zdjęła z haczyka klucz do pokoju świętej pamięci Kazika Brzeskiego, złapała walizeczkę i zaprowadziła klientkę na piętro.

Słyszała za sobą pełne dezaprobaty sapnięcia. Najwyraźniej schody, nowa wykładzina czy kolor ścian nie odpowiadały poczuciu estetyki Zofii Szyszki.

– Gdyby potrzebowała pani świeżych ręczników czy więcej wody mineralnej, proszę przedzwonić na recepcję. Śniadania wydajemy między ósmą a dziesiątą. Jeśli ma pani jakieś preferencje dietetyczne, to spróbujemy im sprostać, ale posiłki przyrządzamy same, więc choć opcja bez laktozy jest dla nas osiągalna, to bezglutenowa nie bardzo – wyjaśniła.

– Zwykle kontynentalne wystarczy – powiedziała Szyszka, rozpinając płaszcz, który po chwili rzuciła na łóżko.

Dzianinowa sukienka barwy czerwonego wina leżała na niej znakomicie. Magda w takim fasonie wyglądałaby jak Myszka Miki w worku, ale na Szyszce dzianina prezentowała się wspaniale: opływała krągłości w bardzo elegancki, a przy tym ani trochę nie wulgarny sposób. Kobieta podeszła do okna i rozsunęła szeroko zasłony. Pod względem widokowym był to najlepszy pokój w Wielkiej Niedźwiedzicy – dało się stąd podziwiać port i małe kutry kołyszące się na falach Słupi.

W mroźnym powietrzu kolory wydawały się chłodniejsze i odleglejsze. W ostatniej godzinie zaczęło prószyć, więc cieniusieńka warstwa białego puchu pokrywała parapet, ale lekki, delikatny śnieg nie pozostawał długo na ulicy czy ławkach.

– Idealnie – powiedziała cicho Szyszka, wciąż wpatrując się w wodę.

Czekała na to zbyt długo. Już czas. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle, że pierwszą osobą, którą tu spotkała, była ta dziewczyna, a nie Maria. Może tak miało być. Co się odwlecze... Nie, dość już odwlekania. To trwało za długo. Sprawiedliwość musiała w końcu dotrzeć nawet do tej dziury.

*

Magda wycofała się z pokoju, zostawiając nową lokatorkę samą. Znowu czuła mrowienie na karku. To chyba jednak nie była kwestia czapki.

Zamierzała zadzwonić do babci i zapytać, czy faktycznie zna tę całą Szyszkę.

Przeszkodził jej w tym telefon dotyczący rezerwacji walentynkowej. Ciotka Tamara wymyśliła genialną promocję dla singli. Słusznie zauważyła, że absolutnie każde miejsce wypoczynkowe reklamuje się jako walentynkowy raj dla par, więc może niezłym sposobem na wyróżnienie się w tym tłumie będzie zaoferowanie walentynkowego relaksu dla osób bez partnera. Zero presji na padanie w zaręczynowym przykłęku, żadnych romantycznych kolacji, kupidynków, serduszek, baloników... Jednym słowem – pensjonat pozostanie taki jak dotąd, ale na ten dzień stanie się azylem dla singli zmęczonych walentynkowym chaosem. Jak dotąd oferta przyciągnęła czterech chętnych w dwa dni od ogłoszenia. Teraz doszła rezerwacja dwuosobowego pokoju dla sióstr, które uciekały przed rodziną nalegającą na idealną randkę w dniu zakochanych. To może być hit tego roku, pomyślała Magda, zapisując rezerwację w programie komputerowym i, w ramach backupu, także w kajeciku, który preferowała babcia. Powinna zadzwonić do Tamary i pogratulować jej marketingowego geniuszu.

Ciotka z Czarkiem pojechali dzień wcześniej do Łodzi. Przechowalnię,

w której po rezygnacji z najmu mieszkania i sprzedaży zakładu fotograficznego zdeponowała meble i inne sprzęty, opłaciła tylko do końca miesiąca. Latem podjęła decyzję tak szybko, że nie chciała się spowalniać oglądaniem każdego przedmiotu związanego ze starym życiem, bo mogłaby stracić rozpęd przy wejściu w nowe. Dłuższe opłacanie przechowalni po prostu nie miało sensu, więc pojechali z Czarkiem posegregować i wybrać te rzeczy, które chcieli zachować, a resztę oddać do komisju meblowego.

Przeprowadzka Tamary do Ustki – czy raczej traktowanie Ustki jako bazy wypadowej i portu, do którego się wraca – stawała się faktem dokonanym. Remont poddasza Wielkiej Niedźwiedzicy adaptowanego na mieszkanie i studio fotograficzne nieco zwolnił przed świętami, ale za kilka dni, jeśli nie zasypie ich na amen, ekipa remontowa pewnie wróci i zajmie się kilkoma okazałymi oknami połaciowymi, które po wstawieniu w dach miały zapewnić dwójce szalonych fotografów odpowiednią ilość światła dziennego.

Magda nie mogła się nadziwić, jak szybko obie postawiły swoje życie na głowie. Rok temu żadna z nich nie zdołałaby przewidzieć, co przyniesie lato. Widać czasami wystarczy Ustka, by pewne decyzje zapadały w lot.

ROZDZIAŁ 4

Wielkie, puchate płatki śniegu zaczęły prosić niedługo po tym, jak Aniela wsiadła do samochodu. Nawet z włączonymi wycieraczkami widoczność była ograniczona. Maria prowadziła ostrożnie. Pochylona, trzymała kurczowo kierownicę, koncentrując się na jeździe i innych uczestnikach ruchu, takich jak ten czarny, kudłaty pies, który nagle, z całą psią niefrasobliwością, wskoczył na ulicę. Na szczęście jechała wolno, więc zdążyła w porę zahamować.

– Ty się za bardzo stresujesz. Ta twoja wyobraźnia działa jak wiecznie naszprycowany chomik fatalista – powiedziała Aniela z troską.

– Mówisz, że jestem pesymistką? – zapytała Maria z rozbawieniem.

– Nie, to byłoby zwyczajnie przykre i depresyjne. Mówię, że spodziewasz się, że jebnie, i w dodatku nie jesteś zdziwiona, gdy tak się dzieje.

Maria wzruszyła ramionami. Tak właśnie było.

– Uważam, że przydałaby ci się jakaś rozrywka, coś, co pozwoliłoby ci się wyluzować, oderwać od codzienności...

– Co tym razem? – zapytała Maria, zatrzymując się przed przejściem dla pieszych, gdzie dwie okutane szalikami kobiety nawet nie zawracały sobie głowy rozglądaniem się na boki.

– Co masz na myśli, mówiąc „tym razem”? – zapytała niewinnym tonem Aniela.

– Kochana, zawsze gdy zaczynasz w ten sposób, okazuje się, że znalazłaś nową, ekscytującą atrakcję i kończymy na zajęciach z jogi czy tańca brzucha. Albo, nim się obejrzę, wiszę w uprzęży na ścianie, bo w obliczeniach nie uwzględniliśmy, że aby dostać się na samą górę, to się należy wspinać, a do tego potrzebne są jakieś, sama nie wiem, mięśnie, które nie zaczynają drżeć jak mokry szczeniak po kilku metrach w pionie...

Aniela uśmiechnęła się szeroko.

– Ścianka była może przesadą, choć przyznaj, gdybyśmy tam nie poszły, nie poznałybyśmy Karolinki i nie dowiedziałybyśmy się o zajęciach jogi dla kręgosłupa, a sama wiesz, jak ci to pomogło.

Z tym Maria nie dyskutowała. Prawdę mówiąc, doświadczenie ze ścianką okazało się ciekawe, mimo wznającej się uprzęży, a chwilami nawet zabawne, gdy kołysała się na linie asekuracyjnej niczym na wielkiej huśtawce.

Maria kochała przyjaciółkę, a także jej pomysły upalonej wróżki. To nie była metafora. Pewnego razu Anielka namówiła wnuka, by skombinował im trochę trawki i zrobił skręta. Opierałby się pewnie

bardziej, ale Aniela odkryła kilka jego małych sekretów i zagroziła, że jeśli jej nie pomoże, o wszystkim powie jego matce.

Z perspektywy Marii Aniela po trawce pozostała sobą. Owszem, błagała Marię o zrobienie ptysiów, bo najbardziej na świecie zapragnęła właśnie ich, ale poza tym różnic wielkich nie zauważała.

Aniela zawsze miała kilka pozycji na liście „rzeczy do zrobienia przed śmiercią” i jeszcze więcej na tej obejmującej „rzeczy, których nigdy nie robiłam, właściwie dlaczego nie?”. Niektóre wyzwania pojawiały się pod wpływem nagłego zachwytu czymś, o czym wcześniej Maria nawet nie słyszała. To trwało już dwa lata. Od śmierci Bolka. Aniela uważała, że przyjaciółka powinna wykorzystywać tę odzyskaną wolność do oporu. Sama była wdową trzy lata dłużej i wiedziała, jak wycisnąć z wdowieństwa maksimum przyjemności.

Maria zaakceptowała ten stan rzeczy. Nie mogła zaprzeczyć, że dzięki pomysłom Anieli ostatnie dwa lata spędziła bardzo intensywnie, chwilami bywało przekomicznie, a często nieprzewidywalnie. To raczej rzadkość w przypadku kogoś po siedemdziesiątce. Na tych wszystkich kursach, warsztatach, kołach, wystawach, festiwalach i pokazach poznały mnóstwo ludzi i często jedno takie spotkanie prowadziło do nowych i ekscytujących doświadczeń.

– Więc? Co tym razem? – powtórzyła Maria, uśmiechając się pod nosem. Jeszcze kwadrans temu była kłębkim nerwów i kupką nieszczęścia, siedziała w samochodzie porażona swoim wybuchem w miejscu publicznym i starciem z Alojzem i Mundkiem. Ale Aniela zawsze potrafiła rozbroić takie sytuacje.

Maria ją za to podziwiała. Przyjaciółce wcale nie było w życiu łatwo, ale pod pewnymi względami uważała Anielę za najsilniejszą i najodporniejszą osobę, jaką знаła.

– Widzisz, kiedy na ostrym dyżurze czekałam na RTG, poznałam w kolejce taką uroczą dziewczuszkę, miała może ze czterdzieści lat. Od słowa do słowa, wyszło mi, że powinnyśmy się, Mario droga, zapisać na warsztaty ceramiki. Nie żadne pitu-pitu, ale z rozmachem, z kołem garncarskim, wypalaniem i całą resztą! – perorowała, intensywnie gestykulując.

– A myśmy czasem nie lepiły już z gliny?

– Lepiłyśmy, jak dzieci z plasteliny, ale teraz koło garncarskie, Maryniu. Te emocje! I całkowicie niezbędne umiejętności!

– Niezbędne? – zapytała Maria, bo choć pomysł jej się spodobał, jeszcze bardziej spodobało jej się prowokowanie Anieli do oratorskich wywodów.

– Mario, czy ty w ogóle myślałaś o tym, jak bardzo podstawowe dla naszej cywilizacji jest takie pozornie błahe zajęcie jak lepienie garnków? Jak bez tych garnków doszlibyśmy od surowego mięsa z grubsza

opiekanego nad ogniem, do, sama nie wiem, zupy! Gulaszu! Czy wyobrażasz sobie, żeby nasza cywilizacja mogła istnieć bez zupy? A czy ta mogłaby istnieć bez garnka? – Aniela była w swoim żywiole. O każdy drobiazg potrafiła walczyć jak o konstytucję. – A pomijając już zagrożenia cywilizacyjne, bo przecież nie zakładamy z góry, że to jednak wszystko pierdolnie i będziemy mieć apokalipsę, zombie i znikające sprzęty AGD, fajnie byłoby samodzielnie zrobić taką na przykład doniczkę. Albo kubek. – Zamilkła na chwilę, jakby się zastanawiała, co jeszcze mogłaby ulepić, aż wykrzyknęła, triumfalnie unosząc palec: – I IMBRYK! Mario, mogłybyśmy sobie nawet imbryk zrobić! Ty to sobie wyobrażasz?

Maria parsknęła tłumionym od dłuższej chwili śmiechem.

– Czy to znaczy „tak”? – zapytała Aniela, zacierając ręce.

– Niech będzie, ulepimy imbryk.

– Znakomicie, już nas zapisałam, zajęcia zaczynają się w marcu, wolałam wcześniej zarezerwować miejsca – oznajmiła podekscytowana.

Maria zaparkowała przed blokiem i obie wysiadły z samochodu. Aniela mieszkała tu, odkąd w 1998 roku sprzedała odziedziczony po rodzicach domek, w którym po zamążpójściu córki i urodzeniu się wnuka zrobiło się ciasno, i kupiła dwa mieszkania – jedno dla siebie i męża, drugie dla Julii i zięcia. Mieszkanie Anieli, niecałe czterdzieści metrów jej małego świata, mieściło się na przedostatnim, trzecim piętrze. I Maria, obserwując, jak Aniela pokonuje tych kilka metrów od samochodu do wejścia na klatkę, była pewna, że przyjaciółka odczuje każdy z tych schodków boleśnie. Aniela udawała, że jest w znakomitej formie, ale Maria widziała, że przyjaciółka oszczędza prawe biodro, lekko kuleje i ostrożnie stawia kroki, zwłaszcza na chodniku pokrytym topniejącym śniegiem. Maria szła za nią, niosąc walizkę, gotowa rzucić ją w bok, gdyby zaszła potrzeba łapania Anielki i uchronienia jej od kolejnych obrażeń. Walizka zresztą ważyła niewiele więcej niż odkurzacz, który wносиła po schodach pensjonatu kilka razy w tygodniu od pięćdziesięciu lat.

Po wejściu do klatki Aniela wyciągnęła ze skrzynki pocztowej gruby plik kolorowych kopert i schowała go do torebki, uradowana obfitością korespondencji. Wspinały się powoli, trzymając się barierki, zwłaszcza że stopnie miejscami były śliskie od stopniałego śniegu naniesionego przez mieszkańców. Maria pomyślała, że Anieli musiał się przypomnieć upadek z tych schodów kilka dni przed Wigilią, ale żadna nie wspomniała o nim ani słowem.

W mieszkaniu powitało je koszmarnie zimno. Okna szroniły się od środka. Maria postawiła walizkę w korytarzu i sprawdziła kaloryfer. Lodowaty. Zapowietrzony na amen. Nie mówiła nic, ciekawa, czy przyjaciółka zauważy taki szczegół. Nieprędko miało to nastąpić. Aniela

rozpięła kurtkę, odplątała szalik i zabrała się do lektury kartek świąteczno-noworocznych. Czytała życzenia, cmokała na co ładniejsze ilustracje, ustawiała przeczytane kartki na stole jak małych kolędników. Aniela miała dar nawiązywania i pielęgnowania przyjaźni. Dostawała okolicznościowe kartki od osób, z którymi ostatni raz widziała się trzydzieści lat wcześniej, od znajomych poznanych na wycieczce do Izraela w 2005 roku czy Kazimierza Dolnego w 1987, nawet od ludzi, którzy kupili jej dom. Taki typ.

– A ja w tym roku nie wszystkie nadałam – powiedziała zmartwiona. Zawsze dbała o wysyłanie życzeń z odpowiednim wyprzedzeniem, ale wypadek i pobyt u córki w Słupsku pokrzyżował jej plany.

– Wyślesz im kartki na walentynki, na pewno ci wybaczą – zaproponowała Maria.

– Genialny pomysł! Niedługo trzeba się będzie do tego brać!

Sięgnęła po kolejny list. Maria zbladła na widok kremowej koperty, zaadresowanej bordowym atramentem i ozdobnym charakterem pisma. Aniela nie zauważyła reakcji przyjaciółki, skupiona na zawartości przesyłki.

Jej oczy rozbłysły zachwytem, kiedy okazało się, że to nie kartka świąteczna, ale zaproszenie! Anonimowe, bo ani na kopercie, ani wewnątrz nie podano nazwiska czy adresu nadawcy. Brzmiało bardzo tajemniczo i ekscytująco:

Z niezwykłą przyjemnością mamy zaszczyt zaprosić

Panią Anielę Grzebałko

na Bal Tajemnic

Czas i miejsce: sobota 05.01.2019 r., o godzinie 16.00, Uroczysko 11.

Stroje wieczorowe mile widziane. Tajemnice również. Do rana poznamy wszystkie!

Aniela aż zaklaskała.

– Czyż to nie wspaniałe? Tak bardzo w stylu Agathy Christie! Brakuje tylko: „Morderstwo dokona się...”! Och, Mario, my po prostu musimy, musimy tam jechać! – zawołała.

Maria była powściągliwsza. Aniela spojrzała na nią, a jej błękitne jak niezapominajki oczy aż szklily się od emocji.

– Maryniu, straciłyśmy już dość! Ten przeklęty wypadek odebrał mi zbyt wiele uciech. Nie mam zamiaru przepuścić takiej okazji!

– Przecież nie protestuję, Anielko, pójdziemy. Ale zanim... Zauważyłaś może coś nietypowego w swoim mieszkaniu? – zapytała Maria spokojnie.

Przyjaciółka rozejrzała się i pokręciła głową.

– Nie, nic, a co?

– Czy często miewasz szron po wewnętrznej stronie szyb?

Aniela krzyknęła.

– A niech to! Zapowietrzyły się, gady! Zaraz zadzwonię do spółdzielni! – zawołała. Po chwili wisiała na telefonie, czekając na połączenie.

Cierpliwie wysłuchiwała powtórnego pięć razy fragmentu mazurka Chopina, zanim wreszcie usłyszała po drugiej stronie głos milej urzędniczki, która co prawda współczuła jej gorąco problemowi z kaloryferami, ale nie mogła zaoferować terminu naprawy szybszego niż w przyszłym tygodniu. Anieli zrzędała mina. Owszem, zeszłej zimy próbowała morsowania, i choć nie było to tak drastyczne przeżycie, jak się obawiała, nie trafiło na listę rzeczy, które chciałaby powtórzyć.

– No to mamy tylko jedno rozwiązanie – oświadczyła Maria, która słyszała obie strony rozmowy, bo komórka Anieli miała maksymalnie podkreślony dźwięk.

Zgnębiona Aniela uniosła głowę i zapytała:

– Jakie?

– Przeniesiesz się do Wielkiej Niedźwiedzicy, przynajmniej do czasu, aż naprawią ci kaloryfery. Teraz u nas pusto. Proponuję pokój na parterze: pełna swoboda, blisko kuchni, żadnego łożenia po schodach.

Przyjaciółka się zawahała.

– Jeśli poczujesz się z tym lepiej, dopisz pobyt w moim pensjonacie do listy rzeczy, których nigdy nie robiłaś – dodała Maria z uśmiechem. – No i będziesz mnie miała na oku, gdyby przyszła mi do głowy rezygnacja z tej dziwnej imprezy w sobotę.

Kilkanaście minut później zносиła po śliskich schodach nieco tylko przepakowaną walizkę Anieli. Przyjaciółka szła za nią, jedną ręką trzymając się barierki, a w drugiej ściskając pokrowiec z suknią wieczorową, „po prostu idealną na ten bal tajemnic!”. Ostatnio miała ją na sobie jedenaście lat temu, kiedy na przyjęciu sylwestrowym przyłapała męża na obściskiwaniu się między płaszczami z księgową z jego firmy. Niespecjalnie ją to zaskoczyło, bo nie był to pierwszy ani ostatni raz.

ROZDZIAŁ 5

Maria odetchnęła, kiedy dojechały do Wielkiej Niedźwiedzicy. Warunki jazdy były kiepskie przez gęstniejący śnieg, nawiewany na szybę auta i powierzchnię ulic. Ostrożnie zaparkowała w rogu podwórka, o nic po drodze nie zahaczając. Wyciągnęła bagaż Anieli i obie możliwie szybko weszły do domu.

W kuchni wciąż pachniało kawą, którą nastawiła w ekspresie Magda. Aniela zapatrzyła się w białe okno.

– Cudownie! Widok jak z bajki – powiedziała z zachwytem.

– Rozgościsz się u siebie, a potem zrobimy sobie herbaty – zaproponowała Maria.

Z korytarza wyłoniła się Magda. Ciepło przywitała się z Anielą, po czym oznajmiła:

– Dziś zameldowałam kobietę na pięć nocy, do poniedziałku. Dałam jej narożny pokój, z widokiem na port. Jest, hmm, specyficzna.

– Też z wami trochę pomieszkać – zwróciła się do niej Aniela. – Moje mieszkanie zmieniło się w biegun zimna.

– Madziu, zaprowadź, proszę, Anielkę do dawnego pokoju Tamary.

Znalazszy się w swoim nowym lokum, Aniela odsłoniła ciemnoniebieskie zasłony, wpuszczając do pomieszczenia światło.

– Idealnie! – zawołała. Nie potrafiłaby wyjaśnić, czemu świeży śnieg tak ją ekscytował, ale bez wątplenia jej nastrój poprawiał się od patrzenia na świat w puchatej odsłonie.

*

Maria wchodziła po zasypanych schodkach. Śnieg, mimo swego niewątpliwego uroku, był uciążliwy. Miała kompletnie przemoczone buty, a paracetamol, który wcześniej zażyła, wyczerpał już swoje supermoce i wracało pulsowanie w skroniach. Kichnęła, wyciągając z torebki klucze do mieszkania, i zamarła.

Drzwi – choć z całą pewnością je zamknęła – były uchylone, a na wycieraczce w głębi widniała kałuża po nawianym przez wiatr śniegu.

Wstrzymała oddech i nasłuchiwała. Może w środku jest włamywacz? W mieszkaniu panowała jednak cisza. Obejrzała zamek. Na żółtawej powierzchni metalu dostrzegła sporo rys i innych śladów, ale nie umiałaby stwierdzić, kiedy i z jakiego powodu powstały.

Ostrożnie wślizgnęła się do środka. Rozglądała się po mieszkaniu, szukając jakiegokolwiek śladu obcej obecności, ale wszystko było na swoim miejscu. Odetchnęła. Zamknęła drzwi, posprzątała bałagan na wycieraczce i zzuła mokre buty. Założyła ciepłe frotowe skarpetki

i gruby sweter, połknęła dwie tabletki, które lekarz przepisał jej na nawracające migreny, i popiła resztką zimnej już kawy. Nadal nie dawała jej spokoju sprawa otwartych drzwi. Czy możliwe, że jednak zapomniała je zamknąć? Chwilowo nie znajdowała innego wyjaśnienia.

Po wyjściu do pensjonatu starannie zamknęła drzwi i dwukrotnie przekręciła klucz. Dwa razy nacisnęła klamkę, upewniając się, że są zamknięte. Nie mogła się otrząsnąć z dziwnego przeczucia, którego jednak nie potrafiła nazwać.

Wciąż o tym myślała, kiedy przygotowywała herbatę i wykladała na talerzyk słodkie bułeczki. Gdy usłyszała dobiegające zza drzwi głośne tupanie, podskoczyła nerwowo, a potem sama się z siebie zaśmiała – włamywacz raczej nie robiłby takiego hałasu i na pewno nie zastukałby dwa razy.

W progu stanął Marek Garstka. Wypełniał sobą całą framugę. Wielkie chłopisko w granatowej puchowej kurtce z kapturem obszytym futerkiem, na tle gęsto sypiącego śniegu. Wyglądał trochę jak skrzyżowanie niedźwiedzia z wikingiem. Na kasztanowych włosach i gęstej kręconej brodzie osiadły białe płatki. Ściągnął kurtkę, otrzepał ją za progiem i dopiero wtedy zatrzasnął drzwi.

– Ależ sypie! – parsknął, otrząsając się z białego puchu.

Maria ugryzła się w język, zanim zapytała, gdzie podział czapkę. Jej czterdziestosiedmioletni syn był już wystarczająco dorosły, aby pamiętać, że powinien ją nosić. Najwyraźniej pozostało w nim coś z nieposłusznego nastolatka, który wpychał czapkę w kieszeń kurtki, ledwie skręcił za róg.

Marek schylił się, by rozwiązać sznurowadła, a Maria uśmiechnęła się pod nosem. Podejrzewała, co się może za tym kryć. Bywało, że wpadał do niej w ciągu dnia bez zapowiedzi, ale jeśli wyrwał się na chwilę z komendy, to najczęściej w konkretnej sprawie i nawet nie ściągał butów, przez co dawał znać, że wciąż jest na służbie. Zdejmując buty, wysyłał komunikat, że zjawia się jako syn, a nie jako sierżant policji, albo że sprawa, z którą przychodzi, jest nieprzyjemna. Prawdopodobnie nie zdawał sobie z tego sprawy, ale dla Marii to posapywanie przy rozwiązywaniu mokrych sznurowadeł było jak hasło: „Mamo, musimy porozmawiać”.

Pochylił się nad nią, by pocałować ją w policzek, a ona odruchowo poczochnęła mu mokre od śniegu loki. Nigdy nie przestanie jej zadziwiać, że ona, metr pięćdziesiąt i tyleż kilogramów wagi, wydała na świat tego olbrzyma. Dwóch nawet, bo przecież Marian był taki sam, wyglądali jak bliźniaki. Już w jej łonie rośli jak na drożdżach. Bite pięć kilo noworodka w obu przypadkach. Umordowała się i myślała, że umrze, zanim ich z siebie wypchnie, ale było warto.

Jeszcze się dobrze nie wyprostował, a już sięgnął po bułeczkę, jednym

kęsem odgryzł połowę i westchnął z zadowoleniem.

– Jakie dobre – powiedział z pełnymi ustami. – Wczoraj nie ogarnąłem zakupów i niewiele mi na śniadanie zostało, a tu już środek dnia.

– Nie wierzę, że Ania przed wyjazdem nie zostawiła ci pełnej lodówki.

– Nie no, lodówka pełna, miałem tylko chleb kupić i zapomniałem – przyznał ze skruchą.

Naląła mu herbaty, by nie dostał czkawki od pożerania bułeczek na sucho. Widziała, że coś go gryzie i nie wie, jak zacząć. Chyba nawet się domyślała co, ale nie zamierzała pierwsza poruszać tej kwestii. Może syn się nie przełamie i nie będzie się musiała tłumaczyć.

– Ania dzwoniła? Dojechały bezpiecznie? – zagaiła, podrzucając mu bardziej neutralny temat.

– A i owszem, dzwoniła. Zameldowały się w tym swoim SPA, cała szóstka. Połowy z nich chyba nie chcą sobie wyobrazić w bikini, bo potem mnie będą uszy piekły, jak spotkam na korytarzu żonę szefa albo Straszewiczową... Wczoraj wypily po butelce wina na głowę i do północy siedziały w jacuzzi, próbując sobie przypomnieć tekst jakiegoś przeboju Julio Iglesiasa. Podobno recepcjonistka je upomniała, bo któryś z gości skarżył się na hałas.

O tak, to był dużo lepszy temat niż przedpołudniowe wydarzenia w sklepie monopolowym.

Synowa Marii już od sześciu lat, czyli odkąd Monika stała się pełnoletnia, urządziła sobie z koleżankami babski wypad zaraz na początku stycznia, korzystając ze szkolnej przerwy między Nowym Rokiem a świętem Trzech Króli. Te trzy czy cztery dni były im potrzebne, żeby złapać równowagę, odpocząć po przygotowaniach świątecznych i naładować akumulatory przed kolejnym semestrem. Marii ten pomysł podobał się ogromnie. Markowi średnio, ale nie śmiał narzekać, zwłaszcza że Anna odkładała środki na ten wyjazd wiele miesięcy i od połowy listopada odliczała, kiedy wreszcie „wyrwą się z dziewczynami z tego kołowrotka”.

– A skoro o pijackich ekscesach mowa, słyszałem, że miałaś rano jakieś nieprzyjemności – zagaił trochę topornie.

– Oczywiście, że słyszałeś. To miasteczko jest za małe, a ludzie mają za długie języki – fuknęła.

Nic nie mówił, tylko czekał, patrząc na nią z troską swymi zielonkawo-piwnymi oczyskami.

– Nic się nie stało, synu. Alojz i jego głupkowaty brat za wcześnie zaczęli picie albo jeszcze nie wytrzeźwieli po wczoraj, przyczepili się, to na nich nawrzeszczałam, bo i ja nie jestem święta. Jeśli właściciel zgłosi ci szkody, zapłacę. Nie ma z czego robić afery.

– Dzwonił, szkodami obciążył tamtych gagatków i jeśli nie zapłacą, dostaną wilczy bilet, a to jedyny monopolowy w okolicy, więc pewnie

nie będą się migać od zapłaty. Nic ci nie zrobili?

– Próbowali nastraszyć, a tylko wkurzyli. Jedynym, który oberwał, był Mundek.

– Podobno byłaś jak burza z piorunami – powiedział, już rozluźniony.

– No byłaś. Ileż można? Grozili Madzi i Tamarze. Łachudry – westchnęła ciężko. – Nie życzę źle nikomu, ale nie płakałabym, gdyby się wynieśli na drugi koniec Polski.

– Alojzowi klepki się już mieszają od picia, Mundek zresztą wcale nie lepszy – przyznał Marek. – Gdyby cię jeszcze niepokoił, dzwoń. Wystąpimy o zakaz zbliżania.

– Już widzę, jak to Alojza powstrzyma – mruknęła.

Najpierw incydent z rybimi wnętrznościami, potem awantura pod oknem, po której zgarnęła go policja... Niczego go to nie nauczyło.

Marek niechętnie musiał jej przyznać rację. Próbował z Alojzem rozmawiać, straszyć go jako syn Marii i jako stróż prawa, ale do starego idioty nic nie docierało. Wypchał sobie głowę bzdurami, jakoby Maria była mu coś winna, i ani na trzeźwo, a tym bardziej po pijaku nie rozumiał, że to brednie. Żadne tłumaczenia nie trafiały do przeżartego alkoholem mózgu. Marek miał Zyskę na oku, ale bał się, że któregoś dnia dojdzie do eskalacji agresywnych wyczynów, a jego nie będzie w pobliżu, by ochronić matkę.

– Nie myśl o tym, synku. – Maria wyrwała go z niewesołych rozważań. – Szkoda naszej energii na nieszczęśliwego durnia. Jednego i drugiego. I nie potrzebujesz awantury w monopolowym, żeby wpaść do matki.

– Ano, wiem. I skorzystam. W domu dostaję lekkiego pierdolca. Za cicho, za pusto. Monika z Marcinem wrócili do Trójmiasta i znów muszę się pogodzić z tym, że moja córeczka jest daleko.

– Ty masz po prostu syndrom opuszczonego gniazda, Mareczku, tobie by się przydał kot.

Marek chwilę gładził się po brodzie w zamyśleniu.

– Nigdy nie mieliśmy kota, nawet nie wiem do końca, czy lubię koty – przyznał.

– Ale co tu jest do nielubienia? Małe, kochane i do przytulania.

– Myślisz o kocie?

– A czasem myślę – przyznała – tylko nie wiem, czy w moim wieku rozsądne brać zwierzaka, który może mnie przeżyć.

– Przecież ty się nigdzie nie wybierasz – przypomniał Marek. – Czy jesienią, gdy miałaś biec w półmaratonie, nie robiłaś czasem badań i nie wyszło czarno na białym, że jesteś okazem zdrowia?

– No wyszło – odparła nieco zaskoczona, że nie wzięła tego pod uwagę.

Nagle do kuchni wpadła Magda z rozwianym włosom, naciągając kurtkę na grzbiet.

– O rany, zagapiłam się, a tu prawie trzynasta! Spóźnić się do pracy na taką godzinę, to już wstyd! Cześć, wujaszku! – Cmoknęła Marka w policzek i już była za drzwiami.

– Zadomowiła się, nie? Już nie wspomina o wyjeździe? – zapytał Marek z uśmiechem.

– Ani słówkiem. A skoro i Tamara zarzuciła tu kotwicę, to chyba możemy już uznać, że przesiedlenie Garstki przebiegło wzorowo.

– Dobrze, bardzo dobrze – powiedział z zadowoleniem.

Marek był człowiekiem rodzinnym. Gdyby to od niego zależało, cały jego babski klan mieszkałby w bliskim sąsiedztwie, spotykał się co tydzień na niedzielnym obiedzie, a on czuwałby nad bezpieczeństwem żony, córki, mamy, bratanicy, szwagierki... Zawsze czuł niepokój, gdy myślał o swojej córeczce, która żyje gdzieś tam, w Gdańsku, na blokowisku.

Jeszcze wcześniej zamartwiał się o Madzię. Niby wiedział, że jego bratanica nie uczestniczy w chuligańskich ekscesach, ale ilekroć rzucał mu się w oczy nagłówek prasowy dotyczący przestępczości w Łodzi, ścisłało go w żołądku. Odkąd dziewczyna wróciła do Ustki, co jakiś czas znów czuł ten ucisk, ale z zupełnie innych powodów. Magda miała talent do wplątywania się w dziwne sytuacje i z niespotykaną częstotliwością odkrywała jakieś zwłoki. Normalni ludzie nie znajdują nawet jednego nieboszczyka przez całe życie, a Madzia i owszem, do tego aż dwa. I to w Ustce, takim spokojnym miasteczku! Cóż, przynajmniej miał bratanicę na oku. Z przeprowadzki Tamary też się cieszył, bo choć nie łączyły go z nią więzy krwi, to już dawno uznał ją za należącą do klanu.

No i mama... Musiał się upewnić, że jest cała i zdrowa, odkąd odebrał alarmujący telefon o awanturze w sklepie. Właściciela znał jeszcze z podstawówki, więc ten zadzwonił do niego bardziej jak do kolegi niż do policjanta. Marek wiedział, że mama o niczym nie wspomni. Nauczył się też, że trzeba pytać ją wprost i uważnie słuchać tego, co odpowie. Nigdy by go nie okłamała, ale była mistrzynią niedomówień i udzielania odpowiedzi wymijających.

Do tego miała tendencję do trzymania w tajemnicy spraw ważnych i bolesnych. Ciągłe dowiadywał się o niej rzeczy, które powinien zauważyć wcześniej, zrozumieć sygnały, dodać dwa do dwóch. Tyle że mama w takiej arytmetyce nigdy nie pomagała. Dopiero od niedawna wiedział, jak wiele kryła tajemnic. Nie chodziło tylko o Przystań, ale też to, jak wyglądało jej małżeństwo. Mieszkał z rodzicami, potem przecież został policjantem, a mimo to wiele rzeczy mu umykało, bo mama robiła wszystko, by mu tej wiedzy oszczędzić. Na myśl o tym, jakie piekło zafundował jej ojciec, Markowi ścisłało się serce.

ROZDZIAŁ 6

Maria nie była pewna, co ją obudziło. Przez dłuższą chwilę leżała w ciemności, nie rozumiejąc, skąd to napięcie w całym ciele i łomotanie serca. Po suficie drapieźnie przesuwały się cienie. Wydawało jej się, że czuje czyjąś obecność, i ta myśl ją przeraziła. Nasłuchiwała. Ciszę nocy przerwał powtarzający się dźwięk: stuk, stuk, stuk. Dochodził z drugiego pokoju. I nie zniknął wraz z przecierającymi się wspomnieniami snu.

Po omacku odnalazła włącznik lampki nocnej. W świetle zniknęły cienie z sufitu, ale nie stukanie. Wysunęła się ostrożnie spod kołdry i zadrżała. Czemu tu było tak nieznośnie zimno? Jej oddech formował obłoczek pary przy ustach. Włożyła zimowy szlafrok i na chwilę poczuła się lepiej, ale wtedy znów usłyszała miarowy stukot. Zrobiła parę kroków w kierunku źródła hałasu. Drewniana podłoga była tak lodowata, że kąsała jej bosc stopy. Maria wymacała na ścianie włącznik, światło zalało pokój. Jęknęła.

Oba skrzydła okienne (także to, do którego otwarcia potrzebowała śrubokręta) były szeroko otwarte. Jedno stuknęło o ścianę, poruszone podmuchami wiatru. Delikatna firanka powiewała pod sufitem, na parapecie i podłodze zalegał świeży śnieg. Zajrzała do kuchni i łazienki – nikogo. Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz.

Przetrząsnęła szufladę w poszukiwaniu śrubokręta. Zawsze tu był, duży, z czerwoną drewnianą rączką, ale wyparował, jak resztki snu z głowy Marii.

Znalazła w końcu inny, mniejszy i gorzej pasujący do okiennych śrub, ale musiał wystarczyć. Zamknęła okno i przekręciła klamkę. Zamek zaskoczył z głośnym zgrzytnięciem. Pociągnęła za nią raz i drugi – wszystko trzymało się tak, jak powinno. Więc jakim, u diabła, cudem oba skrzydła były otwarte?

Zabrała się do sprzątania. Gdy zgarniała ręcznikiem śnieg i kałuże, ręce jej drżały, nie wiedziała: z zimna czy z nerwów. Ponownie sprawdziła drzwi i okna. Podkręciła kaloryfery na maksymalny poziom, licząc, że do rana może nie będzie się już czuła jak w kostnicy. Kiedy wreszcie wróciła do łóżka, pod kołdrę i koc, zegar pokazywał za dziesięć czwartą. Nie mogła zasnąć, myśli tłukły się jej w głowie. Czy oszalała? Najpierw drzwi, teraz okno? Czy możliwe, że sama je otworzyła i nie pamiętała? Ale jak? Lunatykowała i otworzyła ciężkie skrzydło okienne, choć wymagało to użycia śrubokręta i siły? Była o włos od przyznania racji Łowcom Duchów, gościom, którzy jesienią przekonywali ją, że pensjonat jest nawiedzony, a eterycznych bytów kręci się w okolicy co nie miara. Mieli tonę sprzętu i tajemnicze wykresy na dowód

prawdziwości swych słów.

Czy to możliwe? Znała tylko jednego martwego człowieka, który chciałby ją skrzywdzić i aż tak wystraszyć. Długo nie mogła zasnąć. A kiedy wreszcie jej się to udało, zadzwonił budzik. Zignorowała go, po raz pierwszy od pięćdziesięciu lat. Ocknęła się na chwilę, ale nie zdołała się podnieść, wymęczona i z ciężką głową.

Obudziła się znów, już bez budzika, po ósmej. Przez dłuższą chwilę nie rozumiała, co właściwie się stało i czemu o tej godzinie ciągle jest w łóżku. Nagle wszystko do niej wróciło i usiadła zdezorientowana.

– Cholera jasna, śniadanie... – wymamrotała.

Aniela pewnie jeszcze spała, ale miały przecież drugiego gościa. Wczoraj Magda opowiedziała jej o wrażeniu, jakie zrobiła na niej Zofia Szyszka. Kto wie, czy nie jest jedną z tych osób, które zrywają się o świcie i liczą, że na śniadanie nie będą czekać nawet minuty.

Maria szybko się przebrała, umyła podpuchniętą twarz i przyczesła włosy. Na kawę i papierosa na schodach nie było już czasu.

Narzuciła puchową kurtkę i chciała założyć buty, ale... Gdzie się, u diabła, podziały? Na gumowym ociekaczu w korytarzu zwykle stały trzy pary – trzewiki z goreteksu, czarne skórzane botki i adidasy, na które dziś było zdecydowanie za zimno. Teraz ujrzała tam tylko lewy trzewik i lewy botek. Co, u diaska? Przeszukała szafkę z obuwiem, ale nie znalazła prawych do pary. Czy właśnie tak zaczyna się jej starcza demencja? Gubi prawe buty? Zrobiło się już wpół do dziewiątej, więc zirytowana wróciła do sypialni po dodatkową parę ciepłych skarpet i z trudem wcisnęła stopy w adidasy. W pensjonacie i tak zmieni je na tenisówki, które pewnie już wyschły po wczorajszej wyprawie, bo w roztargnieniu pojechała w nich po Aniela.

– Ogarnij się, Mario – zrugła się szorstko.

*

Aniela obudziła się w pachnącej, mięciutkiej pościeli i poczuła, że to będzie cudowny dzień. Od dawna nie spała tak dobrze i tak długo – bite dziewięć godzin, jak dziecko. W Słupsku musiała spać na rozkładanej kanapie, w której łączenie między obiema częściami wypadało dokładnie w połowie pleców.

Dłuższą chwilę przeciągała się jak kot, a potem weszła pod prysznic. Rozkoszne uczucie: rozgrzać ciało od razu po przebudzeniu! Roznosił ją entuzjizm tym większy, że u siebie miała tylko niewielką wannę i prysznic zawsze kojarzył jej się z czymś niezmiernie przyjemnym. Zdecydowanie bardziej pasował do jej temperamentu. Gdyby nie przerażała jej myśl o remoncie łazienki, pewnie wywaliłby tego żeliwnego zjadacza przestrzeni i wstawiła kabinę prysznicową. Z deszczownicą, a co! Na czas remontu mogłaby się zatrzymać u Maryni.

Miała spore oszczędności, a przecież do grobu ich nie zabierze. Po świętach u córki tym bardziej nie nastawiała się na zapisanie jej w testamencie Bóg wie jakiego majątku. Nie rozumiały się, zapewne nigdy się nie zrozumieją. To, czego Aniela pragnęła od życia, kompletnie nie mieściło się w standardach Julii. Może zostawi coś wnukowi, który pewnie dostał już solidną burę za odwiezienie babci na autobus.

Włożyła swój zestaw „na poprawę humoru”: neonowe legginsy kupione na lekcje jogi i miękką kangurkę z szalowym kołnierzem, w której najbardziej lubiła rękawy z dziurką na kciuk, dzięki którym nigdy nie marzły w niej dłonie. Bluza była intensywnie różowa, w serduszka na kieszonce i kołnierzu, co Aniela uważała za słodkie. Jej córka kręciła głową, ilekroć Aniela zakładała coś tak kolorowego i nie dość „dojrzałego”. To był jeden z punktów zapalnych w ich relacji. Tak jakby Aniela powinna wejść w rolę statecznej wdowy i zamienić wszystkie kolory świata na czerń i szarości. Oraz beże. Julia kochała beże, Aniela reagowała na nie odruchem wymiotnym, zupełnie jak na ciasteczka anyżowe.

Nawet na gwiazdkę dostała od córki ciemnoszary rozpinany sweter ze złotymi guzikami. Okropny! Szarobure, nudne ciuchy pasowałyby do jakiejś szarej myszki, a ona, Aniela, nigdy szarą myszką nie była i nie zamierzała tego zmieniać z powodu przekroczenia siedemdziesiątki i wdowieństwa.

Żałobę i owszem, nosiła, dokładnie tak długo, jak tego od niej oczekiwano, i ani dnia dłużej. Dzień później wszystkie czarne ubrania zaniosiła do kontenera PCK. Nie zostawiła sobie nawet obowiązkowej czarnej garsonki na cudze pogrzeby czy, jak to mówią, do trumny. Córce zapowiedziała, że ma ją pochować w wiosennej sukience w motyle, inaczej będzie ją straszyć po nocach przez kolejną dekadę, aż Julia będzie zmuszona ją ekshumować i przebrać. A ubieranie rozkładających się zwłok jest dużo trudniejsze niż takiego świeżego denata, więc nie powinna ryzykować.

Kawał życia zajęło Anieli zaakceptowanie siebie i przysięgła sobie, że już nigdy nie będzie się ugiwać pod naporem cudzych opinii. Robiła to zbyt często przez wszystkie lata małżeństwa.

Pomyślała o Marii, która zwykle nosiła brązy, czernie i szarości. Przyjaciółka chowała się za tymi ponurymi kolorami, do niedawna preferowała też zakrywające kolana spódnice, szerokie swetry i bluzki z długim rękawem, nawet latem. Aniela wiedziała dlaczego i nieraz miała ochotę przywalić temu draniowi Bolkowi. Na szczęście teraz Maria nie musiała już ukrywać siniaków, ale nie potrafiła się pozbyć utrwalanego latami poczucia winy.

Wychodząc z pokoju, Aniela zatrzymała się przed wiszącą na drzwiach szafy sukienką wieczorową. Miała głęboki kobaltowy kolor,

mnóstwo cekinów na koronkowych rękawach i szeroką, idealną do tańca spódnicę. Aniela uśmiechnęła się, gładząc materiał. Ogromnie cieszyła się na ten bal niespodziankę i już jej w tym głowa, by Maria też nie mogła się doczekać soboty.

Poprawiła przed lustrem krótkie siwe włosy. Błagały o jakiś kolor, powinna kupić farbę... Może jeszcze przed balemb zrobi sobie błękitną płukanke? O, to byłoby coś!

W znacznie lepszym nastroju poszła szukać Marii. Uznała, że tych kilka dni w Wielkiej Niedźwiedzicy to doskonały zbieg okoliczności. W styczniu zeszłego roku też Marii siadał nastrój, bo skupiała się na roztrząsaniu przeszłości i tego, czego zmienić nie mogła. Teraz także widziała w oczach przyjaciółki cień, którego nie było w grudniu, zanim Aniela wylądowała na wygnaniu w Słupsku. Coś z tym trzeba zrobić, pomyślała, zacierając ręce.

Pełna energii pomaszzerowała do jadalni. Do szczęścia brakowało jej tylko dużej kawy i tostu z serem i ketchupem – śniadania, które Julia uznałaby za niezdrowe i odpychające, a które Aniela uwielbiała.

*

Zofia Szyszka raz jeszcze spojrzała w lustro i poprawiła sukienkę, uparcie przekręcając się na biodrach. Przy okazji wypatrzyła ślad szminki rozmazanej w kąciiku ust.

Nie potrafiła racjonalnie wytłumaczyć, czemu aż tak się denerwuje. Powtarzała sobie, że ma wszystko pod kontrolą, że przecież to ona rozdaje karty. Wreszcie zbliżała się do momentu, na który czekała od tak dawna. Dopilnuje, by zwyciężyły prawo i sprawiedliwość. Teraz połączenie tych słów nie brzmiało może dumnie, ale ona wciąż wierzyła w obie te rzeczy i cieszyła się na myśl, że jest narzędziem, które je wyegzekwuje.

Tak właśnie się postrzegała – jako dumną, nieugiętą; to dzięki niej skruszona Maria wyzna swoje grzechy. Wreszcie była tak blisko celu. W ostatnich latach przy życiu trzymała ją jedynie myśl o tym, że nie może upaść, dopóki go nie osiągnie. Wszystko się rozsypało, ale ona to poskłada, gdy tylko przywróci ład.

Może powinnam założyć coś innego? – pomyślała, znów poprawiając sukienkę. Miękką miodową dzianina lekko kleiła się do rajstop, a boczny szew musiał być trochę krzywy, skoro wymagał ciągłego przekręcania. Kupiła ją specjalnie z myślą o dzisiejszym dniu, podobnie jak większość ubrań, które zabrała ze sobą, ale teraz naszły ją wątpliwości, czy nie była zbyt... niepoważna? Nie mogła jednak zejść na śniadanie w małym pensjonacie ubrana w garnitur, po prostu nie wypadało.

Oficjalnie wynajęła pokój do poniedziałku, ale przecież po sobocie nie zamierzała tu wracać – spakowała się właśnie tak, jakby planowała tu

spędzić tylko dwa i pół dnia.

Hej, Zofio, znowu się zamartwiasz nieistotnymi rzeczami i pozwalasz im odebrać ci to, no... *momentum* – ofukała w myślach zmartwioną kobietę z lustra. – Tracisz determinację i energię. Dość! Twoja sukienka nie ma znaczenia. Wiesz, co ma znaczenie. I tego się trzymajmy.

Poczuła się pewniej. Wyprostowała się i przeczesła włosy palcami, dodając fryzurze objętości. Dochodziła ósma. Czas na śniadanie.

W jadalni nie było nikogo, nawet nie paliło się światło. Nie słyszała żadnych odgłosów typowych dla pracującej kuchni, nie czuła właściwych śniadaniu zapachów. Zirytowana wróciła do pokoju. Maria znowu wybijała ją z rytmu, nawet się specjalnie nie starając!

Usiadła w nogach łóżka i starannie wygładziła zagniecenia sukienki na udach. Czekala, z każdą chwilą bardziej rozdrażniona. Zapatrzyła się na przysypany śniegiem port i kutry ginące pod czapami świeżego puchu. W słońcu skrzyły się jak obsypane diamentami.

Pocieszała się, że karty są już rozdane i to jej będzie na wierzchu. Musiała tylko dopilnować, by wszystko szło gładko, tak by nikt nie zrezygnował, póki jeszcze może.

*

Maria była spóźniona i zupełnie wytrącona z równowagi. Czuła, jakby wszystko się jej wymykało z rąk. Wpadła do kuchni po wpół do dziewiątej i w pośpiechu nastawiła czajnik i ekspres do kawy. Kroiła warzywa, układała na półmisku plasterki sera, wędliny i twarogu, koszyk napełniła kromkami chleba. Nie szcerstwiał, ale łatwo dawało się wyczuć, że jest wczorajszy. Zwykle rano robiła zakupy w pobliskiej piekarni. Powinna też upiec drożdżówki albo bułeczki maślane, ale teraz jedyne, co mogła zrobić, to dołożyć koszyk z pozostałymi z wczoraj muffinkami. Gdyby w pensjonacie nocowała tylko Aniela, nie zamartwiałyby się, bo po prostu zjadłyby na śniadanie racuchy albo francuskie tosty, pośmiałyby się z jej zaspiania i coś by wymyśliły. Ale kobieta, która pojawiła się wczoraj bez rezerwacji, mogła zareagować mniej pobłażliwie. Magda wspominała, że jest specyficzna. Nie zwiastowało to nic dobrego. „Specyficzny” w przypadku gościa znaczyło mniej więcej tyle, że nawet gdyby nosił krawat, byłby z tych wywołujących awantury.

Wyniosła wszystkie składniki śniadania do jadalni, ułożyła na stole talerze i koszyki. Dobrze, że wieczorem wyciągnęła ze zmywarki filiżanki, sztućce i talerzyki, bo teraz miałyby dwa razy więcej roboty.

Z tego wszystkiego znów zaczynała ją boleć głowa.

Zdążyła przynieść termos z gorącą wodą, gdy usłyszała kroki na schodach. Odwróciła się. Magda wspominała, że może znać tę kobietę, że ta coś o tym napomknęła, ale twarz klientki nie mówiła Marii

kompletnie nic. W średnim wieku, ładna, zadbana, ale jakby czymś zmartwiona. Może nie planowała samotnego pobytu nad morzem? Takie historie, ze złamanym sercem, wystawionymi do wiatru kochankami czy zawodem miłosnym zdarzało jej się tu obserwować niejedną raz.

Kobieta zeszła po schodach, ostrożnie trzymając się poręczy. Nic dziwnego, pomyślała Maria, widząc kozaki na wysokim obcasie.

– Dzień dobry – powitała gościa.

Ta odpowiedziała, ale patrzyła na Marię tak intensywnie, jakby spodziewała się po niej jakiejś reakcji. Może naprawdę się znały? Powiedziała Magdzie, że jest z Ustki... Może to córka którejś ze znajomych?

Zwięźle poinstruowała gościa w kwestii samodzielnego przyrządzenia kawy i herbaty, wskazując, co i gdzie się znajduje. Dotarła do pytania, czy z ciepłej opcji woli jajecznicę, czy kielbaski, a kobieta wciąż patrzyła na nią z wyraźnym zaskoczeniem.

– Nie poznaje mnie pani, pani Mario? – zapytała wprost.

– Szczerze mówiąc, nie – przyznała Maria. – Przepraszam, nie mam zbyt dobrej pamięci do twarzy, a w sezonie tylu ludzi się przewija przez pensjonat – tłumaczyła się, choć przecież nie powinna.

– Zofia Szyszka – powiedziała, jakby to miało Marię naprowadzić.

– Przykro mi. Proszę sobie wybrać stolik, a ja zaraz przyniosę ciepłe danie. – Już szła do kuchni, ale przypomniała sobie, że kobieta nie złożyła zamówienia. – Jajecznica czy kielbaski? – zapytała.

Zofia Szyszka lekko pokręciła głową.

– Jajecznica, bez boczku poproszę – powiedziała cicho i usiadła przy stoliku najbliższym okna. Miała stamtąd niezły widok nie tylko na ulicę, ale i na całą jadalnię i korytarz wiodący do kuchni.

Nie poznała jej. Przez chwilę myślała, że Maria udaje, ale nie, zauważyłaby. Szukała choćby najmniejszej rysy na szkle, lecz na próżno. Maria zachowywała się, jakby ona, Zofia Szyszka, nigdy nie istniała. Może tak właśnie było – nigdy dla niej nie istniała. Ta stara kobieta nawet nie wiedziała, że swoimi decyzjami i postępowaniem zraniła ją do samej głębi, odebrała jej nie tylko to, co kochała, ale i marzenie o tym, co mogłaby mieć później.

Zofia oparła podbródek na dłoniach i się zamyśliła. Czy to coś zmieniało? Nie. To, że Maria Garstka nie pamięta krzywd, które wyrządziła, wcale nie zmniejsza jej odpowiedzialności. Może nawet czyni ją większą, bo skoro nie pamiętała, to nie mogła żałować, odczuwać skruchy, nie współczuć jej. Nie żeby chciała tego współczucia, ale...

Pokręciła głową, a potem wstała, by nalać sobie kawy. Pomyślała, że skoro przez cały ten czas Maria nie poświęciła jej nawet jednej myśli, ona uderzy z tym większą przyjemnością.

Wróciła do stolika i drgnęła zaskoczona, ujrawszy stojącą w progu postać. Sądziła, że jest jedynym gościem w pensjonacie, ta siksa rano wyraźnie to powiedziała, więc skąd tutaj ta Grzebałko?

Aniela rozglądała się po jadalni, szukając Marii. Zauważyła tylko kobietę siedzącą pod oknem. Przez chwilę zastanawiała się, jakie są wymogi savoir-vivre'u w takich sytuacjach. Powinna się dosiąść czy nie? W końcu zdecydowała się na stolik w połowie odległości, bo zajęcie miejsca po przeciwnej stronie sali wydało jej się niegrzeczne.

Nalała sobie kubek kawy, ale nie znalazła nigdzie dzbanuszka z mlekiem, więc ruszyła do kuchni. Nawet nie przyszło jej do głowy, by tabliczkę z napisem „Strefa tylko dla pracowników” uznać za przeszkodę. To dotyczyło jedynie gości, a Aniela gościem przecież nie była.

Maria krążyła po kuchni z obłędem w oczach, a masło na patelni właśnie zbrązowiało i zaczęło dymić. Przeklinając pod nosem, przesunęła patelnię na wyłączony palnik i krzyknęła, kiedy kilka kropli wrzącego tłuszczu spadło jej na nadgarstek. Prawie się popłakała, sięgając po drugą patelnię. Nie usłyszała wchodzącej do kuchni Anieli, więc teraz podskoczyła, kiedy przyjaciółka pociągnęła ją za rękę w stronę zlewu.

– Potrzymaj chwilę albo będzie bąbel – powiedziała Aniela, odkręcając zimną wodę. – Jakie tamta chce jajka?

Maria patrzyła na Anielę z wdzięcznością, aż oczy jej się zaszkliły.

– Na maśle, bez boczku – powiedziała przez zaciśnięte gardło.

– Łatwizna, już się robi. – Aniela uśmiechnęła się i postawiła nową patelnię na palniku. Jajecznica była gotowa w niespełna trzy minuty.

– Zniosę ją, ty weź mleko do kawy i też chodź, zjesz ze mną – zarządziła Aniela i wyszła, z talerzykiem jajecznicy w dłoni.

– Mleko, zapomniałam o mleku – mamrotała Maria, nalewając je do dzbanuszka.

*

Aniela czuła, że coś się wydarzyło i że Maria nie chce o tym rozmawiać, więc nie naciskała. Jak zawsze próbowała oderwać przyjaciółkę od zmartwień. Jadły śniadanie, a na twarz Marii powoli wracały kolory.

– Znasz może naszego gościa? – zapytała szeptem Maria. – Uważa, że powinnam ją znać, i ma mi za złe, że tak nie jest. Nawet teraz czuję na plecach jej spojrzenie.

Aniela dyskretnie się wychyliła i przyznała przyjaciółce rację. Kobieta pod oknem świdrowała ją wzrokiem.

– Skądś ją kojarzę... Jak się nazywa?

– Zofia Szyszka. Nic mi to nie mówi.

Aniela zamyśliła się, popijając kawę.

– Słuchaj, chyba wiem... Pamiętasz ten mały salon fryzjerski na Żeromskiego? Ten zamknięty chyba z rok temu?

Maria się skrzywiła. Nie chodziła do fryzjera. Grzywkę podcinała sobie sama, a jeśli reszta robiła się za długa, prosiła o podstrzyżenie Anielę. Nigdy nie nauczyła się czerpać przyjemności z tego, że obcy dotykają jej włosów, a prosty bob nie wymagał nie wiadomo jakich umiejętności, więc skoro Aniela wiele lat strzygła córkę, dawała sobie radę również z włosami Marii.

– To był jej salon, wcześniej chyba należał do jej matki. Byłam tam raz czy dwa w fazie eksperymentów, ale nie podobało mi się to, co mi robiła na głowie, wyglądałam zbyt statecznie. Jak Elżunia z *Klanu*. I proponowała mi trwałą. – Wzruszyła ramionami, jakby nie miała nic więcej do dodania na temat smaku Zofii Szyszki. – Jeśli dobrze pamiętam, zwinęła interes i wyjechała. Nie wiedziałam, że wróciła... Ale musiała sprzedać mieszkanie nad zakładem, skoro zatrzymała się tutaj.

– Albo jej też zapowietrzyło kaloryfery – podrzuciła Maria.

– Albo – przytaknęła Aniela. – Słuchaj, myślałaś już, co włożysz na sobotnią imprezę? – zapytała, sprowadzając rozmowę na odpowiednie tory.

– A bo ja wiem? Tak mało czasu, że mam coraz więcej wątpliwości – przyznała Maria.

– O nie, żadnych wątpliwości! Nic się nie bój, znajdziemy ci odpowiednią kreację.

– Widziałaś, ile śniegu napadało? – rzuciła Maria, jakby to mogło przekonać Anielę.

– No napadało. Ale w końcu to impreza pod dachem, a nie bieg przełajowy. Poza tym do soboty wszystko może stopnieć, jeżeli się ociepli. Kto wie, czy nie pójdziemy na bal w kaloszach!

– Och, bal w sobotę? Czyżbyście panie też były zaproszone do Uroczyska? – zapytała Szyszka, która niby przypadkiem przechodziła obok stolika. Krążyła już drugi raz, udając, że potrzebuje łyżeczki i dokładki pieczywa. Nadstawiała ucha i próbowała coś usłyszeć, zaczepić, nawiązać nić komunikacji.

– A i owszem – przyznała Aniela i z nowym zainteresowaniem przyglądała się Zofii Szyszce. – Wie pani, kto to organizuje?

– To wszystko jest takie tajemnicze! I ekscytujące! Ja właśnie na ten bal przyjechałam. Zaproszenie mnie zaskoczyło, ale nie mogłam się oprzeć – świergotała radośnie, widząc, że Aniela łyka jej zachwyty jak młody pelikan. – Myślę, że to ma szansę stać się wydarzeniem sezonu, czymś, czego się nie zapomina!

Aniela entuzjastycznie pokiwała głową.

– Też tak sędzę. Nie darowałabym sobie, gdyby nas to miało ominąć. – Spojrzała wymownie na Marię.

Ta z rezygnacją pokiwała głową.

Jednocześnie w głębi duszy zastanawiała się, według jakiego klucza wysłano zaproszenia. Kiedy się okazało, że dostały je obie z Anielą, podejrzewała, że tajemniczym organizatorem jest ktoś z ich znajomych. Na przykład Anna. Była nietuzinkową, inteligentną i czytaną kobietą, bal tajemnic w duchu Agathy Christie byłby bardzo w jej stylu. Może wyjazd do SPA to przykrywka dla tej imprezy? Jeśli tak, skąd zaproszenie Zofii Szyszki? Może się znały albo znała ją któraś z przyjaciółek Anny?

Z drugiej strony Anna mogła się spodziewać, że Maria odmówi udziału w przedsięwzięciu tak gęsto spowitym tajemnicą. Jeżeli zadzwoni do synowej i zapyta wprost, czy nie zepsuje jej zabawy? A może to Tamara? Może wcale nie wyjechała do Łodzi?

ROZDZIAŁ 7

Jeszcze tylko minutka, wymamrotała Magda w poduszkę trzeci już raz, ale tym razem budzik okazał się nieugięty i nie dał się wyłączyć po niezbornym macaniu w poszukiwaniu przycisku. W półsennym widzie dotarło do niej, że ustawiła sobie wczoraj w komórce najwredniejszą wersję budzika, jaką znalazła – żeby alarm przestał wyć, musiała rozwiązać równanie matematyczne i wskazać te spośród tuzina zdjęć, na których znajdował się fragment roweru.

Latem zrywała się z łóżka przed wschodem słońca, galopowała na plażę niczym rączka sarenka, a potem gapiała się na morze, snuła niespieszne refleksje o życiu i popijała kawę z kubka termicznego. Oceniając z perspektywy, była cyborgiem. Lecz pod koniec listopada obudził się w niej suseł. Latem wystarczało jej pięć godzin snu, teraz potrzebowała dwa razy tyle. Może to przesilenie zimowe, a może brakowało jej jakichś witamin, pojęcia nie miała, ale właśnie dlatego ustawiła sobie bezlitosny budzik rodem z Matplanety. Po minucie sygnał robił się głośniejszy i bardziej natarczywy, po trzech wwiercał się w uszy jak młot pneumatyczny.

Na dodatek w nocy obudziło ją jakieś szuranie, jakby ktoś chodził tuż pod jej oknem, co było raczej niemożliwe, skoro mieszkała na drugim piętrze. Z jękiem usiadła. Oczywiście znała się na tyle, by zostawić komórkę na drugim końcu pokoju, więc musiała wstać, żeby wpisać równanie.

Sto dwadzieścia osiem podzielić przez osiem... Zajęło jej chwilę dodawanie ósemek, a potem źle trafiła w ekran dotykowy i zamiast 16 wpisała 15, więc znów usłyszała przenikliwy pisk. Poprawiła liczby, kliknęła w okienka przedstawiające rower (prawie przegapiła to ze znakiem drogowym z oznaczeniem ścieżki rowerowej) i w pokoju zapanowała błoga cisza. Kusiło, by znów się zagrzebać pod kołdrą, ale niebawem zaczynała się jej zmiana. Jeszcze osiem godzin i będzie miała wolny weekend, a nawet poniedziałek. I choć naprawdę lubiła swoją pracę w kawiarni, to cieszyła się na te dni, kiedy budzik nie będzie jej torturował matematyką z samego rana.

Na miejscu musiała być o ósmej, czyli za dwadzieścia minut. Błyskawicznie się umyła i ciepło ubrała. Wiedziała, że nie zdąży nastawić ekspresu, więc postanowiła nalać sobie kawy z dzbanka w jadalni. Wskoczyła w kozaki i kurtkę, złapała kubek termiczny, wypadła na schody i prawie wywinęła orła. Przywarła kurczowo do barierki, która uchroniła ją od upadku z dwóch kondygnacji. Oddychała szybko, nagle już całkiem rozbudzona. W nocy napadało tyle śniegu,

jakby miało nie być jutra, za to miał skoczyć popyt na psie zaprzęgi.

Ostrożnie zeszła po schodach. Powinna je odśnieżyć, ale wiedziała, że już nie zdąży. Szarpnęła za klamkę kuchennych drzwi pensjonatu. W środku było ciemno. Dziwne, babcia zwykle od siódmej kręciła się już w kuchni i szykowała śniadanie... Magda wymacała w kieszeni komórkę. Zmarzniętymi palcami próbowała ożywić ekran smartfona, gdy w ułamku sekundy straciła równowagę. Niewiele brakowało, by upadła płasko na plecy. Wyobraźnia podsunęła jej wizję krwawej aureoli, która otoczyłaby jej głowę na białym puchu. Zdołała się złapać rynnny, głośno sapiąc. Kolana jej drżały. Nagle zaczynała powątpiewać, czy zdąży dotrzeć do pracy na czas.

Starala się przyspieszyć kroku, ale pod puszystym śniegiem krył się zdradliwy lód, więc szła ostrożnie, łapiąc się bariererek i ścian.

Dotarła do Vincenta trzy minuty przed początkiem swojej zmiany, spocona jak mysz, jakby ten krótki spacer był ostrym treningiem na siłowni. Nika już zapaliła wszystkie światła, a w powietrzu unosił się zapach świeżo mielonej kawy. Ambrozja.

– Ile razy przydzwoniłaś tyłkiem o chodnik?! – zawołała koleżanka, wychylając się zza ogromnego ekspresu.

– Ani razu, ale wierz mi, wymagało to maksimum koordynacji i determinacji – sapnęła Magda, odplątując szalik. – Szaleństwo! Ile tego napadało!

– Ja grzmotnęłam trzy razy, zanim zdołałam zapiąć bliźniaki w fotelikach. A potem dwukrotnie wywaliłam się na odcinku od przedszkola do auta. I raz już pod kawiarnią. Wychodzi na to, że moje kozaki są świetne i nogi wyglądają w nich rewelacyjnie, ale te gładkie podeszwy na śnieg się nie nadają. Moje huncwoty myślały, że się z nimi bawię, więc oczywiście zanim wstałam, zaczęły się tarzać w śniegu i robić aniołki... Dobrze, że założyłam im kombinezony, inaczej cały dzień siedziałyby w przedszkolu z mokrymi pupami.

Magda parsknęła śmiechem.

– Wiem, że to kompletna głupota cieszyć się ze śniegu, jak się ma czterdziestkę na karku, ale wiesz, jakoś mi się tak lekko na duszy zrobiło, gdy rano zobaczyłam tę czystą, niewinną biel. A potem oczywiście pierdolnęłam kością ogonową o chodnik i cały nastrój diabli wzięli. Bęcwały podłapały moje „niech by to kurwica trzasła”, na szczęście myślą, że tam było „Kubica”. Teraz, przeklinając, będę wzywać imienia Kubicy nadaremno. – Nika wyrzucała z siebie słowa jak karabin maszynowy. Widać, że humor jej dopisywał, mimo obicia tyłka.

Magda poszła do pokoiku na zapleczu, gdzie zostawiła kurtkę i zmieniła kozaki na trampki. Opasała się fartuchem, który na jej drobnym ciele wyglądał jak spódnica do kolan, i wróciła na salę, gdzie Nika wyjmowała naczynia ze zmywarki. Sama zajęła się chowaniem

sztućców.

– Pamiętasz, jak jeszcze w grudniu radziłaś mi się nie nastawiać na białe święta, bo u was od lat zimy są łagodne? I jak się śmiałaś z mojej alpejskiej puchówki, którą kupiłam online? – zapytała z rozbawieniem.

– No bo to jakiś ewenement! Owszem, jak byłam szczeniarką, bywały ostre zimy, zimowe sztormy, śnieżyce, pamiętam zamarzającą Słupię i morze skute lodem, ale wiesz, to się nie zdarzało od lat! – tłumaczyła się Nika, jakby osobiście odpowiadała za warunki pogodowe w Ustce.

Magda nauczyła się kojarzyć to z lokalsami, którzy odruchowo tłumaczą się turystom z gorszej pogody. Sama, po zaledwie półrocznym pobycie w miasteczku, też już tak robiła.

– Widać pogoda ma nam coś do udowodnienia. Ciekawe, czy ktokolwiek tu dziś dotrze? Niby teraz nie pada, ale śniegu jest tyle, że czuję się trochę jak w oblężonej twierdzy. Dobrze, że jesteśmy otoczone tym całym jedzeniem, nie umrzemy z głodu – żartowała.

– Mogę być uwięziona najwyżej do szesnastej, potem muszę odebrać dzieciaki z przedszkola. Klęski żywiołowe będą zmuszone ustąpić wobec priorytetów.

Nika skończyła układać naczynia. Do dwóch dużych filiżanek naląka kawy, po czym doprawiła ją kleksem bitej śmietany i cukrową posypką.

– To stanowczo jest dzień na gwiazdkową posypkę, należy nam się – powiedziała, wręczając Magdzie filiżankę.

Chwilę później odebrały telefon od szefowej. Pług zasypał jej auto po dach, odśnieżenie go zajmie dłuższą chwilę.

Tego dnia w Vincencie zjawilo się niewielu klientów, za to każdy, kto już tu dotarł, rozsiadał się na co najmniej godzinę. Niektóre nowe osoby dosiadały się do stolików tych, którzy przyszli wcześniej. Prawie bez wyjątku byli to mieszkańcy Ustki. W styczniu przyjeżdżało mniej turystów, a dzisiejsze warunki całkiem ich pokonały. Każdy nowo przybyły zaczynał od rozmowy o pogodzie i ten temat dominował w ożywionych konwersacjach. A kiedy zaczęły przychodzić SMS-y z alertem RCB ostrzegającym przed intensywnymi burzami śnieżnymi i sztormem na Bałtyku w najbliższy weekend, w kawiarni zawrzało jak w ulu.

Magda przez cały dzień słuchała mrocznych opowieści o tym, jak to drzewiej bywało – o upiornych sztormach, o zamarzającym w ciągu godziny porcie, o rozpalaniu ognisk pod kutrami, by olej nie zamarzał, o kutrach uwięzionych w krach i Słupi całkowicie skutej lodem. Wyglądało na to, że każdy mieszkaniec pamięta co najmniej jedną apokaliptyczną burzę śnieżną, przeważnie sprzed narodzin Magdy. Może więc trudno się dziwić, że ten świeży śnieg i SMS-y z ostrzeżeniem rozbudziły wyobraźnię.

Dziewczyny nie narzekały na utarg, bo te wszystkie opowieści

o mrozie i sztormach pobudzały nie tylko wspomnienia, ale też ochotę na kawę z syropem rumowym. Magda podawała właśnie dwie nowe kawy rumowe z czapą bitej śmietany, kiedy Nika zawołała ją za kontuar. Magda zgarnęła z półki wibrującą komórkę i odebrała, nawet nie patrząc na ekran.

– Mogę do ciebie przyjechać? – usłyszała cichutki, dziwnie zgnębiony głos Moniki.

– Jasne, że tak. Jak zawsze...

– Tylko jakby tata pytał... Muszę coś wymyślić, nie chcę, żeby się martwił, a naprawdę nie jestem w stanie zatrzymać się u niego. Zaraz wszystko wyniucha, a ja potrzebuję czasu. I przestrzeni.

– Od Marcina też? – zapytała Magda zaniepokojona.

Kuzynka i jej mąż zaklinali się, że ślub niewiele zmieni w ich życiu, bo przecież są parą od podstawówki, mieszkali ze sobą, odkąd wyjechali na studia. Ale czy nie wszyscy to powtarzają? W pewnej chwili coś zaczyna zgrzytać. Nagle ktoś częściej zostawia skarpetki na podłodze albo uruchamiają się schematy myślenia, które wtłaczają młodą żonę w buty jej matki. Kobieta czuje, że musi wszystko robić sama, mieszkanie ma błyszczeć, a obiad powinien być dwudaniowy, bo to kwestia jej honoru gospodyni!

– Trochę, ale mniej, niż myślisz. Jak się już wyklaruje, to niczego nie będę przed nim ukrywać, ale teraz chciałabym na spokojnie przemyśleć sprawę.

Magda wyraźnie usłyszała w głosie kuzynki nutkę rezygnacji, a to było co najmniej niepokojące. Monika była żywiołem, długonogą walkirią, jednorożcem na speedzie. Nie popadała w melancholię. Gdy gnębił ją egzystencjalny kryzys, po prostu przemalowywała pokój albo zapisywała się na wolontariat ekopatrolu i głaskała jeże! Jednym słowem jej rozwiązania bywały niestandardowe, ale zawsze jakieś znajdowała.

– Czyli potrzebujesz alibi, żeby tu przyjechać bez wzbudzania podejrzeń taty i Marcina?

– Właśnie.

– Zwal to na mnie. Powiedz, że to ja cię ściągnęłam. Bo tu napadało śniegu, że głowa mała, zapowiadają jakieś sztormy i burze w weekend, a babcia idzie w sobotę na imprezę i boję się sama zostać w pensjonacie na wypadek, gdyby coś się działo.

– Myślisz, że kupią to, że się czegokolwiek boisz? – zadrwiła Monika.

– Wiesz, możesz im powiedzieć, że trupy i mordercy mi niestraszne, za to bałwany napawają mnie przerażeniem i odpalają moją fobię.

– Masz bałwanową fobię?

– Mogłabym mieć. Widziałas ten film, niby taki miły i rodzinny, gdzie ojciec się zamienia w bałwana, a potem się topi, bo nie dość szybko jako

bałwan zaprzyjaźnił się z własnym synem?

– Był taki film?

– No był!

– Upiorne.

– Prawda? No więc rozumiesz, że obawiam się w pojedynkę mierzyć z bałwanami, a ty nie możesz mnie z tym zostawić samej.

Monika parsknęła śmiechem.

– Dobrze, obronię cię przed wszystkimi bałwanami. A w razie czego znam kogoś, kto pracuje w chłodni w przetwórci rybnej.

– A po co mi chłodnia?

– Gdybyś potrzebowała utrwalić jakiegoś bałwana, zanim się z nim zaprzyjaźnisz.

– Logiczne. No, to wpadaj, jakby wujek lub Marcin pytał, mamy ustaloną wersję.

– Bez trudu w to uwierzą, za dobrze cię znają – podsumowała Monika z wyraźną ulgą.

*

Wywołałam bałwana z lasu, pomyślała Magda, zbliżając się do domu. Na chodniku tuż przy bramie na podwórko stał nieduży, może metrowej wysokości bałwan ulepiony z trzech niezbyt foremnych kul. Wbrew reputacji, którą właśnie budowała jej Monika, Magda nie cierpiała na bałwanofobię i nie czuła żadnych negatywnych emocji na widok śnieżnego dzieła czyichś rąk. Co najwyżej konsternację, bo bałwan zamiast rąk miał wciśnięte w boki dwa buty, czarny i szaro-różowy, w których od razu rozpoznała obuwie babci, a zamiast marchewkowego nosa z bałwaniej głowy sterczał wielki śrubokręt z czerwoną rączką, co wyglądało ciut makabrycznie. Magda wyjęła buty ze śniegowej kuli i starannie je otrzepała, wyciągnęła też śrubokręt.

Wchodząc do kuchni, wciąż z niedowierzaniem kręciła głową.

Aniela i Maria krążyły po pomieszczeniu, wyraźnie wytrącone z równowagi. Babcia przetrząsała szufladę ze sztućcami, mamrocząc pod nosem:

– No przecież musi gdzieś tu być! Mój najlepszy nóż! Diabeł ogonem nakrył!

Aniela wyciągnęła z innej szuflady długi i szeroki u podstawy nóż, jaki w horrorach zwykle kończył w czyichś trzewiach, i zapytała:

– A to nie ten?

Babcia odwróciła się gwałtownie i spojrzała z nadzieją, ale zaraz znów zmarmotniała.

– Nie, tamten ma drewnianą rączkę z trzema nitami. Najlepszy, i taki ostry! To ten od ciebie. Niczym innym nie pokroję warzyw i mięsa jak należy. – Nagle zobaczyła stojącą w drzwiach wnuczkę i drgnęła na

widok trzymany przez nią przedmiotów.

– Babciu, wiesz może, czemu bałwan nosił twoje buty i kto mu wsadził śrubokręt w mózg? – zapytała Magda, wymachując rzeczonym narzędziem.

Myślała, że babcia się roześmieje i powie, że ten bałwan to żart, jaki zrobiły jej z Anielą, ale zamiast tego Maria zbladła i podeszła do niej chwiejnym krokiem. Wyciągnęła spod pachy dziewczyny buty, a z dłoni śrubokręt.

– Co się stało? – zapytała Magda przestraszona miną babci.

– Nic, kochanie. Po prostu tracę głowę – odparła Maria i nie chciała powiedzieć już nic więcej.

ROZDZIAŁ 8

Maria była kompletnie wytrącona z równowagi, robiła też wszystko, by nie dać tego po sobie poznać. Po niespokojnej nocy obudziła się zmęczona i z ćmiącym bólem głowy. A to był dopiero początek paskudnego poranka. Zniknął gdzieś kaszmirowy szal, który dostała od Magdy na gwiazdkę. Mogłaby przysiąc, że wieczorem położyła go na półce nad wieszakiem na kurtki, tymczasem rano nie było po nim śladu. Może powinna przejść się po sąsiedztwie i przyjrzeć się okolicznym bałwanom?

Co gorsza, na zgubie się nie skończyło. Na progu leżała koperta – bez adresu, tylko z imieniem „Maria” wypisanym zamasztysem pismem. W środku znajdował się kolejny paszkwil, ale tym razem nerwy szantażyście puszczały, bo pod wydrukiem zawierającym groźby widniał ręczny dopisek: „Miarka się przebrała! Pożałujesz!”. Napisano go drukowanymi literami długopisem dociskany do kartki tak mocno, że w kilku miejscach przedziurawił ją na wylot.

Maria starannie złożyła kartkę i schowała ją z powrotem do koperty, jakby ta mogła stłumić bijący od listu gniew, a potem wcisnęła ją do szafki, w której trzymała leki, chemię gospodarczą i spory już pakiet wcześniejszych pogrózek. Listy pasowały do trutki na szczury i proszku na mrówki. Były tak samo toksyczne. Nadal nie wiedziała, co powinna z nimi zrobić. Rozum podpowiadał, że ma dwie możliwości: spalić je i udawać, że nigdy ich nie widziała, albo zanieść je na komendę i oddać w ręce syna, co wiązałoby się z tłumaczeniami, na które nie była gotowa. Wybrała więc wersję pomiędzy – pierwsze listy zniszczyła, ale trzymała te z ostatnich miesięcy. Część tu, część w pensjonacie, gdzie odbierała je z rąk listonosza.

Zamknęła drzwi na klucz i zeszła kilka stopni po schodach, kiedy uderzyło ją coś, co wcześniej jej umknęło. To był pierwszy list, na którym nie napisano jej pełnego adresu. Pierwszy, którego nadawca nie korzystał z poczty. Ktoś musiał wejść na jej podwórko, wdrapać się po zaśnieżonych schodach i przepchnąć kopertę przez wąski, od dawna niewykorzystywany przez listonosza otwór na listy. Ten, kto pisał te paszkwile, kto jej źle życzył i groził, był zaledwie kilka metrów od niej. I od Magdy, która przecież mieszkała piętro wyżej.

W pierwszym odruchu Maria pomyślała: nie należało jej tu sprowadzać, nie jest tu bezpieczna! Nogi się pod nią ugięły i usiadła na schodku, nie bacząc na śnieg. Uspokoiła się odrobinę dopiero po kilku minutach. Kiedy zapalała papierosa, ręce wciąż jej się trzęsły, ale w głowie trochę się przejaśniło, a serce przestało galopować.

Odepchnęła się od drewnianego stopnia i zeszła do kuchni. Miała gości do nakarmienia. Na załamanie nerwowe przyjdzie czas.

Zagniotła kruche ciasto na rogaliki, wsadziła je do zamrażarki i zajęła się obieraniem jabłek na nadzienie. Dla samej Szyszki zrobiłaby coś prostszego, ale była też Anielka i Madzia, która dziś już nie pracowała, więc pewnie przyjdzie na śniadanie do pensjonatu, bo jako żywo Maria nie widziała, by ta dziewczyna zносиła do domu wielkie zakupy spożywcze, w lodówce z pewnością miała więc pustkę. Marii nie tylko to nie przeszkadzało, ale cieszyło ją, jak szybko wnuczce wyrobił się nawyk wpadania na posiłki do pensjonatu. Poznawała na nowo jej kulinarne upodobania, bo między gustem dwunastolatki i dwa razy starszej pannicy bywały rozbieżności.

Rozwałkowała schłodzone ciasto i pocięła je w równe trójkąty, po czym zabrała się do układania na nich pokrojonych w kostkę jabłek obtoczonych w cynamonie i cukrze. Wyszły pełne trzy blachy. Pracując, słuchała radia i aż pogłośniła, gdy dotarły do niej pierwsze zdania prognozy pogody. Spiker ostrzegał przed silnym wiatrem, sztormem i narastającą śnieżycą. Maria poczuła się jak jakaś bohaterka Choromańskiego czy Żeromskiego, jakby jej emocjonalne burze i rozterki miały odzwierciedlenie w pogodzie. Ta znakomicie konkurowała bowiem z jej prywatnym weltszmercem i to, co uznała za przejaśnienie, było jedynie przerwą na oddech przed tym, co miało nastąpić. Wzdrygnęła się. Przecież nie może zostawić Magdy z tym samej!

Aniela wyczuła, że przez głowę przyjaciółki przetaczają się burze, gdy tylko przekroczyła próg kuchni. Rozpoznała objawy – sztywność pleców, nieobecny wyraz twarzy i oczy zaszczutego zwierzątka. Maria nie lubiła o tym mówić, ale Aniela nazywała ten stan „nawiedzeniem Marii przez ducha martwego męża”, bo to zwykle Bolek za niego odpowiadał. Zastraszona Maria miała tendencję do chowania się w emocjonalnej skorupie, Aniela uznała więc za swą misję uwolnić tę wersję Marii, która przez lata pozostawała zaszczuta – spontaniczną, radosną, szczodłą w uczuciach i otwartą na nowe. Wyłącznie radykalna zmiana mogła wyrwać Marię z tego piekła, które w sobie zbudowała w ramach mechanizmu obronnego. Nie spodziewała się od życia niczego dobrego, toteż nie mogła się rozczarować. Nie wychodziła ze strefy komfortu, nawet jeśli ta miała rozmiar ciasnej, więziennej celi.

Zatem Aniela próbowała. Namówiła przyjaciółkę na sporządzenie „listy rzeczy, które chcę zrobić przed śmiercią”, zachęcała do szukania nowych wyzwań, wciągała ją we własne przedsięwzięcia. Miała wrażenie, że proces otwierania się Marii na świat postępował powoli, ale nieuchronnie, jak wtedy, kiedy pojechała do Łodzi poprosić Madzię o powrót do Ustki.

Jednak strach toczący jej przyjaciółkę wracał. Aniela podeszła do niej i objęła ją ramieniem. Maria podskoczyła, mimo że Aniela wcale się nie skradała.

– Ja nie mogę – wyszeptała Maria przez zaciśnięte gardło.

– Czego nie możesz? – zapytała Aniela troskliwie, wyłuskując nożyk z dłoni przyjaciółki, który ta bezwiednie ścisnęła nie tylko za trzonek, ale i za ostrze.

– Tego, wiesz, jutro. Muszę zostać w domu.

Anieli nie umknęło, że powiedziała „muszę”, a nie „chcę”.

– Jeśli naprawdę tego chcesz, nie ma sprawy. Ale jeżeli to tylko lęk przed opuszczeniem strefy komfortu, to tak łatwo się zbyć nie dam.

Maria sapnęła z frustracją i wyrzuciła z siebie już głośniej:

– Wszyscy w kółko mówią, jak to koniecznie trzeba opuszczać strefę komfortu. Nikt się nawet nie zająknie, że czasem całe życie marzy się tylko o tym, by wreszcie jakąś strefę komfortu mieć! Budujesz cegielka po cegielce i wcale nie chcesz jej opuszczać! Wtedy przychodzi zły wilk, dmucha i ściany drżą w posadach. A ty aż za dobrze wiesz, co jest za tą ścianą!

Trzęsa się od nadmiaru emocji, których nie potrafiła ubrać w słowa. Przyjaciółka wiedziała o pierwszych listach od szantażysty, ale Maria nie wspomniała jej, że przychodzą nadal. Nie mogła jej w to wciągać. Nie mogła ryzykować, że Aniela zechce podjąć jakieś działania – a że tak właśnie by było, mogła się założyć. Pozwoliła, by przyjaciółka ją objęła i pocieszała w kryzysie, którego źródła nie знаła.

– Za tą ścianą jest życie, Maryniu, życie – wyszeptała Aniela do jej ucha.

– Tu też jest! – zaperzyła się Maria i wysunęła się z jej objęć. – I nie muszę się wystawiać na strzały w imię kultu dyskomfortu!

Anieli serce pękało, gdy patrzyła na umęczoną twarz. Gdyby mogła wziąć na siebie udrękę przyjaciółki, zrobiłaby to bez wahania. Bo Maria zasłużyła już na odrobinę spokoju, ale zawsze wymagała od siebie więcej i więcej. Aniela bała się, że przyjdzie dzień, kiedy Maria po prostu pęknie, złamie się pod presją.

– Kochanie, co byś powiedziała Ptaszynie, gdyby przyjechała tu i mówiła ci coś takiego? – zapytała cicho.

Maria zamknęła oczy i ciężko westchnęła.

– To, co zawsze: że ma prawo odzyskiwać równowagę w swoim tempie, ale... – zamilkła.

– Ale? – pociągnęła Aniela.

– Ale powinna się upewnić, że to ona podejmuje decyzje, nie strach. Bo strach nie jest nią.

– Jak ty czasem mądrze innym doradzasz – dogryzła jej lekko Aniela.

– Tu nie chodzi tylko o mnie! – zawołała Maria. – Jest też Madzia!

Magda nie wiedziała, że dwa piętra niżej jest argumentem w dyskusji. Ubrała się ciepło i miotłą zaczęła odśnieżać schody, bo uprzytomniła sobie, jak niebezpieczne mogą być dla babci. Wypadek pani Anielki tylko to potwierdzał. Zgrzana półgodzinnym wysiłkiem uznała, że właściwie zaliczyła dziś kardio i bez wyrzutów sumienia może zjeść na śniadanie coś pysznego. Już przez drzwi czuła, że babcia odpaliła piekarnik i szykuje się ucztą. Oparła miotłę o balustradę, otrzepała na wycieracze śnieg z butów i wpadła do kuchni Wielkiej Niedźwiedzicy. Przez ostatnie miesiące nauczyła się traktować pensjonat jak dom, a kuchnię jak jego prawdziwe serce. Tu najczęściej znajdowała babcię, tu gromadzili się członkowie jej rodziny, gdy wpadali bez zapowiedzi albo znaleźli powód do wspólnego świętowania. Nawet Tamarę, która nieoczekiwanie przeniosła się do Ustki, przyciągała siła grawitacyjna tej kuchni i wplątywała ją w gęstą siatkę rodzinnych powiązań.

Ściągając kurtkę, wyczuła napięcie między babcią a panią Anielą. Najwyraźniej przerwała im jakiś spór. Zawahała się, czy nie wycofać się rakiem, póki jej nie zauważyły, zbyt skoncentrowane na wymianie zdań, ale usłyszała: „Przecież nie mogę zostawić Magdy samej”, więc w jakimś stopniu już stała się częścią tej dyskusji.

Babcia i jej najlepsza przyjaciółka były pod pewnymi względami bardzo podobne. W zbliżonym wieku, siwowłose, drobne, pozornie kruche. Aniela w odróżnieniu od Marii Garstki była jednak żywiołowa i Magda nawet z drugiego końca kuchni widziała grę emocji przepływających przez jej twarz. Babcię cechowała duża powściągliwość, jakby stale kontrolowała swoje uczucia, pilnując, by nie wymykały się spod maski spokoju.

Magda podeszła do kuchennego stołu i porwała wciąż gorącego rogalika z blaszki. Zauważyły ją dopiero, gdy znalazła się w polu ich widzenia. Natychmiast dostrzegła lekką panikę w oczach babci. W komiksie wyskoczyłby nad jej głową dymek z pytaniem: „Ile z tego słyszała?”. Miała ochotę odpowiedzieć: „Wystarczająco wiele”, ale zamiast tego rzuciła:

– Oczywiście, że możesz iść na imprezę. Wręcz powinnaś. A ja sobie znakomicie poradzę. Za chwilę skończę dwadzieścia cztery lata. Już dwunastolatki można zostawić same w domu.

Maria z pewną irytacją pomyślała, że dziś podszedłby ją nawet niedźwiedź brunatny.

– Kochanie, słuchałam prognozy, zapowiadają armagedon. Owszem, nie jesteś dzieckiem, ale nie mogę ci zostawić na głowie pensjonatu, gdy nadciąga sztorm i burza! Możesz nie pamiętać, ale sztorm nad morzem to prawdziwy żywioł, zupełnie co innego niż burza w wielkim mieście.

Brzmiało to bardzo racjonalnie, ale Magda nie kupiła tych argumentów, podobnie jak wcześniej Aniela. Spojrzała na nią, unosząc brew w taki sam sposób, w jaki robiła to jej mama i Tamara, i powiedziała:

– Pustego pensjonatu, dodajmy.

Aniela z aprobatą kiwnęła głową.

– Nie będę sama. Za chwilę przyjeżdża Monika, będziemy miały dziewczynski weekend. Gdzie Madzi braknie, walkiria sięgnie, nie martw się.

I zanim babcia zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, Magda pobiegła do recepcji odebrać telefon, który rozdzwonił się jak na zawołanie.

Aniela poklepała Marię po wierzchu dłoni i powiedziała:

– To jest dzielna dziewczyna i ze wszystkim sobie poradzi. Jeśli naprawdę nie chcesz jechać na ten bal, nie ma sprawy. Powiedz, a wymyślimy sobie inne rozrywki. Ale nie wykorzystuj Magdy jako tarczy, którą zasłaniasz się przed życiem. Obie zasługujecie na coś lepszego.

– Dodaj jeszcze, że ja i ty jesteśmy za stare, żeby tracić okazję do imprezy – rzuciła Maria zaczepnie, choć musiała przyznać, że argumenty przyjaciółki do niej trafiały.

– Wiesz, że okazji nie braknie, jak długo masz odpowiednie nastawienie i buty do tańca. Jeżeli nie masz ochoty, żaden problem. Wydawało mi się, że to może być coś ciekawego, ale w końcu to tylko zaproszenie, możemy je zignorować.

W jakiś magiczny sposób to zapewnienie uspokoiło Marię.

– To tak mało czasu – jęknęła.

– Mało czasu? A co, planowałaś ustawić wcześniej nowy kalendarz adwentowy? – ironizowała Aniela, aż Maria parsknęła śmiechem. – Dziewczyno, stuknęła nam siedemdziesiątka, zaliczyłyśmy tyle ślubów, sylwestrów i pogrzebów, że w szafie mamy więcej kiecek niż ta laska z komedii, która była non stop druhną. Coś się znajdzie. Słyszałam, że nawet Jane Fonda nie kupuje nowych ubrań, bo uznała, że garderoby wystarczy jej do końca życia. Teraz to już nie *faux pas*, a odpowiedzialne podejście do losu planety.

I tak po prostu decyzja zapadła. Maria, ku swemu zaskoczeniu, nawet cieszyła się na sobotę.

ROZDZIAŁ 9

Monika dojechała do Ustki po trzynastej. GPS sugerował, że zajmie jej to prawie połowę mniej czasu, ale GPS guzik wiedział o jeździe oblodzoną, krętą kaszubską drogą, ze śniegiem zacinającym w szybę i silnym wiatrem szarpiącym jej małym tico.

Kiedy wreszcie zaparkowała na podwórku za Wielką Niedźwiedzicą, była spocona, palce miała zdrętwiałe od ściskania kierownicy i przez dobrą minutę po prostu dziękowała anielskiej interwencji, że udało jej się dojechać. Owszem, słyszała dramatyczne prognozy pogody, ale najgorzej zapowiadała się sobota. Jeżeli to, co przeżyła na drodze, nie było najgorsze, to nabierała respektu przed tym, co miało nadejść.

Wysiadła z auta i uderzył w nią lodowaty wiatr miotający śniegiem. Natychmiast zaczęła się trząść. Prędko wciągnęła długą puchową kurtkę, zsunęła kaptur głęboko na czoło i porwała torbę weekendową.

Planowała wejść od razu do Magdy, ale zwabiło ją światło w kuchennych oknach. W taką pogodę babcia pewnie coś piekła, a Magda nie przepuściłaby takiej okazji.

Zapukała i od razu nacisnęła klamkę. Przez otwarte drzwi wpadł za nią lodowaty podmuch.

Magda, babcia i pani Aniela siedziały przy stole, obierając i krojąc warzywa. Przywitała się z rodziną i opadła na krzeselko. Nie zdejmowała kurtki, wiedziała, że tu nie zdoła pogadać z Magdą i potrzebowały pretekstu, aby się wyrwać na miasto. Tak desperacko chciała z kimś porozmawiać! Chyba tym emanowała, bo babcia patrzyła na nią uważnie, jakby wyczuwała jej napięcie.

– Co tam, robaczku? – zapytała ze swoim łagodnym uśmiechem.

Monika machnęła ręką i natychmiast źle się poczuła z tym, że ma tajemnicę. Właśnie dlatego potrzebowała złapać odrobinę dystansu do Marcina. I taty. Nie pomyślała o babci.

– Odmarzam po jeździe, fatalne warunki. Wygląda na to, że idzie jeden z tych sztormów, o których będziemy opowiadać dwadzieścia lat później. Wiatr z północy, mroźny i mokry. Moje autko wolałoby odlecieć do ciepłych krajów z innymi ptaszętami – wyłgała się i z ulgą zauważyła, że babcia przyjęła jej wyjaśnienie. Tylko Magda wiedziała, że coś ją dręczy. – Mini-Garstko, jesteś przygotowana na tę apokalipsę, która nadciąga? Żebyśmy nie skończyły jak urugwajscy rugbiści w Andach, bo wiesz, że jeśli do tego dojdzie, nie masz ze mną szans.

Magda szybko załapała.

– Lodówkę mam pustą – przyznała.

– Gotuję dla was zupę na jutro – wtrąciła babcia.

Monika wstała, pocałowała ją w policzek i powiedziała:

– Babciu, zupa to fundament, ale nie da się przetrwać sztormu bez czekolady, pianek, przynajmniej jednego kawałka serniczka, krakersów i sera pleśniowego.

– I korniszonów – dodała Magda.

– I korniszonów. Zjadłabym korniszonów – przyznała Monika. – Potrzebujecie czegoś ze sklepu? Pogoda taka, że lepiej nie wychodzić, jeśli nie trzeba.

– Weź mi kubeczek śmietanki do zupy, dwanaście procent. A jakby wam czegoś brakło w weekend, u mnie w lodówce jest sporo różności, a w spiżarni tutaj jeszcze więcej. Może nie ma serniczka, ale rogalików wystarczy do niedzieli, więc nie musicie się nawzajem zjadać.

*

Zrobiły szybkie zakupy i z dwiema pełnymi torbami ulokowały się w Vincencie, gdzie Magda zaciągnęła Monikę. Wyczuwała, że to nie będzie łatwa rozmowa, a atmosfera kawiarni sprzyjała zwierzeniom. Po reakcji kuzynki w pensjonacie Magda zorientowała się, że nie tylko Marcin i wujek Marek mają nic nie wiedzieć, ale i babcia. Zamówiła duży dzbanek herbaty i ulubioną kawową bezę Moniki, po czym rozsiadła się na kanapie.

– Dobra, z czym się mierzymy? – zapytała poważnie.

– Babcia wyjeżdża na weekend? – zapytała Monika pozornie bez związku.

– Wszyscy wyjeżdżają, mają jakąś imprezę niespodziankę w Ustce Uroczysku: dom w środku lasu i bal tajemnic. Gdyby to była powieść Christie, radziłabym im unikać picia herbaty.

– Czemu akurat herbaty? – zapytała Monika, powoli się odprężając.

– Bo u Agathy najczęstszym narzędziem zbrodni była trucizna. A truciznę najłatwiej podać w herbacie lub kawie, zwłaszcza jeśli ktoś słodzi... Choć z drugiej strony nie wszystkie trucizny mają smak. Taki arszenik na przykład albo strychnina. W ciepłym napoju kryształki rozpuszczą się szybciej. A nawet jeśli nie od razu, w białej filiżance mniej się rzucają w oczy niż w kieliszku wody czy szampana.

– Widzę, że masz to przemyślane.

– Ostatnio często oglądałyśmy z babcią *Miss Marple*. Wiesz, te długie zimowe wieczory w pensjonacie... Powiedz mi, co cię dręczy, a powiem ci, co zrobiłaby z tym *Miss Marple*.

Monika parsknęła.

– Nie wiem, czy akurat ona mogłaby z tym cokolwiek zrobić.

– Nie doceniasz potęgi obserwacji i inteligencji dzielnej staruszki.

– Ona chyba była panną? Z tych, dla których oznaczało to powściągliwość seksualną?

Magda zmarszczyła czoło i zanim w pełni dotarły do niej słowa Moniki, odpowiedziała:

– Był tam jakiś motyw kawalera, którego kochała na zabój, ale zginął w czasie wojny. Chyba w *Morderstwie na plebanii* dali flashbacki. Nie pamiętam... Chwilunia, co ty właściwie próbujesz mi powiedzieć?

– Okres mi się spóźnia.

– Jak długo?

– Prawie cztery tygodnie.

– Czyli od poprzedniego, lekko licząc, dwa miesiące? – upewniła się Magda, a Monika przytaknęła. Magda nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, więc zapytała: – Jak się z tym czujesz?

– Chujowo, Madziu, chujowo.

– Ach, czyli nie planowaliście powiększać rodziny? – zapytała oględnie.

– Planowałam nie planować rodziny przynajmniej do końca studiów. Skrupulatnie łykam tabletki i w ogóle uważamy...

– Ale?

– W listopadzie miałam problemy z zatokami, dostałam od lekarza jakiś antybiotyk. Brałam go osiem dni. W środku cyklu. I gdy tak czekałam i czekałam na okres, to sobie przeczytałam w internecie ulotkę tego antybiotyku...

– Może osłabiać działanie antykoncepcji?

– Na to wychodzi. Boję się, że jak dodam jeden do jednego, to wyjdzie mi trzy.

– A ty wolisz, żeby wyszło dwa.

– Jesteśmy dopiero pół roku po ślubie. Żadne nie skończyło studiów. Marcina czekają jeszcze długie dwa lata, egzaminy, staż. Mnie też zostało sporo i po prostu nie wyobrażam sobie, jak miałabym to pogodzić. Może gdybym była na filologii, byłoby ciężko, ale dałabym radę, ale, do cholery, nie na AWF-ie... Tylko nie wiem, co bym zrobiła, gdyby...

Magda złapała ją za rękę.

– Czapło droga, może najpierw zrobimy test, zanim bez powodu zapętłisz się w tych swoich obawach? Wracając, możemy zajrzeć do apteki czy Rossmanna.

– W Ustce? Mama by wiedziała jeszcze przed powrotem ze SPA, a wtedy także tata i babcia. Marcinowi też wolałabym powiedzieć sama, bo to powinna być tylko nasza decyzja. Mam test, kupiłam w Gdańsku. Ale nie dam rady zrobić go teraz, tak blisko babci, po prostu nie. Jeżeli to nie dowód, że dla mnie jest za wcześnie, to sama nie wiem...

– Jutro pojedą na imprezę. Z tego, co mówiła pani Aniela, mają mieć nocleg na miejscu. Wtedy nasikasz, gdzie masz nasikać, i będziemy miały jasny obraz sytuacji. A do tego czasu o tym nie myślmy, bo

zwariujesz. Zaplanujmy na ten weekend coś zabawnego.

– Zabawnego, z przerwą na sikanie na patyczek.

– I tak byś wcześniej czy później sikała, teraz zrobisz to w konkretnym celu.

– Jesteś stuknięta.

– A i owszem. Dlatego tak dobrze pasuję do reszty Garstek.

*

Marek Garstka wpadł do Vincenta tak zaśnieżony, że w swojej wielkiej alascie z kapturem obszytym futrem wyglądał jak niedźwiedź polarny. Ciepło uderzyło w jego zmarznięte policzki, aż zapiekły. Ostatnie dwie godziny spędził w porcie, szukając zaginionego. Zaginiony miał sześć lat i jasne włosy. Dopiero po czterdziestu minutach od zgłoszenia kobieta wyznała, że chodzi o maltańczyka, a nie sześciolatniego wnuczka, jak pierwotnie założył po jej nerwowym telefonie na 112. Psina sama się znalazła. Kiedy poprzez wycie wiatru usłyszała wołanie swej pani, po prostu wypełzła zza przewróconego i zasypanego śniegiem potykacza restauracji.

Marek odprowadził ich do hotelu, gdzie miało nastąpić rozmrażanie maltańczyka i jego właścicielki, a sam w drodze na komendę wpadł rozmrozić się do Vincenta. Zamówił kawę na wynos i paczkę palonej mielonej, bo skończyła mu się na komendzie ta, którą kupowała mu żona, a Kowalik przyniósł taką lurę, że przebijała wszelkie stereotypy na temat podłej kawy, jaką się pija w komisariatach. Czekaając na zamówienie, Marek rozejrzał się po kawiarni i ku swemu bezbrzeżnemu zaskoczeniu zobaczył swoją córkę i bratanicę przy stoliku wciśniętym w najdalszy róg. Wydawały się pochłonięte rozmową i zmartwione. Odebrał od baristki swój kubek i paczkę. Przez chwilę się wahał, czy powinien podejść. Właściwie dlaczego nie? Czy tylko dlatego, że nie miał pojęcia o przyjeździe Moniki do Ustki, że nie dała mu znać i że, jak przypuszczał, nie zamierzała się zatrzymać w domu? Zapewne nie powinien czuć się zraniony – Monika była dorosła i miała prawo do własnych decyzji – mimo to zakłuło go trochę pod żebrzem. Czy gdyby Anna nie wyjechała, wiedziałyby o wizycie córki? Chyba nie należał do ojców, których się trzyma w błogiej nieświadomości?

Podszedł do ich stolika niespiesznie, dając siedzącej twarzą do wejścia Magdzie czas na reakcję. I nie przewidziało mu się – kiedy tylko go rozpoznała w jego niedźwiedziej chwale, jej oczy zrobiły się wielkie jak u postaci z kreskówki. Nie usłyszał, co powiedziała Monice, ale ta się odwróciła z lekką paniką wypisaną na twarzy.

– Tatku! – krzyknęła i zerwała się z krzesła, by go cmoknąć w policzek. Wychwycił napięcie w jej głosie.

– Co tam knujecie, moje złote? Jakies trupy, o których dużo wcześniej

powinnyście powiadomić lokalnego stróża prawa? – zapytał lekkim tonem. Próbował niefrasobliwie pociągnąć łyk kawy z papierowego kubka, ale była za gorąca i tylko się oparzył.

– Żadnego knucia – zapewniła Magda. – Dyskutujemy właśnie, czy bardziej Julia McKenzie, czy Geraldine McEwan.

– Odważnie z waszej strony wykluczyć Joan Hickson – odpowiedział. Dzięki pasji swojej matki znał doskonale ekranizacje *Miss Marple*. – Dopóki nie ma dyskusji, że David Suchet, chyba możemy się porozumieć.

– Nie no, pewnie, że Suchet – przytaknęła ochoczo Monika z wyraźną ulgą.

Nie zamierzał naciskać, a jednak nie dawało mu to spokoju. Jego policyjny nos intensywnie swędział.

– Nie wiedziałem, że przyjeżdżasz – powiedział tylko.

Lecz znów to Magda odbiła piłeczkę.

– Nie słyszałeś? Babcia i pani Aniela jadą na bal gdzieś w środek lasu. A ja jestem szczurem lądowym przerażonym na myśl o samotnym pozostaniu w pensjonacie, w obliczu najprawdziwszego zimowego sztormu. Mogłabym na przykład, uciekając w panice, pomylić kierunki i wbiec prosto w fale.

Uśmiechnął się, ale zasłonił usta, przyczesując wąsy i brodę.

– Monika, która wychowywała się nad morzem dłużej niż ja, ma mnie uchronić przed samotnością, lękiem i śmiercią wśród spienionych fal – dodała.

Nos swędział Marka jeszcze mocniej. Patrzył na córkę, która czerwieniała się coraz bardziej, aż rumieniec dotarł do linii jej rudawoblond włosów związanych w wysoki kucyk.

– Odpowiedzialne zadanie. Gdyby sprawiała ci kłopoty i uparcie biegła w objęcia Neptuna, zadzwoń, przybędę z odsieczą. Przed chwilą ocaliłem maltańczyka, mam doświadczenie w ratowaniu małych stworzeń – powiedział, patrząc jej prosto w oczy, aż zamrużyła speszona.

O tak, coś knuły, nie miał cienia wątpliwości. Pożegnał je i zadumany wrócił do komisariatu. Jeśli czegoś się nauczył przy tej dwójce, a zwłaszcza przy Magdzie, to tego, że gdy w coś wpadły, kwestią czasu było, aż się o tym dowie. I robi, co w jego mocy, aby wyciągnąć je z tarapatów. Jednak to dorosłe, choć młode kobiety. Musiały staczać samodzielnie swoje bitwy. Miał tylko nadzieję, że ufały mu na tyle, by zadzwonić po pomoc, jeżeli coś je będzie przerastało.

Minął dyżurkę i drzwi zabezpieczone zamkiem elektrycznym. Wszedł do swego pokoju na piętrze. Kowalik siedział przy swoim biurku, walcząc z raportami. Gdy poczuł kawę, uniósł głowę jak pies gończy.

– Tylko jeden kubek? Ty draniu – powiedział z zawodem.

– Niektórzy zapracowali na kawę, odmrażając sobie dupę w terenie –

odciął się żartobliwie.

– A inni byli na posterunku i na przykład przyjmowali dla ciebie korespondencję. Ale może teraz ją zgubią, bo niedobory kofeiny nie pozwolą im myśleć...

– Nie oddam ci mojej kawy – oświadczył kategorycznie Garstka. Jednak po chwili, zaciekawiony tą korespondencją, o której wspomniał Kowalik, dodał, wyciągając paczkę z kieszeni: – Ale mogę ci pozwolić zastąpić w ekspresie twoją lurę tym cudem. Jak tam twoja koncentracja?

Kowalik już wstał.

– Wsadziłem przesyłkę do twojego koszyka – oznajmił i drapieżnie schwycił pakunek.

Obwąchiwał zawartość przez opakowanie. Marek zastanawiał się czasem, dlaczego facet, który tak kocha dobrą kawę, kupuje najtańszą, a potem marudzi przy każdym kubku. Cóż, Kowalik był ojcem trójki dzieci, najstarsze liczyło jedenaście lat. Może z policyjnej pensji i urzędniczych zarobków jego żony na przyzwoitą kawę już nie starczało.

Marek odwiesił kurtkę na wieszak i przeszukał koszyk z papierzyskami. Między listami z sądu i kopiami jakichś dokumentów dla prokuratury znalazł kopertę z wypisanym jego nazwiskiem i adresem komisariatu. Zamaszyste pismo i elegancki bordowy atrament oraz gruby kremowy papier przywodziły na myśl zaproszenia ślubne. Czyżby Tamara? Albo Madzia? Ale czemu miałyby wysyłać akurat do komisariatu? Z szuflady wyciągnął scyzoryk i wprawnym ruchem przeciął kopertę.

– Co, u diaska? – wymruczał, czytając treść zaproszenia.

Poczuł wibracje u paska, a po chwili jego telefon się rozdzwonił na dobre. Wyciągnął go i z zaskoczeniem przeczytał na ekranie nazwisko Straszewicza z komendy w Słupsku.

– Garstka – zameldował na powitanie.

– Straszewicz z tej strony. Słuchaj no, co te twoje znów wymyśliły? – zapytał wprost starszy sierżant sztabowy Eugeniusz Straszewicz, który z Garstkami zaliczył już niejedną przeprawę.

– Obawiam się, że potrzebuję podpowiedzi – odparł Marek i bezwiednie potarł pogłębiającą się zmarszczkę między brwiami.

W słuchawce usłyszał chrząknięcie i szelest.

– Dostałem pocztą zaproszenie w duchu „morderstwo odbędzie się”...

Marek zerknął na bilet leżący na jego biurku.

– No proszę, odczytany policjant, te nocki na komisariacie nie poszły na marne – zażartował.

– Pierdol się, Garstka – zaśmiał się Straszewicz. – Czytam zaproszenie, o tych wszystkich tajemnicach, co wyjdą na jaw, a sprawiedliwość zatriumfuje, i myślę sobie: dosyć to wszystko teatralne i w ogóle pachnie

mi Magdą Garstką na kilometr.

– Może? Cholera wie, nie wtajemniczyły mnie, ale też coś takiego dostałem. I chyba moja matka także będzie w tym uczestniczyć...

– Wybierasz się?

– Rozważam – przyznał, choć jeszcze przed chwilą nawet nie wiedział o imprezie.

– Może dadzą dobre żarcie? – zgadywał Straszewicz, który kolejny już dzień zadowalał się zapiekanką na obiad. Jego żona przyjaźniła się z żoną Marka i teraz obie, z kilkoma innymi wiedźmami, jak je skrycie nazywał, bujały się w SPA, a on głodował. – Gorzej, jeżeli w ramach rozrywki dorzucą jakiegoś trupa – dodał dla porządku.

– Nic mi nie wiadomo, żeby Magda znalazła trupa – zaprotestował Marek, ale słabo, bo przypomniał sobie spłoszone spojrzenia bratanicy i córki, jak również słowotok Madzi.

– Akurat by ci powiedziała – sarknął Straszewicz.

– Przy pierwszym powiedziała mi od razu – oburzył się Garstka.

– A przy drugim? – Straszewicz wbił mu nóż prosto pod serce.

Marek milczał stropiony.

– Może trzeciego pozwoli ci samemu znaleźć? – droczył się sierżant sztabowy. – Słuchaj, wpadnę po ciebie jutro po piętnastej, co ty na to?

– Anna wzięła nasze auto, więc niech będzie. Naprawdę mam nadzieję, że nic nie zmalowały – jęknął.

Straszewicz roześmiał się jak opętany i się rozłączył. A Marek zaczął intensywnie analizować spotkanie w kawiarni.

Może to nic strasznego, może po prostu robią zabawę karnawałową? Czy Tamara aby nie wspominała, że na kolejnego sylwestra powinny koniecznie urządzać noc z morderstwem w Wielkiej Niedźwiedzicy? Może postanowią poćwiczyć?

Prawie sam siebie przekonał. Ale potem przypomniał sobie o tym nieustępliwym śwędeniu policyjnego nosa. No to klops.

*

Młode Garstki na lekkim cukrowym haju parły naprzód przez zadymkę. Za każdym razem, gdy Magda myślała, że już starczy, zaczynało sypać od nowa. Nasilał się też wiatr, przez co śnieg stawał się uciążliwszy. Słły pochylone do przodu, a każda jedną ręką ścisnęła troczki kaptura, drugą zaś torbę z zakupami.

– To wygląda jak wstęp do apokalipsy! – zawołała Magda, przekrzykując wiatr.

– To jeszcze nic! – odkrzyknęła Monika. – Jak Słupia i port zaczną zamarzać, dopiero się zacnie! Sztorm murowany!

– A to jeszcze nie jest sztorm?! – zawołała wystraszona Magda. Monika tylko się roześmiała i pociągnęła ją do drzwi wejściowych Wielkiej

Niedźwiedzicy.

Na wycieraczce otrząsnęły się ze śniegu.

– Nabieram respektu – przyznała Magda.

– Słusznie. Morze nie ma dziś dla nas dobrego słowa – odpowiedziała Monika, rozsuwając kurtkę.

Skierowały się od razu do kuchni, skąd dobiegały przytłumione dźwięki radia i ciche odgłosy rozmowy. Nie spodziewały się spotkać nikogo w ciemnym korytarzyku wiodącym na zaplecze, dlatego Magda pisnęła przestraszona, dojrawszy ruch na tle drzwi kilka metrów dalej. Zaraz odetchnęła, rozpoznając jedyne gościa pensjonatu. Co tu robiła, przyczajona w ciemności? Podśluchiwała babcię i Anielę? Może czuła się samotna i zbierała się na odwagę, by nawiązać rozmowę?

Magda trochę jej współczuła. Od swego przyjazdu Zofia Szyszka prawie nie opuszczała pokoju. Wyszła tylko raz czy dwa, pewnie zjeść coś w restauracji albo zrobić zakupy. Nikt jej nie odwiedzał, a pogoda nie sprzyjała spacerom. Taka izolacja mogła być przykra.

Nadaktywna wyobraźnia podsuwała Magdzie kilka wyjaśnień, każde melodramatyczne. Może była z kimś umówiona, ale ten ktoś nie dojechał. Przez pogodę? Miał wypadek? Wpadł w poślizg i leży teraz zasypany w rowie, gdzie nikt go nie znajdzie przez kolejne dni albo i do roztopów? A może wcale nie wyjechał z domu? Może skończył ten romans? Nie miała pojęcia, skąd przekonanie, że chodzi o romans, ale było w Szyszce coś, co przywodziło na myśl tajemnicę, więc ten romans pasował Magdzie najbardziej. Może powiedział jej, że zrywa, a ona nie przyjęła tego do wiadomości i przyjechała tu w nadziei, że i on się pojawi? A może wcale jej nie powiedział i ona właśnie tu, samotna i opuszczona, domyśla się, że to koniec?

– Wszystko w porządku? – zapytała Magda.

Szyszka wyprostowała się dumnie i wyminęła dziewczyny, nie zaszczycając ich słowem wyjaśnienia czy choćby spojrzeniem.

*

Twarz ją piekła, uszy wydawały się płonąć. Wmaszerowała po schodach, a uderzenia obcasów o drewniane stopnie rozchodziły się echem. Kiedy weszła do swojego pokoju, nie mogła się powstrzymać i trzasnęła drzwiami. Na ułamek chwili poczuła się lepiej, ale złość szybko wróciła. Krążyła od ściany do ściany, a emocje buzowały w niej tak, że mimo uchylonego okna zrobiło jej się gorąco.

Przez chwilę nie potrafiła schwycić myśli, która doprowadzała ją do takiego stanu, ale przecież to było oczywiste. Była wściekła, bo Maria nie cierpiała. Nie użalała się nad sobą. Nie żyła sparaliżowana strachem czy poczuciem winy. Nadal miała wszystko to, co powinno być jej, Zofii Szyszki. Otaczał ją ten nieznośnie niezasłużony szacunek, którego

Szyszka nienawidziła. Jej nikt nie szanował. Jakby nic się jej nie należało!

Myśl, że Maria została nagrodzona mimo popełnionej zbrodni, była jak żrący kwas. Zofia nie zamierzała tego dłużej znosić. Za długo czekała. Sądziła, że w ten sposób przeciąga udrękę Marii, w pierwszym odruchu chciała nawet poczekać do pełnej rocznicy, ale nie wytrzymała. Zajrzała do Ustki kilka tygodni temu. Nie weszła do pensjonatu, nie zameldowała się, jak tym razem, ale pozostawała w pobliżu.

Wtedy zobaczyła tę małą siksę. I tę damulkę z jej przystojniakiem, rudym, a mimo to dziwnie atrakcyjnym. No i Marię. Żyły, jakby nic się nie stało. Nie mogła tego znieść. Dlatego przyspieszyła realizację swego planu.

Uderzenie gorąca tylko wzmogło jej wściekłość. Ściągnęła przez głowę dzianinową sukienkę i rzuciła ją na łóżko. Krążyła po pokoju w eleganckiej halce, czarnych pończochach i koronkowym komplecie bielizny. Tak, za to też winiła Marię. Oczywiście nie za menopauzę jako taką, ale że dopadła ją, kiedy została z niczym. A mogła mieć wszystko! Dom, męża, dzieci! Prawie dziesięć lat temu, kiedy to się zaczęło, była przekonana, że to właśnie ją czeka, ale nic się nie spełniło. Przez Marię. A uderzenia gorąca i pulsujące żarem policzki tylko przypominały, że jest już za późno.

Wyciągnęła z walizki wydrukowane listy. Myślała, że nadal będzie je podrzucać, ale to nic nie zmieniało. Przynosiło zaledwie chwilową ulgę.

Zatem koniec z listami, pomyślała Szyszka, siadając na podłodze pośród wydruków, z nabazgranymi na nich długopisem przekleństwami i groźbami. Teraz było jej zimno, ale nie zamknęła okna, tylko założyła szlafrok. Lubiła to, że wiatr, nawet zimny i nieprzyjemny, pachnie portem. Pachnie jak on. Ta smarkuła przypadkiem dała jej idealny pokój.

Szyszka opadła na łóżko i ukryła twarz w dłoniach. Nie, żadnego płaczu. Już nie. Jutro wszystko wybuchnie Marii w twarz. I kiedy wreszcie będzie mogła iść na jego grób, o wszystkim mu opowie. Będzie z niej dumny.

ROZDZIAŁ 10

– Oj, Mario, ty się zawsze spodziewasz katastrofy! – jęknęła Aniela.

– Katastrofa to duże słowo – odpowiedziała Maria.

Nie dodała, że to, czego się wiecznie spodziewa, nazywa się Sądem Ostatecznym i boską sprawiedliwością. Nie mówiła przyjaciółce, jak ciężki był napór poczucia winy ani jak dziwny posmak zostawał w jej ustach, jeśli spotykało ją coś miłego – jakby każda taka rzecz przybliżała ją do chwili, w której przyjdzie jej za wszystko zapłacić. Starła się stłumić w głowie wysoki głos swojej babki, który powtarzał, że dobrych ludzi nie spotykają złe rzeczy, a źli ludzie nie mają co się spodziewać dobrych. O ile nauczyła się uciszać głos Bolka, który czasem szeptał jej najpodlejsze słowa, o tyle nigdy nie zdołała uciszyć starszej pani.

Kiedy spotykało ją coś przykrego, nigdy nie pytała Boga czy losu, czym sobie na to zasłużyła. Nie musiała. Słyszała w głowie głos babki, oschły i surowy: „Dobrych ludzi spotykają dobre rzeczy, jeżeli spotyka cię coś złego, rób rachunek sumienia”. Już mając siedem czy osiem lat, wzięła to sobie głęboko do serca, bo zasada ta stanowiła linię, którą babcia dzieliła świat na nierówne części. Niekiedy w jej dziecięcej główce pojawiały się wątpliwości. Czy to, że jej mama umarła, gdy Maria miała zaledwie dwa lata, nie było „czymś złym”? A jeśli tak, czym mogła podpaść Bogu w tak młodym wieku?

Babka była bezlitosna. „Tak się darłaś całymi nocami, że straciła wolę życia, nie ma co w to mieszać Boga”, odpowiedziała, kiedy wnuczka odważyła się zapytać.

Wstrząsnęło to małą Marynią i popchnęło ją ku przytłaczającej konstatacji: zabiła swoją matkę. Czy w takim razie przez resztę życia może się spodziewać czegoś innego niż smutków?

Rok później odkryła, że babcina reguła jest bardziej złożona, a człowiek może być przez Boga ukarany nie tylko za własne grzechy, ale też za grzechy przodków, więc to, że ktoś jest dobry, nie chroni go przed złem.

Wracały z babką z nabożeństwa majowego. Babcia wybrała dłuższą drogę i po kilku minutach stały przed zgłiszczami. Maria przypomniała sobie, że babcia i tato rozmawiali przy śniadaniu o pożarze. Wybuchł w nocy i strawił prawie cały dom, właścicielka zdążyła wyprowadzić z niego dwójkę dzieci i psa. Zanim przybiegli sąsiedzi, nie było już co gasić.

– Tego się należało spodziewać – mruknęła babka, patrząc na sterczące z ziemi fundamenty i kikuty po drewnianym stelażu.

Marię zaskoczyły te słowa. To był dom pani Klotyldy, nauczycielki

z podstawówki. Uczyła ją literek. Jej mąż utonął na morzu i czasem miała czerwone od płaczu oczy. Marysia знаła też jej dzieci, cichutką jak myszka Anię i Piotrusia, który ciągnął dziewczynki za warkocze, ale dał fangę w nos Mietkowi, gdy ten kopał psa... Które z nich mogło zrobić coś tak okropnego, by stracić dom?

– Drabina Jakubowa – oświadczyła babka tonem pełnym satysfakcji. – Grzechy ojców i matek spadają na synów. I córki.

A gdy Maria dopytywała, odpowiedziała zwięźle:

– Za to, co jej matka wyczyniała z hitlerowcami, będą płacić jeszcze jej wnuki.

Marię zmroziło. Czyli nawet jeśli będzie zawsze grzeczna, zostanie ukarana? Jej tata był niezbyt miły, o dziadku wiedziała niewiele, bo zginął w czasie wojny... A babcia? Zresztą może wystarczy to, że Maria zabiła swoją mamę, żeby już zawsze mieć pod górkę?

Babka wkładała jej w głowę te zasady, a one wrastały. Maria czasami je kwestionowała, widziała niesprawiedliwość takiego porządku świata, ale nie wierzyła, że może to zmienić. Tak już po prostu było.

Dorośla Maria rozumiała, że jej babka postępowała okrutnie.

Kiedy dziewiętnastoletnia Marysia, od niedawna mężatka, przyszła do rodzinnego domu z siniakami po pierwszym pobiciu, wciąż w szoku, że jej mąż mógł zrobić coś tak okropnego, babka stała w progu, ani myśląc o wpuszczeniu jej do środka.

– Za niewinność pewnie nie dostałaś. Zrób rachunek sumienia – powiedziała chłodno. – Idź, zanim ojciec cię zobaczy, po co go denerwować i zawstydząć? Wasze sprawy, wasze grzechy.

Nawet tyle lat po śmierci babki te słowa paliły duszę Marii jak kwas.

Przez długie lata nikomu nie wspominała choćby słówkiem, co ją spotykało w czterech ścianach domu. Jej grzechy, jej jarzmo. Wiedziała, że Bolek postępuje podle, ale czuła na sobie ciężar śmierci matki, a z drobnych nieposłuszeństw podświadomie budowała mur, który oddzielał ją od szczęścia i łaski bożej.

Tak naprawdę dopiero kontakt z Ptaszynami zaczął dezintegrować wdrukowany jej przez babkę obraz świata. Po prostu nie potrafiła uwierzyć, że którakolwiek z tych kobiet zasłużyła na przemoc. Wpojona przez babkę filozofia, którą przyjmowała przez większość życia, przestała pasować. Jej fundamenty znaczyło coraz więcej pęknięć, mimo to Maria czasem łapała się na myśli, że jednak nie runęły jak mury Jerycha. Może dlatego podświadomie godziła się z tym, że przychodzą do niej te upiorne listy – bo pasowało to do wizji kary za jej grzechy. O ile z czasem zrozumiała, że mama umarła wskutek zbyt późno wykrytego zapalenia wyrostka robaczkowego i sepsy, o tyle śmierć Bolka niezmiennie ciążyła jej na sumieniu.

„Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy, przyszła kryska na Matyska”,

szeptala w jej wspomnieniach babka, kiedy sąsiadów spotykało coś nieprzyjemnego. Czasem dlatego, że zawinili ich przodkowie.

To też martwiło Marię. Bo co, jeśli sprawiedliwość dopadnie nie ją, ale Madzię czy Moniczkę? Nie zniosłaby tego. Może dlatego bezwiednie liczyła, że odpowie za wszystko jeszcze za życia...

Aniela zauważyła, że Maria całkiem odpłynęła myślami. Znów miała to zaszczute spojrzenie, a całe jej ciało usztywniło się w stresie. Aniela westchnęła.

– Słuchaj, nie spodoba ci się, to wrócimy do domu. Słowo honoru. Ale fajnie byłoby tę moją stetryczalą nogę rozruszać, potaćnić, żeby czasem się kościom nie wydawało, że już mogą się opierdalać – przekonywała, przeszukując półkę z kasetami.

Maria ciągle miała stary odtwarzacz i nie chciała słyszeć o „zbytkownej” zamianie na nowocześniejsze urządzenie. Aniela znalazła wreszcie odpowiednią kasetę. Chwilę później rozbrzmiały pierwsze dźwięki *Dancing Queen*, a Aniela zaczęła płasać niczym nimfa, nie zważając na sztywność biodra i kolana. Lepiej niech się przyzwyczają, że ona długo w miejscu nie usiedzi!

Przy *Waterloo* nawet melancholia Marii musiała umknąć do ciemnego kąta i obie przyjaciółki kiwały się w rytm piosenki, przeglądając zawartość szafy w poszukiwaniu kreacji na bal tajemnic. Aniela odrzuciła wszelkie propozycje Marii dotyczące spokojnej wełny i wtapiającej się w tło dzianiny, aż w końcu wyciągnęła z głębi szafy pokrowiec na suwak. Wisiała w nim sukienka z aksamitu, z długimi rękawami i małą stójką, wąska tuba do kostek, ale z ładnym rozcięciem nad kolano. Materiał mienił się pod światło, przybierając barwę od bakłażanowej po jasny wrzos. Kreacja nie miała żadnych ozdób, nie licząc ciągu perłowych guziczków na plecach, od stójki aż do talii. Tkanina była lekko elastyczna i jeśli Maria nie schudła za bardzo od czasu, kiedy ją kupowała, suknia powinna pasować idealnie. Ależ jej się wtedy podobała! Przymierzała ją chyba ze trzy razy i wydała na nią więcej, niż nakazywał rozsądek, ale po tamtej nocy sylwestrowej nigdy nie zdobyła się na to, by ją ponownie założyć. Niemal trzydzieści lat wisiała w szafie. Przez ten czas wiele innych rzeczy wrzuciła do kontenera PCK, ale na oddanie tej sukni nie mogła się zdobyć. Trochę o niej zapomniała, ale teraz na jej widok wróciły radość i podniecenie. Za to prawie już nie myślała o Bolku i zawodzie, który przeżyła tamtej nocy.

– Fiu, fiu, moja droga! To jest sztos! Czemu ja cię w niej nigdy nie widziałam? – zapytała zaskoczona Aniela.

Maria odruchowo pogładziła tkaninę. Miękki meszek był taki przyjemny w dotyku.

– Nigdy jej nie założyłam. To znaczy założyłam raz, ale nigdzie nie

wyszłam...

– Czemu jestem pewna, że to kolejna historia o spierdoleniu sprawy przez Bolesława? – zapytała Aniela, która zawsze była cięta na męża Marii i jego zgon nie wyrównywał rachunków, jakie z nim miała.

– Poniekąd... No tak, masz rację. Chłopcy byli nastolatkami, szli na całonocną imprezę do kolegów, a my mieliśmy po raz pierwszy iść na taki zorganizowany, elegancki bal sylwestrowy, z kolacją i tańcami. Wiedział, że się na to tak cieszę... Wyszedł koło piętnastej, miał wrócić za godzinę, góra dwie. Gdy pytałam, czy pamięta, odburknął, że przecież nie jest głupi. No nie był. Wrócił następnego dnia, wciąż pijany i rozdrażniony...

– A ty oczywiście czekałaś na niego i nie przyszło ci do głowy, żeby iść na przyjęcie samej.

– Nie przyszło – przyznała. – Byłby zły, gdyby nie zastał mnie po powrocie.

– Czy wspominałam już dziś, że nie żał mi ani odrobinę, że morze wzięło tego skurczybyka w swoje zimne i nieczułe objęcia? I że masz go z głowy po wsze czasy, na wieki wieków, amen? – zapytała mściwie Aniela.

Maria zacisnęła usta. Nie wyznała przyjaciółce, że kiedy wstała dziś rano, po kolejnej niespokojnej nocy, w kuchni zastała rozsypane na podłodze, stole i blatach kawę i cukier. Okna i drzwi były zamknięte. Czy możliwe, że sama to zrobiła i nie pamiętała? Lunatykowała? Traciła rozum? Wpisała w wyszukiwarkę „objawy demencji”, „alzheimer” i „lunatykowanie”, ale Google nie miał jej do zaoferowania niczego, co pasowałoby do jej przypadku. Jakie mogły być inne opcje? Chyba wolałaby tracić pamięć i zmysły, niż myśleć, że był tu złośliwy duch Bolka. Przecież nie wezwie egzorcysty...

Aniela zauważyła, że humor Marii znów zaczął siadać. Słowo daję, z nią jest czasem naprawdę roboty po łokcie, pomyślała. Wyciągnęła sukienkę z pokrowca i przyłożyła wieszak pod brodę przyjaciółki.

– Będzie pasować – zdecydowała. – Odświeżymy parą i będzie jak nowa.

– Czy ja wiem... Nie jest zbyt strojna? – powątpiewała Maria.

– Jest doskonała. Klasyczna. Gdybyś założyła tę gipiurową kieckę z osiemdziesiątego trzeciego, obawy byłyby w pełni uzasadnione – zawyrokowała Aniela i z satysfakcją zauważyła, że Maria znów gładzi materiał, zachwycona jego miękką fakturą. – Poza tym nie możesz się ubrać jak na co dzień, bo przy tobie w mojej kreacji wyglądałabym jak pajac.

– Przypomnij mi, czemu się w ogóle stroimy?

– Bo możemy, Maryniu, jeszcze możemy! Potem nas do trumny wystroją, choćby w te gipiury z lat osiemdziesiątych, i już nic do gadania

mieć nie będziemy. A kto wie, co nas wcześniej czeka? Może spotkamy dwóch szczypiorków ledwie po sześćdziesiątce, majątnych, przystojnych i z biglem, którym zawrócimy w głowie i wdamy się w radosny romans bez zobowiązań? No co? – zapytała, widząc uniesione brwi Marii. – To jest jakaś perspektywa!

– Przynajmniej pod tą długą nogę włożyć ciepłe rajstopy i skarpety, zmieszczą się do botków. Bo pantofelków odmawiam – zastrzegła Maria.

– Nie będę się sprzeczać, bo ciepłe skarpety i rajtki są jednak w styczniu kluczowe. Wiesz, ten romans z sześćdziesięcioletnimi szczypiorkami to tak nie od razu do konsumpcji, niech się trochę postarają.

Maria mimowolnie parsknęła śmiechem.

Spakowały w małe torby piżamy i kosmetyczki, a Maria wcisnęła jeszcze ciepły szlafrok, bo gdy myślała o domu w lesie nieopodal plaży, w czasie styczniowej śnieżycy i sztormu, natychmiast zrobiło jej się zimno.

– A w ogóle nie wydaje ci się dziwne, że zapraszają z noclegiem? – zagadnęła. – Mam nadzieję, że nie w tych domkach letniskowych na terenie ośrodka.

– Nie sądzę, pewnie w głównym budynku. O ile pamiętam, jakiś zakład pracy ze Słupska wynajmował go kiedyś na wczasy dla pracowników. Myślę, że oferta noclegów ma sens. Jeśli planują serwować alkohol, lepiej, żeby goście nie wracali do domu po iluś drinkach, na dodatek w ciemności i przy takiej pogodzie, a na taksówkę raczej nie będzie można liczyć.

– Chyba masz rację – przyznała Maria.

– Kochana, ja wiem, że ty zawsze próbujesz się przygotować na plan awaryjny, ale przypominam: jesteśmy razem, nikt nas tam siłą trzymać nie będzie. Pobawimy się albo wrócimy, jeżeli nie chcesz, nie musimy zostawać na noc. Mogę nawet nie tknąć wina, żeby prowadzić trzeźwa jak świnka morska.

Maria bez słowa uściskała przyjaciółkę. Nie potrafiła powiedzieć jej wprost, jak wiele dla niej znaczy ta przyjaźń. Miała nadzieję, że Aniela to wie. Trwała przy Marii, nie zrażając się jej powściągliwością w mówieniu o własnych emocjach i dystansem, jaki czasem stwarzała. Kto wie, czy gdyby nie ona, Maria już dawno nie popełniłaby innego grzechu śmiertelnego. Jej babka dopadłaby ją w piekle tylko po to, by napluć jej w twarz, bo samobójcami gardziła niezmiennie.

*

– A jednak, sama widzisz! Los, znaki i klątwa! – warknęła Maria zirytowana.

Od piętnastu minut próbowała uruchomić samochód, który wcześniej

pieczołowicie odśnieżyły, a to kapryśne bydlę odmawiało współpracy. Zaczynała podejrzewać, że tegoroczna zima ostatecznie rozłożyła jej akumulator, bo silnik tylko rzeził i cichł, bez względu na to, jak mocno naciskała pedał gazu i ile razy przekręcała kluczyk w stacyjce. Oto epitafium jej mobilności.

Aniela stała obok, nie zwracając uwagi na gęsto sypiący śnieg, i podpierała się pod boki. W puchowym płaszczu spiętym w talii szerokim paskiem wyglądała trochę jak bałwanek.

– Los i znaki, też mi coś. Co najwyżej znak, że musimy podejść po moje auto – zaprotestowała twardo.

– O ile twój bączek ruszy! Stoi na mrozie dłużej niż ten. Nie zostawiłaś akumulatora w domu, prawda? – dopytała Maria.

– Jakby to zrobiło wielką różnicę, gdy w domu nie ma ogrzewania – niechętnie przyznała Aniela. – Możemy wezwać taksówkę. Albo zadzwonię do wnuka...

– Tylko zanim on dojedzie ze Słupska i nas dowiezie w tę pogodę, to już będzie po ptokach.

– Racja. Cholera jasna... A może Moniczka by nas podwiozła?

Wtedy, niczym w baśni, los zdawał się spełnić ich życzenie, bo usłyszały:

– Hej, ho! Potrzebujecie podwózki?

Zofia Szyszka drobila po wydeptanej w śniegu ścieżce.

Było w jej swiergocie coś, co drażniło Marię, ale w tej sytuacji oferta pomocy wydawała się prawdziwą gratką. Spojrzała na Anielę. Przyjaciółka wyglądała na uradowaną tym niespodziewanym darem losu.

– Ale czy to nie będzie problem? – zapytała Aniela z grzeczności. Duży, błyszczący SUV z szerokimi oponami wyglądał imponująco i przypuszczała, że z pewnością poradzi sobie z zaspami znacznie lepiej niż niewielkie auto jej czy Moniki. Nie podejrzewała, by ktokolwiek odśnieżał leśne drogi. Martwiło ją to, ale nie wspominała o tym Marii, która zapewne uznałaby tę obawę za rozsądną i uzasadniającą pozostanie w domu.

– Chętnie was zabiorę, mój samochód ma napęd na cztery koła, więc będzie bezpieczniej niż takim bzyckiem! – odpowiedziała Zofia, rozcierając zmarznięte dłonie pod amarantowym szalem z owczej wełny.

Maria wiedziała, że lepszej oferty nie dostaną. Wysiadła z auta i trzasnęła drzwiami. Mały zdrajca nawet nie mrugnął jej wstydliwie światłami. Zero skruchy.

Wdrapały się do SUV-a, co okazało się nie lada wyzwaniem – miały długie sukienki, a wysokie zawieszenie i potężne opony nie ułatwiały zadania. Szyszka usiadła za kierownicą, a Aniela i Maria umościły się na

tylnym siedzeniu, z torbami podróżnymi wciśniętymi między siebie.

Kiedy wyjeżdżały z podwórka, Maria, mimo sypiącego śniegu, zobaczyła swoje wnuczki machające na pożegnanie w kuchennym oknie. Coś ją ścisnęło w żołądku.

ROZDZIAŁ 11

Zofia Szyszka zerknęła w lusterko wsteczne, sprawdzając, jak się mają jej pasażerki. Anieli była, jak na nią, niezwykle cicha. Maria trzymała się kurczowo uchwyty nad drzwiami, kiedy samochód kolejny raz wpadł w lekki poślizg. Szyszka skontrowała i zdołała wyprowadzić auto, ale musiała przyznać, że nie przewidziała, jakim wyzwaniem okaże się gruba warstwa śniegu pod kołami. Wciąż zacinano takim sypkim jak piasek, wycieraczki nie nadążały z odśnieżaniem. SUV niczym wieloryb przedzierał się przez biały bezkres.

Po trzech kilometrach przebijania się przez zasypane miasteczko zjechała z jezdni w szeroki leśny trakt. Wiedziała, że będzie gorzej, kiedy koła znów zabuksowały w śnieżnych muldach. Na lewym poboczu wiatr nawiał wysoką na ponad metr wydmnę, więc jechała ostrożnie, by się w nią nie wpakować.

Dopiero dochodziła szesnasta, w miasteczku było jeszcze w miarę jasno, ale tu, między wysokimi drzewami rosnącymi gęsto wzdłuż obu stron drogi, praktycznie panowała ciemność. Kiedy ostatnio w Ustce tyle napadało, i to raptem w dwa dni? I gdzie to całe ocieplenie klimatu? – zżymała się w myślach Zofia.

Musiała zwolnić. W świetle reflektorów z trudnością przychodziło jej ocenianie odległości, czarne drzewa na białym tle igrały z jej perspektywą. Powinna nosić okulary, ale nie była na to mentalnie gotowa. Nie zamierzała zakładać na nos dowodu starości – równie dobrze mogłaby wypisać sobie na czole termin przydatności do spożycia, który minął już dawno temu. Nie po to robiła wszystko, by wyglądać na dziesięć lat młodszą, żeby tak sobie strzelać w stopę.

Kiedy będzie po wszystkim, ułoży sobie życie. Musi tylko zamknąć ten rozdział.

Zwolniła, bo zbliżały się do rozwidlenia. Musiała pamiętać, by skrócić w lewo, bo ścieżka biegnąca w prawo była bardziej kręta i zapewne nieprzejezdna w takich warunkach. Nie mogła ryzykować, że utknie w zaspie.

W sypiącym śniegu i oślepiającej w świetle reflektorów bieli niemal przegapiła niewielką drewnianą tabliczkę przybitą do drzewa. Przyhamowała i cofnęła się kilka metrów, by łatwiej wejść w ciasny zakręt. Nie przewidziała aż takich opadów. Owszem, pod pewnymi względami śnieg bardzo jej odpowiadał, ale pod innymi utrudniał pierwszą część planu. Potem stanie się jej sprzymierzeńcem. W takich warunkach i bez samochodu nikt nie opuści Uroczyska przed czasem.

Rozległ się sygnał SMS-a. Zofia spojrzała na ekran, gdzie mimo

blokady wyświetliła się pierwsza linijka wiadomości. Bardzo dobrze, uśmiechnęła się do siebie, doskonale...

Ledwie zarejestrowała, że Aniela o coś pyta, nachylając się między przednimi siedzeniami.

– Przepraszam, mogłabyś powtórzyć?

– Wiesz, jak tam trafić? W tym śniegu w ogóle nie rozpoznaję drogi, teraz sobie uświadomiłam, że szłam tam pieszo, plażą... – powiedziała Aniela nieco nerwowo.

Nie czuła się pewnie w tej leśnej, zimowej ciemności. Jej wyobraźnia szalała. Nie rozpoznawała żadnego z mijanych elementów trasy, nie potrafiłaby nawet powiedzieć, jak daleko są od Ustki. Nagie gałęzie drzew wyglądały złowieszczo i drapieżnie na tle śniegu.

– Spokojnie, jesteśmy już niedaleko! – zapewniła Szyszka.

Mówiła prawdę. Po lewej stronie rozpościerał się teren ośrodka policyjnego. Widok ciemnych okien, bramy i dziedzińca zasypanego grubym kobiercem śniegu znacznie ją uspokoił. Trochę się obawiała tej policji pod nosem. Choć przecież nikt z przybyłych nie zdoła wezwać pomocy. Sprawdziła już wcześniej – na Uroczysku prawie nie było zasięgu, a ten nikły, który udawało się tam złapać przy znacznie lepszej pogodzie, bez trudu zakłóci urządzenie, które kupiła w internecie. Miało wystarczać na całe kino, powinno wystarczyć na spory dom i kilka komórek.

Raz jeszcze przelatywała w głowie cały plan. Tak, wszystko było pod kontrolą, na dłuższą metę śnieg działał na jej korzyść i co ważniejsze, nie sprzyjał Marii.

Z radością zauważyła wyłaniające się zza drzew ogrodzenie. Wysoka siatka rozciągnięta między stalowymi słupkami, zwieńczona kłębem drutu kolczastego, wydawała się przesadnym zabezpieczeniem, ale skoro przez znaczną część roku ośrodek stał pusty, ogrodzenie musiało zniechęcać złodziei bardziej niż stróż. To właśnie ono przesądziło o wyborze tego miejsca przez Zofię.

Podjechała do szerokiej, elektronicznej bramy i zamrugła reflektorami. Po chwili skrzydła zaczęły się otwierać z głośnym zgrzytem zawiasów hydraulicznych – pewnie smar zgęstniał od mrozu. Przesuwały się wolno, odpychając warstwę śniegu. Zofia już myślała, że będzie musiała wysiąść i je popchnąć, ale rozsunęły się na tyle, że zdołała się zmieścić samochodem. Na śniegu widziała ślady opon innych aut, ale nie było ich już w zasięgu wzroku. Bardzo dobrze. Zaparkowała SUV-a niedaleko schodów wejściowych i odwróciła się do pasażerek.

– Jesteśmy na miejscu! – zaświergotała. – Ależ ekscytujące miejsce!

Maria wpatrywała się w ponury widok za boczną szybą. Latarnie nie paliły się jeszcze, a może zostały wyłączone po sezonie? Wszystko wyglądało jak gotycki, czarno-biały linoryt. Drzewa były wysokie,

musiały mieć co najmniej siedemdziesiąt lat. Dolne gałęzie przycinano przez lata tak, by nie zasłaniały okien domków, więc niewielkie korony zaczynały się bardzo wysoko, a proste, strzeliste pnie wyglądały jak kolumny. Marię ścisnęło w żołądku.

Otworzyła drzwi i wysiadła. Śnieg zacinał tu jakby mniej, ale pod stopami miała go tyle, że sięgał za górną krawędź jej botków i czuła, że dostaje się do środka. Musiało tu być bliżej do morza, niż myślała, bo słyszała jego dziki, sztormowy ryk.

Pachniało tylko śniegiem. W ogóle nie czuła zapachu lasu.

Wyciągnęła torby, swoją i Anieli, która wygrzebywała się za nią. Przez chwilę patrzyły na ciemną bryłę domu. Piętrowy, z wysokim, spadzistym dachem, okazał się większy, niż się spodziewała. W oknach, poza jednym na piętrze, nie paliło się światło.

– Chyba jesteśmy pierwsze – powiedziała niepewnie Aniela.

– Nie, sądzę, że o tej porze wszyscy już są – uspokoiła ją Szyszka.

Maria odniosła wrażenie, że ta kobieta wie więcej, niż im zdradziła. Czemu aż tak ją to niepokoiło? Aniela chyba miała rację – potrzeba ciągłej kontroli sytuacji odbierała Marii całą przyjemność.

– Wchodzimy? – zapytała Szyszka radosnym tonem.

– A mamy wyjście? – mruknęła Maria pod nosem.

Aniela wzięła ją pod rękę i szepnęła:

– Spróbuj mieć choć odrobinę frajdy, to cię nie zabije.

Szły za Zofią, która znów z zaskakującą znajomością terenu i pewnością prowadziła je po schodkach w dół, do drzwi wyglądających jak wejście do suterenu. Zanim do nich dotarły, w znajdującym się za drzwiami pomieszczeniu zapaliło się światło. Musiał zadziałać czujnik ruchu, bo Maria nikogo nie dojrzała za wąskimi szybkami w drzwiach.

Szyszka przepuściła je w progu, udając, że potrzebuje dłuższej chwili na otrzepanie kozaków o drucianą wycieraczkę. Nie zauważyły, że zamyka za nimi drzwi na klucz i wsuwa go do kieszeni płaszcza.

ROZDZIAŁ 12

Straszewicz zredukował prędkość do szalonych dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę w chwili, gdy wycieraczki zaczęły wymiękać z odgarnianiem śniegu z szyb. Widoczność miał ograniczoną, więc wolał nie ryzykować. Każdy przy zdrowych zmysłach zostałby w takich warunkach w domu, ale wariatów nie brakowało. Siebie też mógł chyba zaliczyć do tej kategorii – w końcu było sobotnie popołudnie, a on siedział za kółkiem i przebijał się przez śnieg. Jeśli jakiś pług widział dziś tę drogę, było to dawno i nieprawda, bo koła buksowały w muldach jak szalone. Silny wiatr dął z prawej i gdyby nie solidne opony, jak nic wylądowałby w zaspie. W sumie mógł założyć łańcuchy. Nie pomyślał. Przez ostatnie osiem czy dziewięć lat leżały zapomniane w garażu, a dziś byłyby jak znalazł.

Co go właściwie podkusiło, żeby wychodzić z domu? Zastanowił się, jakie miał alternatywy dla tej imprezy i nieoczekiwanego zaproszenia.

Mógł siedzieć na kanapie i oglądać *07 zgłoś się...* Widział to już tyle razy, że koledzy zaczęli wyłapywać jego nieświadome cytaty. Mógł zjeść resztkę bigosu odgrzewanego tak często i tak nieudolnie, że bardziej smakował przypaloną kapustą niż wędzonką. W ramach ekscytującej wieczornej rozrywki mógł też, zgodnie z obietnicą złożoną żonie, zrobić czystkę w skarpetach – wywalić sztuki poprzecierane na dużym palcu, te bez pary oraz te, jak mawiała, „urągające przyzwoitości”.

Nie, alternatywy nie przedstawiały się atrakcyjnie.

Jak to się idiotycznie złożyło, że miał wolne akurat w ten weekend, w który jego żona wyjechała z koleżankami! Od lat narzekała, że go mało widuje, że w kółko go nie ma w domu, a gdy wreszcie trafiła mu się wolna sobota i niedziela... Ech. Nie znosił tych jej wyjazdów. Nieodmiennie tęsknił jak zakochany dureń, choć za dwa miesiące stuknie im trzydzieści jeden lat małżeństwa. To jedna z tych rzeczy, do których nigdy by się głośno nie przyznał nikomu, a już na pewno nie kolegom. Wszepcze to Danusi, kiedy już wreszcie wróci z tego SPA!

Nie dopadła go policyjna klątwa – nie rozwiódł się, jak większość jego kumpi z pracy. Ta robota cholernie nie sprzyjała małżeństwu. Robił, co mógł, by zrównoważyć nocne dyżury, nieregularne godziny pracy, niepłatne nadgodziny i to, że ludzie kompletnie nie przejmowali się jego planami i umierali w święta, w urodziny Danki czy akurat wtedy, kiedy jechała na porodówkę. Była aniołem, skoro to znosiła, nawet jeśli nie omieszkała za każdym razem głośno narzekać i się odgrażać, że będzie jej to musiał wynagrodzić.

Starał się więc wynagradzać, choć pensji nie starczało na pierścionki z brylantami, na które jego zdaniem zasługiwała. Gdyby wygrał w totka, byłby to pierwszy jego zakup. Przynajmniej ten doroczny wyjazd do SPA był dla niej jakąś pociechą. Straszewicz nie lubił wracać do pustego domu. Ich jedyne dziecko dawno już przestało być dzieckiem. Majeczka miała dwadzieścia dziewięć lat i zaraz po studiach uznała, że w tym kraju niewiele ją czeka. Wyjechała do Szwecji, a on nawet nie potrafił znaleźć argumentów, mogących ją skłonić do pozostania w ojczyźnie. Swojego wnuka Andreasa, którego uparcie nazywał Andrzejkiem, widywał kilka razy w roku i na filmikach, które wysyłali mu na Fejsie. Życie.

Patrząc teraz na to wszystko, przestał się dziwić, że przyjął to dziwaczne zaproszenie. Przynajmniej niosło zapowiedź interesującego wieczoru, w przeciwieństwie do reszty jego planów weekendowych. Jeśli miał rację i za wszystkim stała Magda Garstka, mogło być nawet ciekawie.

Nigdy by jej się do tego nie przyznał, bo do reszty by się rozzuchwiała, ale doceniał element pozytywnego chaosu, który zdawał się kroczyć za nią niczym oswojony kundelek. Regularnie dostarczała mu historyjek, którymi potem rozbawiał żonę, a wiadomo, że rozbawianie żony to najlepsza recepta na udany związek. Na komisariacie miał opinię ponuraka, ale w domu pozwalał sobie na więcej luzu. Nawet historie z trupami, jeżeli wmieszana w nie była młoda Garstka, zawierały jakiś aspekt komediowy, który Danusia doceniała. I ta ciotka Tamara... Petarda, nie kobieta. We dwie były jak żywiol.

Wiatr trochę zelżał i na przedniej szybie gromadziło się mniej śniegu, więc docisnął lekko gaz, przyspieszając do trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę. Zerknął na termometr – temperatura wciąż spadała. Dobrze, że wzięł flanelową piżamę, bo w tym starym domu w lesie z pewnością będzie zimno.

Swoją drogą, też wymyśliły z tym noclegiem! Pewnie o północy, w piżamach, z latarką dla budowania klimatu, w ciemności, opowiadają historie o duchach, jak dzieciarnia na koloniach.

I co to mówiło o jego życiu, skoro cała ta heca wciąż wydawała się świetną alternatywą samotnego wieczoru z *07 zgłoś się*?

*

Marek Garstka uwijał się jak w ukropie, odkąd spojrzął na zegarek i jak w mordę dochodziła piętnasta. Miał skończyć pracę godzinę wcześniej, żeby na spokojnie wrócić do domu, wziąć szybki prysznic i przebrać się przed przyjazdem Straszewicza. Taki był plan, ale w tej robocie plan a życie zupełnie się czasem rozjeżdżały.

Właśnie dlatego piętnaście po trzeciej wpadł do mieszkania, brudny, w przemoczonych spodniach i butach, z przemarzniętym zadkiem i głodny tak, że słyszał burczenie w brzuchu. Ściągnął z siebie ciuchy i cisnął je na podłogę. Wytarł posiniałe z zimna stopy ręcznikiem, na prysznic nie miał już czasu. Jeśli Straszewicz się nie mylił i stały za tym Madzia, Monika lub Tamara, na sto procent nie obejdzie się bez zdjęć. A to znaczy, że fotki zobaczy Ania, on zaś wolał nie usłyszeć jej marudnego: „No, aleś się odstawił, Mareczku, jak stróż w Boże Ciało”.

Z tą myślą wyciągnął zielony sweter w pleciony wzór, który dostał od niej na Gwiazdkę, i ceglastą koszulę w kratę. Impreza imprezą, ale jest styczeń i sztorm, nie wiadomo, jak tamta chałupa stoi z ogrzewaniem. Włożył mniej znoszone džinsy, a na zaczerwienione stopy wsunął grube skarpety i porządną parę sportowych trzewików. Nie prezentował się może przesadnie elegancko, co też było w jego oczach zaletą. Nie znosił tradycyjnie rozumianej elegancji typu marynarka, garnitur czy krawat i skoro nie stała nad nim Anna, nie zamierzał nakładać sobie tego chomąta. Stawiał własne granice. Powinna docenić, że nie założył jednego z polarów, których miał pokaźną kolekcję i które, w przeciwieństwie do niej, szczerze uwielbiał. Na zaproszeniu nie napisano chyba o *black tie*, a nawet gdyby, uda, że nie doczytał. Przyczesał przydługie włosy i brodę. No, pomyślał, lepiej nie będzie.

Zerknął na zegarek – trzecia dwadzieścia cztery, a Straszewicza ciągle nie było. Pewnie się spóźnił, w tę pogodę nie dziwota. Korzystając z tego kradzionego czasu, wpadł do kuchni, wrzucił do opiekacza tost solidnie obłożony serem (Anna oczywiście wspomniałaby coś o cholesterolu i czułby się zmuszony zredukować liczbę plasterków do jednego, a wtedy byłby to bardzo smutny tost) i zalał herbatę w kubku termicznym. Zdążył zjeść i poparzyć sobie język gorącą herbatą, a Straszewicza wciąż nie było.

Anię zawsze bawiło jego podjadanie przed imprezami, ale doświadczenie nauczyło go, że to po prostu rozsądne. Od posiłków na imprezie nie oczekiwał zbyt wiele. Nie chodziło nawet o smak – bo zwykle organizatorzy starali się, by jedzenie było smaczne – ale o mikroskopijne porcje. Marek był dużym facetem i potrzebował solidnego paliwa. Gdy na talerzu przed sobą widział maciupęńkie ciasteczko francuskie z kozim serem albo kosteczkę ryżu z kawałkiem wędzonego łososa, zbierało mu się na płacz. A przecież nie wypadało prosić o dokładkę. Dziś od rana biegał na mrozie, spalił milion kalorii, więc tym bardziej musiał wrzucić coś na ruszt przed tym balem.

Sprawdził komórkę – żadnych wiadomości od Anny ani Moniki. Czy możliwe, że stały za tym razem z Madzią? Anna raczej nie, nie zrezygnowałaby dla jakiejś imprezy z babskiego wyjazdu, za długo na to czekała. Ale Monia? Niewykluczone. Straszewicz miał trochę racji,

sprawa pachniała Garstkami. Już sam fakt, że czuł się lekko zdezorientowany, nie wiedząc, czy czeka go coś miłego, czy raczej kolejna awantura, przywodził mu na myśl bratanicę.

Do tego te tajemnice w programie przyjęcia... One wszystkie, z jego matką na czele, były mistrzyniami tajemnic. A on starał się minimalizować straty, kiedy coś wybuchało. Chronić je, nawet jeśli oznaczało to chronienie ich przed nimi samymi. W puli Garstkowych genów ewidentnie znajdował się jakiś gen szachrajstwa i awanturnictwa, który jemu został oszczędzony. Może występował tylko u kobiet? Powrót Madzi do Ustki zadziałał niczym katalizator. Kto wie, co jeszcze mogły razem wykombinować.

Klakson za oknem uciął te rozważania. Już czas, jego karetą przybyła, oby po północy nie zmieniła się w dynię!

*

Straszewicz kłął pod nosem, wychodząc z poślizgu i o włos unikając zderzenia z drzewem. Wertepy, ślizgawica, a reflektory ledwie dawały sobie radę z oświetleniem niewielkiego odcinka przed nimi, gdy upierdliwy śnieg wirował w małych tornadach przed szybą.

Toyota miała zimowe opony i dosyć wysokie zawieszenie, więc Straszewicz zawzięcie parł do przodu, rzucając coraz to nowe przekleństwa. Zahamował gwałtownie, gdy kątem oka wyłapał jakiś ruch – coś ciemnego wyskoczyło mu prosto przed koła, ale nie poczuł uderzenia. Chyba. Wymienili z Garstką spojrzenia i po chwili wysiedli z samochodu. Żadnych ofiar, ale w miękkim śniegu na poboczu znaleźli głębokie odciski zajętych łap.

– Tylko żab z nieba brakuje – mruknął.

Wpatrywali się w ciemny las po obu stronach drogi. Według GPS-u znajdowali się niedaleko celu. Nieco na prawo, między czarnymi pniami, Marek dostrzegł majaczące światło.

– To tam? – zapytał.

– Nie, to policyjny ośrodek, ale stamtąd już blisko, niecały kilometr.

– A faktycznie, byliśmy tam raz na sylwestrze – przypomniał sobie Marek.

– Taaa, też byliśmy raz i Danusia więcej nie chciała. – Straszewicz wyszczerzył zęby.

– Pewnie z tego samego powodu – zgadywał Garstka ze śmiechem.

Wszyscy wtedy ostro popili, na smutno, jak tylko banda policjantów potrafi pić, i przez resztę wieczoru opowiadali makabryczne historie z roboty i snuli plany, czegoż to oni nie będą robić, gdy już przejdą na emeryturę. Zbili się w kupę jak przemoczone gołębie, w jednym pomieszczeniu, gdzie gęste od dymu papierosowego i przesycone zapachem wódki powietrze można było kroić. Żony i partnerki tańczyły

samotnie w drugiej salce i wygrażały, że już nigdy nie będą tak głupie, by uwierzyć, że tym razem będzie inaczej.

Garstka i Straszewicz wrócili do samochodu i powolutku pokonywali dalszą drogę.

– Sprawdziłem właściciela tego ośrodka – powiedział mrukliwie Straszewicz.

– I? Jest coś w papierach?

– Czysty. Mieszka w Niemczech, starszy facet. Ten dom to spadek po ojcu. Chyba rzadko tu bywa, głównie wynajmuje. Poszperałem i wychodzi, że zatrudnia na stałe zarządcę, mieszkającego tu tylko w sezonie, i stróża na okres posezonowy. Zarządcą jest Adam Kwadra. – Zerknął na Marka, ale ten pokręcił głową, bo nazwisko nic mu nie mówiło. – Za to stróża pewnie znasz: Edmund Zyśko.

– A znam, stale szukał kłopotów. – Marek skrzywił się, przypomniawszy sobie, że ostatnio znalazł je w czasie awantury z jego matką. – Jego brat jest gorszy, ale obaj stwarzają problemy.

– Taaa, Alojza też sprawdziłem, bo w kartotece pokazały się znaczniki. To on prześladował twoją matkę i Magdę?

– On. Po ostatniej awanturze w pensjonacie wylądował w izbie wytrzeźwień, potem dostał kolegium. Przepity i zgorzkniały.

– Zawracał im później głowę?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale parę dni temu narozrabiali w monopolowym i wystraszyli moją matkę. Byłoby dobrze wysłać te mendy na dłuższy urlop.

Straszewicz tylko skinął głową. W każdym miasteczku byli tacy specje od sprawiania kłopotów i miało się ich na oku, ale niewiele więcej można było zrobić. Nawet gdyby sędownie zmusić ich do leczenia, nie wierzył, by taki Zyśko, jeden czy drugi, potrafił się zmienić.

Gdy zza drzew wyłoniła się wysoka siatka ogradzająca posiadłość, Straszewicz zwolnił. Jechali wzdłuż ogrodzenia, obserwując teren. Wszystko było gęsto przysypane śniegiem. Dachy szeroko rozrzuconych domków przykrywała gruba biała czapa. Na niewielkim wzniesieniu stał największy dom – tu widzieli światło w kilku okazałych oknach – niżej dwa mniejsze budynki: ciemne i sprawiające wrażenie typowych posezonowo opuszczonych domów wypoczynkowych.

We wściekłym wyciu wiatru łatwo dało się wyodrębnić ryk morza, które musiało być nie dalej niż dwieście metrów za laskiem oddzielającym ośrodek od plaży.

– Lepiej, żeby ta chałupa była solidnie ogrzewana, inaczej przy tym wietrze będą nam z nosów sople zwisać – rzucił Straszewicz.

Podjazd wyglądał na niedawno odśnieżony. Garstka zerknął na zegarek. Kwadrans po czwartej, spóźnili się mniej, niż się spodziewał. Czuł się tak, jakby jechali tu co najmniej godzinę. Podobnie Straszewicz,

któremu po przebyciu za kierownicą drogi ze Słupska do Ustki wydawało się, że zdobywa biegun północny – niby autem, zamiast na nartach i z psim zaprzęgiem, ale czy to aż tak wielka różnica?

Wcisnął klakson. Zamrugła czerwona kontrolka na słupku bramy i skrzydła zaczęły się rozsuwać, spowalniane przez świeży śnieg.

Gdy wjechali, brama natychmiast się zamknęła. Zaparkowali blisko domu, bo zapewniał osłonę przed wiatrem, i wyszli na zewnątrz. Marek bezskutecznie wypatrywał auta matki czy córki. W ogóle nie widział żadnego samochodu. Może nikt nie dojechał? Albo padli ofiarą żartu?

Nie zauważył głośniczka wiszącego nad drzwiami do sutereny, dopóki nie zaskrzeczał i nie rozległ się z niego kobiecy głos:

– Proszę okrążyć dom i wejść dużymi schodami.

Szara metalowa obudowa osłonięta niewielkim drewnianym daszkiem jak nic mogła mieć czterdzieści lat. Wiele ośrodków ma takie radiowężły, ale rzadko kiedy wciąż są sprawne, pomyślał Marek.

– Bierzemy torby? – zapytał Straszewicz, zerkając na boki.

– Potem nie będzie się nam chciało wychodzić w taką pogodę – powiedział Garstka, również rozglądając się podejrzliwie.

Policyjny nos znów go swędział. Straszewicz skubał wąsa.

– To miejsce... – zaczął i urwał.

Marek kiwnął mu głową. Tak, też to wyczuwał. Coś mu nie grało.

– Jest jak z horroru – dokończył Straszewicz.

ROZDZIAŁ 13

Maria nie wiedziała, czego się spodziewać, gdy wchodziła do tego dziwnego domu, ale na pewno nie tego, co czekało na nią w wielkim pokoju z ciągiem francuskich okien i zbieraniną ludzi, których nie miała ochoty oglądać. Zapewne z wzajemnością.

Gdy wspinała się po krętych, wąskich schodach, trzymając się żelaznej balustrady wyślizganej tysiącami ludzkich dłoni, wydawało jej się, że coś patrzy na nią z ciemności sutereny, ale odpędziła tę myśl. To tylko wyobraźnia, Garstko, ulegasz klimatowi, skarciła się w duchu. Inna rzecz, że otoczenie było znakomitą pożywką dla gotyckich skojarzeń – śnieżycą, ostre kontrasty czerni i bieli, niepokojąco gęste cienie, wiatr wyjący w gałęziach drzew i napierający wściekle na okna i ściany domu... Wszystko to sprawiało, że Maria czuła przyspieszone bicie serca i wzdrygała się nerwowo na byle odgłos.

No i te zdjęcia. Setki zdjęć w najróżniejszych ramkach, większe i mniejsze, od sepiowych dagerotypów z początku dziewiętnastego wieku po prześwietlone, różowawe i błękitnawe barwne fotografie z lat osiemdziesiątych czy początku dwudziestych. Amatorskie i kiepsko wywołane, jakich wiele w milionach polskich albumów rodzinnych. Wisiały gęsto, tworząc chaotyczną galerię obcych, zapomnianych twarzy, zajmującą całe ściany korytarza, tak że nie było gdzie uciec wzrokiem. Zaczynały się tuż nad metrowej wysokości brązową lamperią i sięgały niemal do sufitu. Wesela, pogrzeby, chrzty, komunie, wakacje, oficjalne portrety i przypadkowe ujęcia. Przedziwny pomysł na dekorację domu wypoczynkowego – bo przecież od dawna nie była to rodzinna rezydencja, ale właśnie dom, który każdy mógł wynająć na urlop. Maria podejrzewała, że nie ona pierwsza poczuła się niezręcznie, jakby podglądała czyjeś intymne chwile.

Cały ten dom był jak podróż w czasie – wciąż nosił wyraźne ślady epoki, w której powstał; Maria obstawiała początek lat trzydziestych. Równocześnie piętno odcisnęły lata siedemdziesiąte, z linoleum i upiornie brzydkim tabaczkowo-musztardowym kolorem lamperii. Z framugi drzwi odpryskiwało kilkanaście warstw farby olejnej. Budynek miał potencjał, Czarek i Tamara pewnie zrobiliby z niego perełkę, ale teraz był smutny i trochę straszny.

Może dalej będzie lepiej? Może widziała teraz najmniej atrakcyjny fragment wnętrza? Czekala w korytarzu, aż Aniela pozbędzie się szalika i kurtki i zostawi je w maleńkim pomieszczeniu, które Szyszka nazwała nieco na wyrost szatnią. Bardziej przypominało ganek, bo miało wychodzące na zewnątrz drzwi... w takim razie dłaczego wprowadziła

ją i Anielę suterena? Może zamek był zepsuty? Tylko skąd o tym wiedziała, jeśli naprawdę nie była tu nigdy wcześniej?

Szyszka zresztą gdzieś zniknęła, jakby rozplynęła się w powietrzu, za to pojawiła się kobieta około pięćdziesiątki, z jasnymi włosami zebranymi w koczek. Maria musiała się skupić na jej twarzy, by ją zapamiętać. Kobieta bez właściwości – w ten sposób takie jak ona nazywał Bolek. Błada, o rozmytych rysach, miękko-kartoflana, z niewidocznymi brwiami i wąskimi ustami bez cienia koloru. W czarnym rozpinanym swetrze ozdobionym białym koronkowym kołnierzykiem i ciemnej wełnianej spódnicy wyglądała trochę retro. Grube szare rajstopy i toporne trzewiki tylko wzmacniały ten efekt. Maria nie mogła się oprzeć myśli, że wszystko razem wygląda bardziej jak kostium teatralny niż odzież współczesnej kobiety.

Kiedy pojawiła się tak nagle i bezszelestnie, Maria poczuła się jak intruz. Pospiesznie sięgnęła do kieszeni, by pokazać zaproszenie. Była pusta. Musiała zostawić je w domu.

– Czy to pani nas zaprosiła? – zagaiła niepewnie. Nagle dotarł do niej cały absurd tej sytuacji.

– Ja tu tylko pracuję, zaraz podam państwu posiłek – odpowiedziała, wskazując na podwójne drzwi na końcu korytarza.

– Czy gospodarz... – zaczęła Maria, ale kobieta pokręciła głową i powiedziała:

– Ja nic nie wiem, proszę pani. Ja tylko pilnuję, żeby zupa nie wystygła, a kurczak doszczętnie nie wysechł. Wszystko, co muszą panie wiedzieć, powiedzą. – Uniosła palec w górę.

Maria przez chwilę miała irracjonalne wrażenie, że nieznajoma ma na myśli boską interwencję, ale po sekundzie zauważyła głośnik wiszący w rogu pod samym sufitem.

– Radiowęzeł słyhać w całym domu – dodała kobieta.

– Jak dziwnie – rzuciła Anieli, wychodząc z miniszatni.

Kobieta zareagowała na tę uwagę wzruszeniem ramion.

Maria zdjęła płaszcz i powiesiła go na haczyku. W domu, jak się spodziewała, było zimno, więc zostawiła sobie szeroki kaszmirowy szal. Ten od Magdy pasowałby dużo lepiej, ale wciąż nie mogła go znaleźć i na samo wspomnienie robiło jej się smutno.

– A nasze rzeczy? – zapytała.

– Zaniosę je do pań pokojów – zapewniła kobieta. Błędnie zinterpretowała grymas Marii i zacisnęła usta w wąską linię, aż pobiełały. Schyliła się po torby i dodała nieprzyjemnym tonem: – Toć nie ukradnę! Tam wejdą. – Kiwnęła na podwójne drzwi. – Czekamy jeszcze na dwóch gości, a potem zacznę serwis. – Po czym, nie zaszczycając Marii i Anieli spojrzeniem, poszła z torbami na piętro po wąskich, stromych schodach.

– Zaczynam przyznawać ci rację – szepnęła Aniela, rozglądając się po korytarzu. Podskoczyła nerwowo, gdy zaskrzeczał głośnik.

– W jakiej kwestii?

– No wiesz, *Casablanca* nigdy nas nie zawiodła, za to tutaj w najlepszym wypadku nie wiadomo. Coś dziwnego wisi w powietrzu, czujesz? Przecież nie mam omamów. I to radio! Pamiętasz ten film? – Pstryknęła palcami, usiłując sobie przypomnieć.

Maria cierpliwie czekała. Jej przyjaciółka nie miała pamięci do tytułów i było pewne, że za chwilę padnie opis, jak zawsze zawiły i eksponujący jakiś dziwny detal w stylu: „Grał tam ten facet, z którym rozwiodła się Nicole Kidman!”. I faktycznie, Aniela powiedziała:

– No wiesz, ten, w którym wszyscy po kolei umierali!

– Zwykle wybierasz na nasze seanse coś takiego, a potem połowę filmu spędzasz z głową pod kocem.

– Och, bo rozum wie, ale serce płocze. – Aniela machnęła ręką.

Jej nadzieja na tańce i swawole dogasała z każdą sekundą. Atmosfera tego domu nie obiecywała zabawy. Prędzej pluton egzekucyjny i nawiedzenie przez duchy.

Ledwie przekroczyły próg jadalni, pluła sobie w brodę za te myśli. Przyszły w złą godzinę...

*

W pierwszej chwili Maria pomyślała, że zobaczyła ducha. Mężczyzna był równie wysoki, żyłasty i szeroki w barach jak Bolek, miał takie same zielonkawe oczy, osadzone głęboko w kościstej twarzy, i ogorzałą, zniszczoną wiatrem i słońcem skórę. Nawet patrzył na nią ze znajomą mieszaniną irytacji i znudzenia! Wydatny, lekko garbaty nos, pełne i kapryśne usta, nieco odstające uszy i kręcące się nad nimi prawie białe włosy... Mężczyźni z rodu Garstek zawsze prędzej siwieli, niż łysieli. Wpatrywała się w twarz nieznanego, szukając różnic. Tak bardzo przypominał Bolka, że stała w oszołomieniu minutę, walcząc z odruchem ucieczki. Jednocześnie jakaś jej część pragnęła podejść i sprawdzić, czy ta niemal biała broda jest tak miękka jak kiedyś...

Przymknęła oczy, próbując ochłonać.

Kiedy ostatni raz widziała swojego szwagra – Anatola Garstkę – wyglądał inaczej. Spotykali się bardzo rzadko, bracia nie żyli ze sobą zbyt dobrze. Na pogrzebie Bolka Anatol, w garniturze, gładko ogolony, z krótko przyciętymi włosami, wyglądał na młodszego od brata o dwadzieścia lat, choć dzieliło ich zaledwie pięć. Dziś wyglądałoby jak rówieśnicy.

Zamrugła i odetchnęła głębiej, by wyrównać spanikowany oddech. Dotarło do niej, że zamarła w drzwiach, przyciśnięta plecami do framugi. Zrobiła krok w głąb pokoju, choć najchętniej odwróciłaby się

na pięcie.

Patrzyła po pozostałych twarzach, próbując zrozumieć klucz, według którego zaproszono przybyłych. Intuicyjnie wyczuwała, że to wszystko jest podszyte jakąś intrygą.

Drugim mężczyzną w pokoju był ksiądz Stanisław Rozeda z parafii, do której kiedyś należała. Niewiele się zmienił od czasu, gdy chodziła do kościoła, i wciąż zasługiwał na przydomek Pączuś, który nadały mu dzieciaki – okrągły, błyszczący potem jak lukrem, z zadartym nosem i ledwie widocznymi zza pulchnych policzków oczkami. Kiedy siedział w głębokim fotelu pod oknem, przypominał kulkę.

Kontrastowała z nim doktor Felicja Januskiewicz, wysoka i smukła jak gazela, o mocnej sylwetce pływaczki z szerokimi barkami i długimi, umięśnionymi nogami. Maria nie należała do jej pacjentek, ale parę lat temu widywały się dość regularnie. Doktor Januskiewicz pomagała kilku podopiecznym Przystani, gdy trzeba było opatrzyć rany czy ocenić obrażenia tak, by nie został ślad w systemie. Maria zawsze miała o niej dobrą opinię – twarda, nieugięta i z powołaniem. Wiedziała też, że żyła samotnie, odkąd na raka trzustki zmarła jej partnerka, oficjalnie współlokatorka. Garstka była na jej pogrzebie... ile to już? Pięć? Sześć lat? Sama Felicja niewiele się zmieniła – wciąż strzygła się na zapalną i nadal preferowała sportowe ciuchy, bo nawet teraz miała na sobie getry ze srebrnymi lampasami i sięgającą za pośladki czarną rozpinaną bluzę, najwyraźniej autorską wersję małej czarnej.

Patrzyła na Marię z sympatią i zawodowym zainteresowaniem, aż w końcu podeszła i zapytała cicho:

– Dobrze się czujesz? Bardzo zbladłaś, bałam się, że zemdlejesz.

– Wszystko dobrze – zapewniła Maria. A widząc, że Felicja wciąż przygląda jej się z z troskaniem, cicho dodała: – Mój szwagier, skóra zdjęta z brata, prawda?

Felicja kiwnęła głową.

– To samo pomyślałam, gdy go zobaczyłam. Tylko nie wiedziałam, że Bolesław miał brata – przyznała. – A że nigdy nie znaleziono ciała...

Maria odruchowo ścisnęła ją za rękę. Tak, to musiało być jeszcze gorsze. Ona sama nie wątpiła nawet chwili, że jej mąż nie żyje, a przed nią w najgorszym wypadku pojawił się duch.

Nie zauważyła Szyszki, która stała w kącie przy francuskim oknie i nie spuszczała z niej oka.

– Czy ktoś może mi powiedzieć, co się tu, do cholery, dzieje? – zapytał Anatol z jakże znajomym zniecierpliwieniem i poczuciem wyższości w głosie.

Patrzył na Marię, jakby podejrzewał, że to ona stoi za tajemniczym spotkaniem. Może dlatego, że pozostałych osób w pokoju nie znał. W zaproszeniu, które dostał, sugerowano, że trzeba uregulować pewne

sprawy prawne i grozi mu pozew. Gdyby miał teraz wskazać osoby, które mogłyby go pozywać, padłoby na Marię. Tymczasem jego szwagierka uniosła ręce w geście poddania i powiedziała:

– Pojęcia nie mam. Cóż, to bał tajemnic...

– Czekamy jeszcze na kogoś? – zapytał spokojnie ksiądz Stanisław z błogim uśmiechem człowieka o czystym sumieniu.

– Kobieta, która tu pracuje, mówiła, że jeszcze dotrą dwie osoby, a potem będzie kolacja – odpowiedziała mu Aniela.

– O, kolacja! Znakomicie! A mówiła może, co będzie?

– Wspominała coś o zupie i suchym kurczaku.

– Och, tylko nie suchy kurczak! – zmartwił się ksiądz. – Kurczaczka trzeba podlewać... Może ja do niej pójde... – Podniósł się z miejsca, lecz najwyraźniej uznawszy, że w obcym domu jednak lepiej kucharce w garnki nie zaglądać, opadł z powrotem na fotel. – Może do kurczaka dadzą buraczki albo mizerię? To by wyrównało suchość.

– Czy ktoś zna gospodarza? – zapytała Maria podejrzliwie.

Felicja, Anatol i ksiądz pokręcili głowami. Szyszka wzruszyła ramionami. Nagle zaskrzeczał głośnik umieszczony nad drzwiami wejściowymi i rozległ się stłumiony, męski głos, który brzmiał, jakby mówiący przysłał mikrofon chusteczką:

– Możecie zająć miejsca przy stole. Nadchodzą ostatni goście.

Dopiero teraz Maria zauważyła, że za przeszkłonymi rozsuwanymi drzwiami dzielącymi pomieszczenie na dwie części stoi zastawiony stół. Znajdujące się za nim szerokie drzwi tarasowe otworzyły się i ku swemu bezbrzeżnemu zdumieniu ujrziała stojącego w nich swego syna. I Straszewicza. Co się tu, do diabła, działo?

Do pokoju wkroczyła kobieta bez właściwości. Rozsunęła drzwi do jadalni i powiedziała:

– Przy każdym nakryciu jest wizytówka z nazwiskiem. A panów poproszę ze sobą. – Pomachała ręką do nowo przybyłych. – Zostawicie kurtki w szatni. Zaraz przyniosę kolację. Wszyscy na panów czekali.

Marek bąknął coś o śnieżycy, ale uznał, że każdy i tak wie, jaka jest pogoda, więc umilkł. Zaskoczony rozglądał się po zebranych. Spodziewał się Magdy, Moniki, może Tamary. Nie porzucił jeszcze myśli, że impreza to ich pomysł, ale czemu miałyby zapraszać księdza Stanisława? Owszem, ojciec Marka był osobą religijną i co niedzielę chodził do kościoła, ale pozostali, no cóż – zabrakło im łaski, jak mawiał ksiądz Stanisław, odwiedzając ich dom po kolędzie. Chyba zresztą od śmierci ojca nie przychodził. A lekarka? Gdyby to chociaż był MacCiacho – przystojniak z izby przyjęć, o którym opowiadały mu Monika i Magda – miałoby to poniekąd jakiś sens. Ale Januskiewicz? Stojącą w kącie kobietę kojarzył z widzenia, ale nie znał nazwiska i nie potrafił nigdzie jej przypasować. I co tu robiła jego mama z nieodłączną muszkieterką,

panią Anielą?

Wuja Anatola zostawił sobie na koniec. Szokujące, jak mocne w ich rodzinie były geny łączące braci. On i Marian też wyglądali uderzająco podobnie, choć raczej jak dwa wikińskie misie, natomiast ojciec i wuj mieli coś twardszego, dzikiego i nieustępliwego w twarzach, a także w sylwetkach, bardziej żylastych niż potężnych. Gdy Marek myślał: „rybak”, widział w wyobraźni ojca i wuja. Byli jak archetypiczni ludzie morza. Obaj nigdy nie wybaczyli Markowi i Marianowi, że zamiast pracować z nimi na kutrach, wybrali szkołę policyjną i pracę na etacie. Bolesław i Anatol nie zgadzali się przez większość życia niemal w niczym, ale w tym byli zgodni: Marek i Marian zdradzili rodzinne ideały. Byli bardziej synami Marii niż Bolesława – tak, ojciec mu to powiedział wprost. A wuj splunął mu pod nogi, kiedy dowiedział się, że zdał egzaminy do szkoły policyjnej. Nigdy nie łączyły ich rodzinne więzi. Więc co tu robił? Kto ściągnął go z Kołobrzegu, gdzie wyprowadził się lata temu, gdy zyski z połowów zaczęły się zmniejszać?

Straszewicz szturchnął Marka, bo ten stał jak zamurowany, wpatrzony w faceta, który odwdzięczał mu się lekko kpiącym spojrzeniem spod siwych nastroszonych brwi.

– Kapiemy na podłogę – powiedział i pociągnął kolegę, bo kobieta przypominająca pokojówkę sprzed stu lat czekała na nich, obrzucając ich karcącym spojrzeniem. Pamiętał też, że zagroziła, iż przyniesie jedzenie dopiero, kiedy zostawią kurtki w szatni.

Nigdzie nie widział tej małej przechery Madzi czy jej ciotki, ale wieczór dopiero się rozkręcał. Ba, trwał jeszcze dzień, choć za oknami góra za godzinę będzie całkiem ciemno, a przez śnieżycę już nie było wiele widać. Widok, który ujrzał w tym pokoju, miał w sobie coś tak teatralnego, że nie wierzył, aby młoda Garstka nie maczała w tym łapek. Brakowało tylko pękatego, wąsatego Poirota, który wytknęłoby każdemu jego grzechy i winy, a potem ujawnił mordercę. Wychodząc z pokoju, pogładził się po wąsach – jeśli to on ma być Poirotem, powinien dostać jakiś scenariusz! Nie miał zielonego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

*

Zajęli wyznaczone im miejsca przy stole. Marii przypadło krzesło między księdzem a Anatolem, co uznała za wyjątkową złośliwość losu. Anielą, mająca po prawej Anatola, a po lewej Straszewicza, też nie spodziewała się uroczych konwersacji nad miską zupy. Na wprost Marii siedziała Zofia Szyszka, między Straszewiczem a Markiem. Doktor Felicję posadzono między Markiem a księdzem. Dziwna konfiguracja, pomyślała Maria.

– Czy liczba gości nie powinna być nieparzysta, żeby nie było pecha?

A może to się odnosi do kwiatów? – zastanawiała się głośno Aniela.

Łatwo dawało się zauważyć, jak niezręczna atmosfera panuje przy tym stole. Obecni wyraźnie głowili się, co ich, u diaska, podkusiło, żeby przyjąć takie enigmatyczne zaproszenie.

Ciekawość i małe miasteczko to naprawdę niewystarczające powody, by pakować się w pułapki towarzyskie, myślała doktor Felicja, która całe zawodowe życie czuła, że jest na cenzurowanym ze względu na swoją orientację. Nigdy się nie z nią obnosiła, ale tutejsi i tak wiedzieli, z kim mieszkała, a jeśli dostawała zaproszenie na ślub z osobą towarzyszącą, nie wynajmowała żigolaka na jedną noc, by utrzymać pozory heteroseksualności. Wychodziła z założenia, że należy wypracować z mieszkańcami Ustki rodzaj zdrowego kompromisu: ona nie oceniała ich sekretów – zatajonych przed partnerami chorób wenerycznych czy postępującej marskości wątroby – a oni nie mieli prawa zaglądać jej do sypialni. Przeważnie sprawdzało się to całkiem dobrze. Mimo to zawsze pozostawała w niej nutka niepewności i cieszyła się, że do emerytury pozostało jej niewiele, bo może wreszcie wtedy poczuje się naprawdę wolna. Gdy dostała zaproszenie na imprezę, szumnie nazwaną „balem tajemnic”, nawet nie pomyślała, że może chodzić o tę tajemnicę, ale teraz, siedząc między księdzem a policjantem, nie czuła się w nastroju do zabawy.

Straszewicz obserwował zagadkową dynamikę wśród zgromadzonych przy stole osób, a pytanie, co tu właściwie dzieje, nie opuszczało jego czujnego umysłu ani na chwilę. Lata pracy w policji, a może też naturalne predyspozycje sprawiały, że bez trudu wyłapywał napięcia i nastroje otoczenia. Po wejściu do pokoju pełnego ludzi zwykle dość szybko orientował się, kto z kim ma zatarg oraz jaki jest układ sympatii i antypatii. Tu jednak natrafił na twarde orzech do zgryzienia. Powietrze aż wibrowało od emocji, ale też dawno nie spotkał grupki ludzi, którzy tak dobrze pilnowaliby się, by sprawiać wrażenie całkowicie neutralnych. Zamrożona mimika, oszczędne gesty, dyskretne spojrzenia. Zauważalnie iskrzyło między Marią a Anatolem, szybko dostrzegł, że oboje starannie unikają najmniejszego bodaj kontaktu, jednak mowa ich ciał była oczywista – nie znosili się lub chowali urazę. Pani Aniela przygasła, jakby ktoś spuścił z niej powietrze. Januskiewiczowa rysowała ząbkiem widelca wzorki na obrusie i unikała kontaktu wzrokowego. Jedyne ksiądz wydawał się zupełnie nieporuszony, uśmiechał się pogodnie i zagadywał do Marii na temat oczekiwanego posiłku. Pozostawała Szyszka. Przedstawiła się, kiedy zajęli swoje miejsca, i spojrzał na nią wtedy jako na jedyną osobę przy stole, której nawet nie kojarzył.

– Zofia Szyszka, Szyszka – powiedziała, uśmiechając się słodko, a on nie skomentował, że jeśli miało być nawiązanie do Bonda, powinna

powiedzieć to w innym szyku. Nie znał jej i nie wiedział, jak zareagowałyby na taki żart. Zresztą oszczędziła mu konieczności podtrzymania konwersacji, bo całkowicie pochłaniało ją to, co działo się przy stole. Obserwowała, nadstawiała ucha na każdą wymianę nawet banalnych uwag, cała była kłębką emocji, których Straszewicz nie mógł rozszyfrować.

Gdy usługująca im kobieta wkroczyła z wazą, ksiądz zaklaskał z radością. Straszewicz był w stanie to zrozumieć, bo i jemu kiszki już marsza grały. Nastroj mu nieco siadł, gdy okazało się, że w wazie jest krupnik. Dziwny wybór zupy na przyjęcie, pomyślał, bo akurat za krupnikiem nie przepadał. Zwłaszcza z kaszą jęczmienną. Przywodził mu na myśl czas spędzony w wojsku, podle racje żywnościowe i trzysta sześćdziesiąt pięć odsłon rozgotowanej jęczmiennej w roku. W tamtym czasie królowała w wojskowej kuchni niepodzielnie. Zupa pachniała lepiej niż przypalony bigos, ale Straszewiczowi i tak osłabł apetyt.

Maria mieszała łyżką szarą, brejowatą zupę. Nie gotowała krupniku od dnia, w którym dowiedziała się, że Bolek wypadł z kutra i utonął. Wylała wtedy cały gar do sedesu. To była jego ulubiona zupa. Ona i chłopcy za nią nie przepadali, ale głos pana domu w oczywisty sposób przeważał nad opinią żony i dzieci, przynajmniej zdaniem Bolka.

Zerknęła na Marka – równie niechętnie mieszał łyżką w zupie. Zresztą chyba tylko ksiądz Stanisław i Anatol z entuzjazmem pochłaniali swoje porcje. Wzdrygnęła się na nieznośny dźwięk znajomego zgrzytu łyżki o dno talerza. Anatol, jak jego brat, jadł z pewną dozą agresji i determinacji, jakby się bał, że za chwilę ktoś zabierze mu posiłek.

Zaskrzeczał głośnik pod sufitem i rozległ się zniekształcony, stłumiony męski głos.

– Pewnie się zastanawiacie, po co was tu zgromadziłem. – Nieznajomy zaśmiał się krótko. – Czy to nie zaczyna się zawsze w ten sposób? Więc pomyślcie: co tu robicie? To pierwsza z tajemnic tego wieczoru. Co łączy wszystkich tu zaproszonych? Do końca spotkania zostanie ujawniona. Smacznego.

Głos ucichł i przez chwilę Maria zastanawiała się, czy się nie przesłyszała. Mimo zniekształceń było w nim coś znajomego, ale nie potrafiła uchwycić w pamięci żadnego skojarzenia. Rozglądała się po zgromadzonych. Co mogło ich łączyć? To, że mieszkali w Ustce? Choć nie, Straszewicz mieszkał w Słupsku, a Szyszka – nie wiadomo gdzie. Wszyscy byli w co najmniej średnim wieku, ale trudno to uznać za łącznik wart robienia z tego tajemnicy. Najmłodszy był Marek, najstarszy chyba Anatol. Różnica wieku między bratem Bolka, księdzem, Anielą i nią była niewielka, zapewne podobnie jak między Straszewiczem, Szyszką i doktor Januskiewicz. Ale ludzi koło siedemdziesiątki czy pięćdziesiątki mieszkało w Ustce od groma i nie

siedzieli teraz przy stole. Pokręciła głową. To wszystko brzmiało jak dziecinada i chyba nikt poza nią nie zawracał sobie tym głowy.

Gospodyni wniosła drugie danie – roladę ze schabu ze śliwkami i kluski śląskie z sosem pieczeniowym, do tego tarte buraczki. Nastrój przy stole nieco się poprawił, jakby nowe danie zatarło wspomnienie krupniku. Ksiądz Stanisław wyrażał się w samych superlatywach o roladzie i pochwalał decyzję zrezygnowania z kurczaka, bo suche mięso, jak podkreślał, jest naprawdę paskudne. Rozlane do kieliszków czerwone wino też wywołało pomruk jego aprobaty. Anatol jadł w milczeniu, wkładając do ust nabity na widelec i unurzany w sosie kawałek mięsa. Maria miała tak ściśnięte gardło, że z trudem przełykała.

– Zna ktoś odpowiedź na to pytanie? Co łączy wszystkich zgromadzonych przy tym stole? – zapytała Szyszka wysokim, niemal radosnym tonem, bawiąc się kieliszkiem na wpół wypełnionym czerwonym winem.

Straszewicz i Marek wzruszyli ramionami, a starszy policjant powiedział:

– Za mało danych, za dużo podzbiorów.

Nie rozwijał tematu, a Marek przytaknął, jakby doszedł do podobnego wniosku.

Rozmowy się nie kleiły, nawet neutralny temat, jakim była pogoda, nie utrzymał się długo i wkrótce zapadała cisza. Maria pomyślała, że oto dowód, jak bardzo ten ktoś z radiowęzła się mylił – nie mieli ze sobą zupełnie nic wspólnego. Łączyły ją więzi z Markiem i Anielą, może znalazłaby temat do konwersacji z doktor Januskiewicz czy nawet Straszewiczem, z którym w ciągu ostatnich miesięcy spotkała się kilka razy, gdy jej wnuczka uparcie znajdowała jakieś zwłoki, ale z pozostałymi nic jej nie łączyło, a w każdym razie nic, o czym chciałaby rozmawiać.

Gospodyni wróciła po talerze, niosąc dużą drewnianą tacę.

– Czy przewidziany jest także deserek? – zapytał ksiądz. Miał już zarumienione policzki.

– A jakże, zaraz przyniosę – burknęła kobieta i dziarsko wymaszerowała z pomieszczenia, choć taca obciążona talerzami musiała sporo ważyć. Po chwili wróciła z paterą, na której pysznił się wysoki na piętnaście centymetrów sernik ozdobiony kratką z kruchego ciasta. Mocno pachniał wanilią i brzoskwiniami. Pokroiła go, nałożyła każdemu po kawałku na talerzyk i bez słowa opuściła jadalnię.

Marek wstał od stołu. Starał się wytrzymać, ale koniecznie musiał skorzystać z toalety. Czując się jak sztubak, wymknął się z jadalni i podążył za gospodynią. Miał nadzieję, że znajdzie toaletę bez jej pomocy. Rzeczywiście, mieściła się niedaleko zaimprovizowanej szatni. Wracając z łazienki, wstąpił tam, by wyjąć z kieszeni kurtki paczkę

papierosów. Ze zdziwieniem zauważył, że z wieszaków zniknęły wszystkie okrycia. Rozejrzał się za gospodynią, ale jej też nie było. Przez szybkę w drzwiach zauważył błysk reflektorów i odjeżdżający samochód. Brama była zamknięta, a auto Straszewicza ginęło pod czapą śniegu, który zasypał także ślady opon toyoty. Dziwne to wszystko, pomyślał, wracając do jadalni.

Ledwie usiadł przy stole, głos z radiowęzła oznajmił:

– Czy smakowała państwu ostatnia wieczerza, jakiej innym odmówiono? Zajrzyjcie pod talerzyki, znajdziecie tam numery waszych pokoi. Możecie się odświeżyć i zebrać siły przed główną częścią tego wieczoru: balem tajemnic, na którym wszystko stanie się jasne.

Jeśli po tym komunikacie organizator spotkania oczekiwał radosnej ekscytacji, srogo się zawiódł. Goście zaglądali pod talerzyki i wstawali pośpiesznie od stołu, jakby nie mogli się doczekać, kiedy wreszcie uwolnią się od towarzystwa. Maria zapragnęła wrócić do domu. Jakże żałowała, że nie przyjechała tu własnym samochodem! Mogłaby się po prostu wymknąć i odpuścić sobie cały ten bal.

Od dawna nie zdarzało jej się aż tyle myśleć o zmarłym mężu. Jakby się wszystko sprzysięgło, by o nim przypominać. Starła się wyminąć szwagra, ale ten złapał ją za przedramię, zmuszając do zatrzymania się.

– Nie wiem, co wymyśliłaś, ale to ci nic nie da – warknął.

– Pojęcia nie mam, o czym mówisz – odpowiedziała. – I doskonale wiesz, że niczego od ciebie nie chcę. Nic się nie zmieniło.

Patrzył na nią nieufnie. Wyszarpnęła rękę z jego uchwytu.

– Gdybym wiedziała, że tu będziesz, na pewno zostałabym w domu – dodała.

Wyszła pośpiesznie i prawie wbiegła po schodach na piętro, gdzie – jak się spodziewała – były przygotowane dla nich pokoje. Czy ktoś by się zorientował, gdyby zabarykadowała się w swoim i nie wyszła aż do świtu?

ROZDZIAŁ 14

Maria odszukała drzwi z numerem sześć, który znalazła pod swoim nakryciem. Nacisnęła klamkę. Były otwarte. Duże okno zajmowało większą część ściany. Światło księżycy wlewało się do środka zwielokrotnione przez leżący wszędzie śnieg. Przysiadła na niskim, szerokim parapecie. Słyszała stąd gniewne ryki sztormowego morza i poświsty wiatru. Czarne gałęzie na tle niemal granatowego nieba ugięły się pod ciężarem śniegu. Na chwilę przestało padać.

W jakiś sposób ten śnieg pogarszał jej nastrój. Czuła się, jakby była małą figurką w szklanej kuli, którą ktoś potrząsa. Nie potrafiłaby wyrazić słowami czy choćby zwizualizować tego, co przy kolacji aż tak jej doskwierało. Myślała, że pewne rzeczy ma za sobą, że już minął czas, gdy wszystko przypominało jej o przeszłości, kojarzyło się z piekłem jej małżeństwa. Ale oto po dwóch latach demony odżyły i wyzwoliły w niej odruch ucieczki, który teraz, kiedy siedziała nieruchomo, zdawał się rozsadzać ją od wewnątrz. Powinna uciekać, schować się, zasłonić...

Wytarła mokre od łez policzki. Idiotka, wyrzucała sobie, czego beczysz? Czy to ci kiedykolwiek coś dało? Wzięła kilka głębszych oddechów, jak nauczyła ją jedna z Ptaszyn, która chodziła na terapię. Wizualizowała swój ból jako obłoczek pary, ulatujący wraz z oddechem. Gdy przysunęła się bliżej do oszronionej w połowie szyby, nawet nie musiała sobie wyobrażać pary. Przyłożyła czoło do zimnej powierzchni. Mróz kąsał skórę, ale też przynosił ulgę jej rozgorączkowanej głowie.

Kiedy usłyszała delikatne pukanie do drzwi, czuła się prawie dobrze.

– Maryniu, jesteś tu? – usłyszała zatroskany głos Anieli.

– Jestem, jestem, wejdź – odpowiedziała i przetarła twarz, by nie było po niej widać emocji sprzed paru minut.

Aniela weszła i zapaliła światło. Przez chwilę przyglądała się przyjaciółce, jakby wypatrując pęknięć w jej masce.

– Przepraszam. Gdybym wiedziała, że tu będzie...

– Żadna z nas nie wiedziała. Inaczej nie przyjechałybyśmy – przerwała Aniela, zanim ta zdążyła nakręcić w sobie spiralę winy. – Nic się nie stało. Jesteśmy przecież cywilizowanymi ludźmi.

– Ale znów się czepiał – zauważyła przyjaciółka, podchodząc bliżej.

– Upewniał się, że nie stwardniałam i nie pójdę jednak do sądu upomnieć się o testament, którego Bolek nie zostawił, ale o którym mu mówił. – Maria wzruszyła ramionami.

– Każdy sądzi po sobie. W głowie mu się nie mieści, że nie jesteś tak pazerna jak on.

Od początku mieli to ustalone: Bolek dysponował łodzią jako swoją

ojcowizną, a Maria pensjonatem, bo był jej spadkiem, nie wianem, które wniosła do małżeństwa. I zawsze wiedziała, że jeśliby umarł, kuter przejdzie na jego brata, a dopiero potem na ich synów, wedle pierwszeństwa urodzin. W tamtej rodzinie taka była tradycja, sięgała początku dziewiętnastego wieku. Byłoby łatwiej, gdyby Bolek poszedł do prawnika czy notariusza, spisał testament i usankcjonował to, co wszyscy w rodzinie wiedzieli. Nienawidził jednak biurokracji, nie miał też nic przeciwko komplikowaniu Marii życia, choćby po śmierci.

– Nadal jestem wściekła na Anatola za to, jak na ciebie naskoczył w dniu pogrzebu. – Aniela zgrzytnęła zębami.

– Wychowali się w tym samym domu, mieli te same wzorce – odpowiedziała cicho Maria. – Przynajmniej mnie nie pobił. On chyba myśli, że to ja go tu zaprosiłam...

– Swoją drogą, kto za tym stoi?

Maria bezradnie wzruszyła ramionami.

– Z tymi chłopami to całkiem przestrelili. Mareczek, wąsaty jaszcząg i jeszcze ksiądz. Aż tak to ja nie jestem zdesperowana – stwierdziła Aniela, rozglądając się po pokoju.

– No i Anatol. Jest przystojny i chyba dość majątny – zażartowała Maria. Oto talent Anieli: potrafiła ją skłonić do żartów, nawet gdy zupełnie nie było jej do śmiechu.

– A idź. Kijem bym nie dźgnęła, chyba że w oko. – Aniela wzdrygnęła się, bo i owszem, Anatol mógł się podobać, ale biło od niego tyle ciepła, ile od nagrobka Bolka Garstki. – Myślisz, że jakie tajemnice będą odsłaniać? Bo ja to chyba nie mam zbyt wiele... – odezwała się po chwili.

Maria zacisnęła usta. Znów słyszała w głowie głos babki: „Opatrzność nierychliwa, ale sprawiedliwa. Przyszła kryska na Matyska”.

O tak, miała swoje tajemnice.

– Pokój masz większy od mojego. I podwójne łóżko! Ja mam taki wąziutki tapczanik... Tylko czy my w ogóle będziemy tu spać? Może namówimy Mareczka, żeby nas jednak odwiózł? Mogę sprawdzić, czy wygodne? Bo wygląda, jakby się można było zatopić w nim na amen. – Aniela wyrzucała z siebie potok słów, a gdy Maria gestem dała jej przyzwolenie, zrobiła to, co zawsze lubiła robić w hotelach: stanęła w nogach łóżka, rozłożyła ramiona i opadła do tyłu. Uwielbiała odbijać się na porządnych hotelowych materacach niczym piłeczka kauczukowa. Tu się jednak nie odbiła, za to poczuła, jak coś boleśnie wbija jej się między łopatki i tuż nad krzyżem. Krzyknęła z bólu i odturlała się na bok, po czym zwinięta w kłębek czekała, aż ból ustąpi. Puchata pierzyna ugnieciona jej ciałem nagle odsłoniła zarys czegoś, co leżało pod nią.

Aniela zsunęła się ostrożnie z łóżka, po czym zadarła narzutę, pierzynę i znajdujący się pod nią koc, nim dotarła do obiektu, który

dźgnął ją w kręgosłup. Najwyraźniej było to kolano. Oraz stopa. Przyczepione do...

– Maryniu! – pisnęła Aniela cieniutko jak myszka.

Maria, która znów wpatrywała się w ciemność za oknem i nietknięte ludzką stopą połacie śniegu, odpowiedziała tylko mruknięciem.

– Maryniu! – powtórzyła Aniela. – Ty lepiej rzuć na to okiem.

– Materac nie taki, jak lubisz?

– Materac w porządku, ale trupa to sobie mogli darować!

*

Maria musiała przyznać Anieli, że nie przesadzała ani odrobinę, nawet jeśli nieco za często powtarzała oczywiste elementy wyzwania, przed którym stały:

– Trup. Martwy. Nieboszczyk skończony. I to już całkiem zimny i sztywniejący, więc nie taki świeży.

Maria unikała patrzenia na twarz nieboszczyka, jakby to ona była najgorsza, a nie rozebrane do kalesonów i podkoszulka z długim rękawem ciało czy widniejące na piersi czerwone plamy.

– To krew? – zapytała drżącym głosem Aniela.

Maria nie musiała podchodzić bliżej, by potwierdzić.

Aniela pierwsza odważyła się spojrzeć na twarz zwłok zalegających w łóżku jej przyjaciółki i w pełni dotarły do niej implikacje odkrycia. Bo nie był to anonimowy trup, przypadkowy nieznajomy, ale ktoś, z kim Marię łączyła „historia”. Coś, co łatwo można było wykorzystać przeciwko niej. I ktoś się postarał, by dowody przeciwko niej się piętrzyły niczym jeszcze chwilę temu pierzyna na trupie.

– Maryniu, czy to aby nie jest twój szal? – zapytała trochę pewniejszym tonem, wskazując na dłoń zmarłego.

To już Maria musiała zobaczyć z bliska. Bez dwóch zdań był to szal, który dostała od Magdy na Gwiazdkę i którego od kilku dni nie mogła znaleźć. Częściowo przyciśnięty przez zwłoki, był jednak wystarczająco charakterystyczny, by nie miała wątpliwości.

– Skąd on go ma? – zapytała słabym głosem.

Aniela otrząsnęła się już z pierwszego szoku. Nie wiedzieć czemu, przed oczami stanął jej Tom Selleck w serialu *Magnum*. Czemu nie ma sprawiedliwości? Czemu ona, Aniela, nie może spotkać takiego Sellecka? Niby starszy od niej o kilka lat, ale by mu wybaczyła, bo trzyma się znakomicie, dałaby mu góra sześćdziesiątkę... I pewnie nadal wygląda w tej hawajskiej koszuli jak milion dolarów.

Ale o czym to ona... a tak! Tom Selleck i *Magnum* nauczyli ją co nieco o postępowaniu na miejscu zbrodni. Wiedziała na przykład, że nie powinna niczego dotykać, chyba że to dowód i absolutnie musi mu się przyjrzeć z bliska, bo okulary do czytania zostawiła w swojej torbie,

a sprawa wyglądała na pilną. Przynajmniej w serialach wszystkie sprawy, które dotyczyły trupów, były pilne. Aniela nie miała wielkiego doświadczenia, ale teraz obudził się w niej detektywistyczny instynkt, z drugiej ręki denata, częściowo schowanej pod kocem, ostrożnie wyłuskała więc nóż. Dobre dwadzieścia centymetrów hartowanej stali, drewniana rączka z ozdobnymi, choć trochę koślawymi literami. Układały się w napis „Wielka Niedźwiedzica”, a Aniela nie potrzebowała nawet okularów, bo sama ten napis wypaliła na pierwszych i jedynych zajęciach z pirografii (po których oparzenia drugiego stopnia na kciuku leczyła miesiąc).

– Maryniu, ty ostatnio zgubiłaś nóż, nie? – zapytała cicho.

Marii krew odpłynęła z twarzy. Poczowała, że jeśli nie usiądzie, to się położy, i to raczej gwałtownie.

– To mój nóż? – wyszeptwała.

Aniela poważnie skinęła głową, a potem zaczęła wyciągać spod zwłok kaszmirowy szal.

– Co ty robisz?! – zawołała Maria. – Musimy zawołać Marka!

Aniela spojrzała na nią, jakby przyjaciółce odjęło rozum.

– Maryniu, ty chyba nie widzisz całego obrazka – zauważyła, nie przestając wywlekać szala.

– A ty bez okularów w ogóle niewiele widzisz – odcięła się Maria.

– Ale widzę, że cię próbują zrobić w morderstwo, i ja na to zwyczajnie nie pozwolę. Mareczek pewnie by pomógł, bo to zawsze było takie uczynne chłopaczysko, ale przyjechał z nim ten wąsacz. Nie jest tak genialny jak Magnum, ale tyle mu okruczeństw pozostawiali, że na pewno wpadnie na oczywistą oczywistość.

– Czyli na co?

– Na to, że zabiłaś Mundka Zyśkę! Własnym nożem! A pół miasta już wie, że dopiero co pobiłaś go w monopolowym i zwyzywałaś od najgorszych. Znaczący może wcale nie afekt, tylko premedytacja, bo konflikt zadawniony! I jeszcze te okoliczności! On w bieliźnie, w twoim łóżku!

– Jak ty coś...

– Znajdź dziurę w mojej logice, proszę cię! – rzuciła hardo Aniela.

Maria naprawdę chciała, ale nijak nie mogła.

– I co teraz? – zapytała pokonana.

– Na moje? Cała ta hucpa z balem tajemnic była po to, żeby nas wszystkich tu ściągnąć, a potem dokonać dramatycznego odnalezienia zwłok twojego zaciukanego kochanka!

– Ale kto?!

Aniela popatrzyła na nią uważnie.

– No przecież nie ja! – Maria uniosła dłonie w geście poddania.

– Ja ci, Maryniu, wierzę, gdybyś miała w sobie gen mordercy, toby

Bolek tak długo nie hasał po świecie. Tylko widzisz, to wcale nie będzie skuteczną linią obrony... Powiedzą, że pękłaś, bo Zyśko uruchomił w tobie traumy, czy coś...

– Przemyślałaś to... – jęknęła Maria.

– Myślę w biegu – odparła Aniela. – Ale wychodzi mi, że możemy zrobić wyłącznie jedno.

– Co dokładnie?

– Musimy się pozbyć zwłok, najlepiej tak na wczoraj. Jak tu wpadną, to tego truposza już tu po prostu ma nie być. I jeśli spytają: „A gdzie trup?!” , my zapytamy: „Jaki trup?!” , a oni: „No ten, co go tu zostawiliśmy, żeby cię wrobić!” , i wszystko stanie się jasne – podsumowała Aniela.

W jednej chwili Maria poczuła się słaba i pokonana. Znowu wpadała w ten stupor, który pozwalał jej przetrwać dekady traum i bólu. Gdyby nie Aniela, siadłaby pod oknem, najdalej od trupa, i czekała, aż wpadnie tu organizator tej hucpy. Albo zawołałaby Marka, bo jeśli któreś z nich miało kompetencje do radzenia sobie ze zwłokami, to właśnie on. Szczęście w nieszczęściu, nie była z tym sama. Miała Anielę, a ta nigdy nie wpadała w stupor. W sytuacjach kryzysowych tryskała energią i kreatywnością. Kiedy więc zarządziła, że muszą się pozbyć zwłok, Maria zdobyła się tylko na słabe:

– Czemu mam wrażenie, że to nie będzie takie proste?

– No może się trochę napocimy, ale jeżeli zastaną tu ciało, to w ogóle się nie napocą, by cię wrobić. Niewykluczone, że mnie też, w końcu są tu moje odciski palców... A na nożu to może w dodatku moje DNA, bo ja się wtedy naprawdę mocno oparzyłam i gdzieś w śrubkach mogły zostać komórki naskórka!

– Przyznaj, że cała twoja wiedza pochodzi z jakiegoś serialu z lat siedemdziesiątych lub osiemdziesiątych – jęknęła Maria.

– A nie, w tamtych to jeszcze DNA nie było, ale Tom Selleck ma taki nowy serial, *Jesse Stone*, i ja mu w nim nawet ten lekki brzusek wybaczam... No i tam DNA jest już w użyciu, wystarczy komóreczka i już cię mają. Ale nie pękaj, moja droga, damy sobie radę, raz-dwa i będzie po nim.

Pewność w głosie Anieli podnosiła Marię na duchu. Zaczynał do niej docierać absurd tej sytuacji. Ale też dywagacje przyjaciółki o Tomie Sellecku w jakiś sposób odbierały groźbę temu znalezisku i rozmyślały kontekst.

– Po nim to już chyba jest – zauważyła ironicznie.

Aniela nie dała się zbić z tropu. Wycelowała w zwłoki dwa palce i powiedziała:

– To będzie po nim doszczętnie i bez śladu. Puff, i nie ma!

Co wcale, jak się miały przekonać, nie było takie proste.

*

W czasie, kiedy Maria z Anielą odkryły zwłoki, Marek Garstka odkrywał przed Straszewiczem coś zupełnie innego. Przyszło mu to o tyle łatwo, że obaj znaleźli pod talerzykiem ten sam numer pokoju. Zdziwili się, spotykając się pod drzwiami, ale odetchnęli na widok dwóch łóżek w środku. Gdy Straszewicz rozsiadł się na swoim tapczanie, Marek zagaikł:

– Coś tu śmierdzi.

Straszewicz pociągnął nosem i powiedział:

– Nie mówisz o zapachu kulek na mole, prawda?

– Zajrzałem do tej małej szatni. Nasze kurtki zniknęły.

Straszewicz chrząknął.

– I coś mi się wydaje, że nas tu zamknęli – dodał Marek.

Straszewicz znów chrząknął, a jego palce odruchowo dosięgły wąsów, jak zawsze, gdy się nad czymś zastanawiał.

– Gospodyni odjechała, jeśli mnie wzrok nie mylił.

– Ciekawe... To wszystko jest tak grubymi nićmi szyte, że aż mnie zastanawia. Co to ma dać? Jesteś pewien, że to nie jest pomysł Magdy?

Marek usiadł na drugim tapczanie na wprost Straszewicza.

– Już by tu była, wyskoczyłaby zza zasłony i zrobiła „Buuu!” zaraz po kolacji. Zadzwoiłbym, ale tu nie ma zasięgu. Tak w ogóle, kaplica, martwa strefa.

Straszewicz wyciągnął z kieszeni swoją komórkę.

– A to, widzisz, jest dziwne, bo takiego zera zer to ja nie widuję zbyt często – mruknął.

– Niby się zdarza w lesie czy na plaży, ale...

– Jedna kreska, nie kaplica – dokończył Straszewicz.

– Toteż właśnie. I atmosfera przy tym stole taka, powiedziałbym, dyskusyjnie przyjemna. Coś bulgocze.

– Ano bulgocze. Choć myślałem, że to jakieś wasze sprawy rodzinne.

– Niby czemu rodzinne? – oburzył się Marek.

– No bo twoja matka, jej przyjaciółka, ty, twój wujek...

– I ksiądz czy lekarka dla smaczku? I ty?

– Może mam odkryć straszliwą zbrodnię sprzed lat. Wiesz, na balu tajemnic.

– Wypluj to słowo – burknął Marek niechętnie.

Straszewicz poczuł się zaintrygowany. Cała ta impreza, która do tej pory wydawała mu się nudnawa, wreszcie nabierała kolorów.

– A może byśmy się tak przeszli po tej chałupie? – zaproponował.

– W sumie? Ciekawe, kto nas przyjdzie ukarać, gdy złamiemy zakaz – zażartował Garstka.

– Jeśli jednak z jakiegoś zakamarka wyskoczy twoja bratanica i strzeli

dąsa, że się nie trzymamy instrukcji, stawiasz mi butelkę dobrej łychy.

– Nawet dwie – mruknął Marek.

Za mało widział w tym wszystkim oznak poczucia humoru. Mini-Garstka potrafiła i z przypadkowego znalezienia trupa wykrzesać coś komicznego. Nie odwaliliby takiego partactwa. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej był pewien, że to nie sprawka Magdy, Moniki czy Tamary.

*

Aniela właśnie planowała wymknąć się z pokoju i zrobić mały rekonesans w poszukiwaniu miejsca nadającego się do upchnięcia zwłok, ale błyskawicznie cofnęła się, widząc Marka i Straszewicza idących po korytarzu. Cicho zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami.

– Z Mareczkiem to byśmy sobie poradziły, ale ten wążacz jest nieugięty... Co, u diaska, zrobić z ciałem w zamkniętym pokoju? – zastanawiała się głośno.

Nagle trochę lepiej zrozumiała tę całą Jadwigę Brzeską, która jesienią upakowała zwłoki w materacu w Wielkiej Niedźwiedzicy. Małym nożem wyryła jamę w gąbce. Jak zdeterminowany borsuk.

Cóż, Aniela była raczej norką, ale determinacji jej nie brakowało.

ROZDZIAŁ 15

Magda obserwowała przez okno, jak babcia, pani Aniela i ich jedyny gość odjeżdżają spod pensjonatu. Odczekała chwilę, po czym odwróciła się do kuzynki i zapytała:

– To co? Robimy test?

Monika spojrzała na nią w popłochu.

– Ale że tak od razu?

– Nie mam pojęcia, to już twoja decyzja. Czy to nie jest jak ze zrywaniem plastra? Szast-prast i po sprawie?

– Nie wiem, ja smaruję plastry oliwką dla dzieci, aż same odłazą.

– Na test to raczej nie zadziała... Ale hej, przynajmniej masz już oliwkę. To podstawa wyprawki dla dzieci.

– Jak ja cię czasem mam ochotę udusić – sapnęła Monika.

– I do kogo zadzwonisz, żeby ci z dzieckiem posiedział, jak będziesz chciała wyjść z mężem na kolację? – odpowiedziała Magda, szczerząc się i jednocześnie uchylając, gdy długonoga walkiria próbowała pacnąć ją w czoło.

– Dobra, zróbmy to – oświadczyła Monika z westchnieniem.

Zamknęły wszystkie drzwi do pensjonatu i poszły do mieszkania Magdy. Wkrótce Garstka patrzyła, jak kuzynka wyklada z plecaka na łóżko kolejne pudełka.

– Zamierzasz nasikać na wszystkie? – nie wytrzymała.

– Tylko na trzy. A na resztę, gdyby wynik był niejednoznaczny – odpowiedziała poważnie Monika. Po czym zgarnęła trzy opakowania i zamknęła się z nimi w łazience.

Magda nerwowo czekała pod drzwiami. Doskonale rozumiała zamęt w emocjach Moniki. To, że oboje z Marcinem chcieli mieć dziecko, nie znaczyło, że chcą je teraz. A w tym kraju kobietom nie zostawia się wyboru, jeśli już w ciąży są. Jedno było pewne – w ich aktualnym życiu dziecko zmieniliby wszystko.

Po przedłużającej się ciszy za drzwiami Magda westchnęła i zaczęła pocieszać kuzynkę:

– Monika, to nie koniec świata, ludzie od zawsze mają dzieci. Niektórzy nawet mają dzieci i kończą studia. Nie takie wyzwania w życiu pokonywałaś śpiewająco. To jak bieg przez płotki. Masz tak długie nogi, że niczym gazela, nad tymi płotkami...

– Magda, zamknij się – usłyszała sfrustrowany głos kuzynki.

Zamilkła więc.

– Nie, gadaj, gadaj, bo cisza bardziej mnie stresuje – powiedziała po chwili Monika.

– Ale co ci wyszło? Tak czy nie? Jedna kreska czy dwie?

– Nic mi jeszcze nie wyszło, bo nie mogę nasikać na testy. Ścisnęło mi się wszystko. Na amen. Ani kropelki – przyznała Monika smętnym tonem.

– A ty w ogóle piłaś coś od rana? Może masz pusty pęcherz i nie masz czym? Przynieść ci coś do picia?

Po dłuższej chwili Monika wyszła z łazienki i powiedziała:

– Racja, muszę się napić, inaczej nic nie wycisnę.

– Mam colę bez cukru. W kinie zawsze po niej sikasz jak wariatka.

– Niech będzie... Tylko czy ona nie zafałszuje jakoś testu?

– Aspartamem? No co ty! Nie wyskoczą ci dwie kreski od bąbelków i słodzików. Chyba – dodała po chwili, bo w końcu co ona wiedziała o testach ciążowych? Nigdy nie musiała takowego robić. Ciotka Tamara, o ile wiedziała, też nie.

Sięgnęła po komórkę i wpisała w Google hasło „fałszywie dodatni wynik testu ciążowego przyczyny”. Przez chwilę czytała o torbielach, poronieniach, ciążach biochemicznych i zaśniadach groniastych, aż ciśnienie podskoczyło jej na myśl, że coś takiego miałyby spotkać Monikę.

– Nie ma nic o coli czy aspartamie – powiedziała tylko, chowając telefon.

– Okej, polewaj – oświadczyła Monika z determinacją.

Magda wyjęła z szafki półlitrowy pokal, nalała napoju po brzeg i podała go kuzynce. A Monika piła, piła i piła, aż zobaczyła dno. Poczzerwieniała na twarzy i z lekką zadyszka odstawiła szkło na blat.

– Daję swojemu pęcherzowi góra pięć minut – powiedziała.

Minęło niewiele więcej, gdy poderwała się z miejsca i pognąła do łazienki. Magda znów usiadła pod drzwiami, by w razie czego służyć emocjonalnym wsparciem lub głupim dowcipem, czegokolwiek potrzebowałaby jej kuzynka.

Tym razem cisza trwała krócej, nim usłyszała triumfalne:

– Wreszcie!

Po kolejnych dwóch minutach Monika wyszła z łazienki i zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Nie zniosę patrzenia na nie przez dziesięć do dwudziestu minut, odmawiam. Co ma być, to będzie. Posiwieję i dostanę zawału, gapiąc się na te cholerne kreski.

– Mam popatrzeć za ciebie? – zaoferowała bohatercko Magda.

– Będziemy je ignorować, aż się zdecydują. Musimy upiec ciasto – zarządziła.

– Czy to już zachcianki, czy tylko próbujesz zabić czas? – dopytywała Magda.

– Uważaj, moja droga, hormony są straszne, czy to ciąża, czy PMS –

ostrzegła Monika, ale roześmiała się, widząc błazeńską minę kuzynki. – Potrzebujemy czegoś słodkiego. Najlepiej muffinek. Przygotowanie według przepisu babci zajmuje dokładnie piętnaście minut, czyli zanim wsadzimy je do piekarnika, testy powiedzą nam prawdę.

– Brzmi jak plan – przyznała Magda. – Poza tym, cokolwiek pokażą, będziemy miały babeczki, a to duży plus, zwłaszcza że w tę pogodę nie pójdziemy do Vincenta.

Wyjście z domu naprawdę odpadało. Śnieżyca rozszalała się tak, że za oknem widziały głównie biały wir. Wiatr wył głośno i tak sztormowo, że Magdę przechodziły dreszcze. Było coś atawistycznego w lęku, który czuła na myśl o sztormie czy burzy. Śnieg sam w sobie jej nie przerażał, ale gdy dochodziły te wszystkie potępieńcze odgłosy – trzeszczenie ścian i drzew, pobrzękiwanie szyb – miała wrażenie, że za chwilę wszystko się zawali, a ona zostanie wystawiona na pastwę żywiołów.

Wyciągała z szafek składniki: mąkę, olej, jajka, jogurt, rodzynki i kakao. Właśnie nurkowała w szufladzie, szukając sody oczyszczonej i proszku do pieczenia, kiedy cały dom zadrżał od potężnego grzmotu, jakby meteor spadł na dach i zatrzęsął budynkiem aż do fundamentów. Magda zerwała się na równe nogi, przerażona. Monika ostrożnie odłożyła misę do mieszania ciasta i zapatrzyła się w sufit, jak gdyby spodziewała się, że pęknie nad jej głową. Powietrze przeszył kolejny wstrząs, a potem huk.

Obie intuicyjnie wybiegły z domu i natychmiast wróciły, gdy bosymi stopami wpadły w śnieg na schodach. Już w butach wypadły na podwórko i popatrzyły na ścianę domu. Wydawała się nietknięta, ale znów usłyszały głośny stuk i zgrzyt dartej metalu. Pobiegły za tym odgłosem i zamarły, ledwie minęły bramę.

– Jezuniu malusieńki – jęknęła Monika, widząc rozmiar katastrofy.

– Cholera jasna! – dodała Magda, gapiąc się w górę na smętny kawałek metalu.

Rynna, która jeszcze niedawno biegła wzdłuż krawędzi dachu, złamała się w pół pod naporem śniegu i runęła na ziemię razem z hałą zamrożonego śniegu i lodu. Spadając, uszkodziła kilka parapetów i drewniane okiennice – przy trzech oknach wisiały tylko na dolnych bolcach i kiwały się na wietrze, zagrażając szybom.

W tym właśnie momencie do rynny biegnącej od dachu do chodnika dotarło, że już nie ma wsparcia i trzyma się na słowo honoru. Magda i Monika patrzyły, jak – niczym na filmie puszczone w zwolnionym tempie – odrywa się pierwszy, potem drugi i trzeci hak osadzający rynnę w ścianie. Metal zaskrzypiał niby stare zawiasy, a potem runął na zamrożony chodnik. Szczęśliwie dziewczyny stały w pewnym oddaleniu – to je ocaliło, bo były zbyt oszołomione, by uskoczyć na czas.

Przez chwilę gapiły się na tę katastrofę, nie czując zimna, choć

wybiegły w sztormową pogodę w samych koszulkach i legginsach. Nagle wiatr pchnął jedną z uszkodzonych okiennic tak, że z impetem uderzyła w okno. Brzęk tłuczonego szkła natychmiast je ocucił.

Pobiegły do mieszkania Magdy po klucze do pensjonatu i bluzy, a potem pognały do Wielkiej Niedźwiedzicy, zgarnęły zapasowe klucze z recepcji i ruszyły na górę, by zabezpieczyć okiennice, zanim wszystkie szyby skończą w okruchach. Na katastrofę z rynną nie mogły w tym momencie nic poradzić, ale tu szkody wciąż dało się uniknąć.

Magda otwierała drzwi do wszystkich pokoi z oknami wychodzącymi na ulicę i port, bo to z tej strony urwana rynna narobiła szkód. Ręce jej drżały za każdym razem, gdy wsuwała klucz do dziurki.

Monika weszła do pierwszego otwartego pomieszczenia i otworzyła okno. Klęcząc na parapecie, balansowała, wychylona mocno na zewnątrz, by złapać okiennice, które, oblodzone i kołysane wiatrem, wymykały się jej z dłoni jak mokre ryby. W końcu zdołała przyciągnąć obie i zaczepić haczyk jednej o oczko na drugiej, po czym kolejnymi dwoma haczykami przypięła je do ramy okiennej. Zeszła z parapetu do szczętu spocona i przemarznięta.

– Rany – jęknęła. – Jeszcze siedem...

Magda, otwarszy wszystkie pokoje, przyszła pomóc kuzynce. We dwie szło trochę sprawniej, a przynajmniej bezpieczniej, bo kiedy Monika klęczała na parapecie i wychylała się, by złapać skrzydło okiennicy, Magda obejmowała mocno uda kuzynki i asekurowała ją, dopóki ta nie uporała się z zadaniem.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś tu ze mną – przyznała. – Chyba bym dostała zawału, gdybym musiała się z tym mierzyć sama.

– Powinnyśmy były wcześniej pozamykać okiennice, babcia zawsze o tym pamiętała, kiedy zbliżał się sztorm – odparła Monika. – Pensjonat jest tak blisko portu, że czasami obrywa czkawką Neptuna.

Odkąd działały według ustalonej procedury, szło szybciej. Gdy dotarły do rozbitego okna, Magda grubym rącznikiem usunęła odłamki zalegające na parapecie i wystające z ramy. Dopiero wtedy Monika otworzyła resztki okna i wychyliła się, by złapać okiennice. Zaczepiała już mniejsze haczyki, kiedy na jej dłoń spadł spory odłamek szkła, który wcześniej wydawał się solidnie tkwić w spękany kicie. Rana nie była duża, ale dość głęboka, i natychmiast zaczęła mocno krwawić. Monika nie czuła bólu – może w jej przemarzniętych dłoniach nie działały receptory zimna – ale żywa czerwień na tle białego śniegu totalnie przeraziła Magdę. Garstka czym prędzej rzuciła się do łazienki i wróciwszy z nowymi rącznikami, owinęła jednym z nich dłoń kuzynki.

– Trzymaj wysoko nad głową, żeby się nie wykrwawić – powiedziała poważnie.

– Przesadzasz, Mini-Garstko, to nie tętnica – zaprotestowała Monika.

– Jesteś lekarzem? Ja też nie! Nie wiem, co ty tam sobie przecięłaś, wiem tylko, że krwawisz jak zarzynany prosiak i że nawet walkirie mają ograniczony litraż krwi do stracenia! Musimy to zatamować, zanim zemdlejesz, bo nie dam rady znieść cię po schodach. – Magda w nerwach wymachiwała rękami i chodziła wokół kuzynki, która posłusznie uniosła owiniętą rękę.

– Zostały nam dwa okna. Uporamy się z nimi i zajmiemy się opatrywaniem ran – zaproponowała Monika, ale widząc, że Magdy to nie przekonało, dodała: – Jeśli tamte szyby też się zbiją, potem obie możemy się poharatać.

– Dobra – zgodziła się Magda. – Ale zaraz potem apteczka!

W przedostatnim pokoju poszło sprawnie, choć jeden z haczyków złamał się w palcach, Magda użyła więc sznura do zasłon, aby przywiązać okiennicę do futryny.

Został narożny pokój wynajęty przez Zofię Szyszka. Gdy weszły do środka, w pierwszej chwili pomyślała, że i tu szyba musiała być stłuczona, bo w pokoju panowało potworne zimno.

– Czy ona zvariowała? – zapytała Monika.

Pytanie okazało się w pełni uzasadnione, bo Szyszka zostawiła oba okna otwarte na oścież, zasłony zaś zaciągnęła, jakby nie chciała, by rzucało się to w oczy, gdyby ktoś zajrzał do pokoju. Wiatr wydymał je teraz, ukazując śnieg zalegający grubą warstwą na parapecie. Całą podłogę zaścielały porozrzucane papiery. Trudno było powiedzieć, czy to lokatorka tak je pozostawiła, czy sztormowa pogoda dokonała swego dzieła.

Magda wdrapała się na parapet. Asekurowana przez Monikę i walcząc ze szczególnie podłym wiatrem smagającym narożnik domu, z trudem zdołała przyciągnąć i zabezpieczyć okiennice. Zamknęła okna i rozsunała mokre, oblepione śniegiem zasłony.

– Wariatka, skończona wariatka – wymruczała, zeskakując na podłogę. – Jeśli powie, że to nasza wina, osobiście ją uduszę – warknęła.

– Myślisz, że chce wyłudzić odszkodowanie? – zapytała Monika, rozglądając się po pokoju, który naprawdę wyglądał jak po przejściu trąby powietrznej. Nawet ubrania sprawiały wrażenie, jakby ktoś wytrząsnął je z walizki prosto na łóżko i podłogę.

– Prędzej to my ją pozwiemy za zniszczenie mienia. Nie mam pojęcia, czy wykładzina i zasłony zniosą to namaczanie śniegiem – burknęła Magda, schylając się po jedną z kartek, na której rozpoznała imię babci.

Przez chwilę jej wzrok przelatywał po słowach, ale w ogóle nie przyswajała treści. Co, u diabła? Schyliła się po kolejne kartki. Zapiski różniły się treścią, ale nie ogólną wymową i sensem. Przepelniała je ślepa nienawiść do Marii Garstki i jak nic wyszły spod ręki szaleńca.

– To listy z pogrózkami – powiedziała oszołomiona.

– Nie chcę ci psuć zabawy, ale muszę opatrzyć rękę – oznajmiła Monika, która właśnie zauważyła, że biały ręcznik jest przesiąknięty krwią.

– No przecież! Apteczka powinna być w recepcji – oprzytomniała Magda. Rzuciła listy na podłogę i pociągnęła kuzynkę na dół.

Apteczka w recepcji okazała się mała i niekompletna.

– Cholera, nie uzupełniłyśmy tego od jesieni, kiedy Helena się pokaleczyła – wyrzucała sobie Magda. Na śmierć o tym zapomniała, choć sama wtedy wyjechała stąd opatrunki. – Idziemy do szpitala – zarządziła.

– Ej, przecież babcia ma u siebie dużą apteczkę! – zaprotestowała Monika. Szczerze nie znosiła szpitali, a z ręką wcale nie było aż tak tragicznie.

Otworzyły mieszkanie babci zapasowym kluczem i Monika skierowała się do zawieszanej nad zlewem szafki z lekarstwami. Pamiętała, że środki opatrunkowe znajdują się w ogromnej puszcze po duńskich herbatnikach. Z jedną ręką owiniętą ręcznikiem, a drugą siną z zimna próbowała ją ściągnąć, ale jej się wyslizgnęła i po chwili większość zawartości szafki spadła na nią jak lawina.

Zamarła, a po chwili wyjąkała:

– Przynajmniej babcia nie trzymała tam nożyczek.

Magda pozbierała rzeczy i odłożyła je na stół, po czym kazała kuzynce usiąść na taborecie. Sama też usiadła, na wszelki wypadek, gdyby miało się jej zakręcić w głowie od całej tej krwi. Ostrożnie zaczęła odwijać ręcznik z poranionej ręki Moniki. Zrobię w końcu ten kurs pierwszej pomocy, pomyślała. Na razie musiała jej wystarczyć zaliczona na piątkę lekcja z przysposobienia obronnego poświęcona opatrywaniu rannych – powinna podołać, pod warunkiem że będzie myśleć o Monice jako o dzielnym powstańcu, a o sobie jako o dzielnej sanitariuszce. Nawet nie zauważyła, że nuci pod nosem:

*Mówili, żeśmy stumanieni,
Nie wierząc nam, że chcieć – to móc!
Laliśmy krew osamotnieni,
A z nami był nasz drogi Wódz!
My, Pierwsza Brygada...*

Monika pokręciła głową. Magda nigdy nie przestawała jej zaskakiwać.

– Sugerujesz, że powinnam złożyć swoje rany na ołtarzu ojczyzny? – zapytała rozbawiona.

– Nie, ale gdy śpiewam pieśni patriotyczne, łatwiej mi przypomnieć sobie zasady opatrywania ran powstańczych – wyjaśniła Magda, nie

zastanawiając się, czy brzmi jak poczytalny egzemplarz ludzki.

– Dobra, to ja nucę, a ty się zajmij raną – powiedziała Monika i podjęła pieśń:

*Legiony to żołnierska nuta,
Legiony to ofiarny stos,
Legiony to żołnierska buta,
Legiony to straceńców los!
My, Pierwsza Brygada,
Strzelecka gromada,
Na stos rzuciliśmy swój życia los,
Na stos, na stos!*

Tak się uniosła tym patriotyzmem i straceńczą ofiarą, że przestała czuć ból.

Magda mokrym rąbkiem ręcznika dokładnie oczyściła z krwi ciało wokół rany. Szkło przecięło wierzch dłoni akurat tam, gdzie pod cienką skórą biegły żyły.

– Możesz ruszać palcami? – zapytała zmartwiona.

Monika sprawdziła – palce były sprawne, więc chyba nie doszło do przecięcia ścięgien i nerwów, przynajmniej taką Magda miała nadzieję. Obmyła rękę wodą utlenioną i pęsetą wyjęła kilka okruchów szkła, a potem ponownie odkaziła ranę, nieczuła na syknięcia i parsknięcia kuzynki.

Przeszukała dobrze wyposażoną apteczkę babci. Znalazła bandaże opatrunkowe i elastyczne, gazę i kilkanaście rodzajów plastrów, w tym takie, których potrzebowała – małe, wytrzymałe plasterki do spinania brzegów rany, prawie równie dobre jak szwy. Zużyła sześć, założyła gazę i starannie owinęła dłoń Moniki bandażem, a jego końcówkę przypięła małą agrafką. Całość wyglądała nader profesjonalnie.

– Do wesela się zagoi – powiedziała zadowolona z siebie Magda.

Monika uniosła brew.

– Twojego? Czy Tamara coś planuje?

– A kto ich tam wie – parsnęła Magda. – Na razie mówią tylko o remoncie. Muszę do nich zadzwonić. Majster, który miał im jeszcze w listopadzie zakładać okna połaciowe, dzwonił dziś rano i powiedział, że z oczywistych przyczyn powinni poczekać do wiosny i przy okazji wymienić rynny i kołnierz wokół komina, żeby im dach nie przeciekał. Na pewno się ucieszą, że z tą rynną nie będziemy aż tyle czekać.

Spakowała opatrunki do puszek po ciastkach i zaczęła porządkować pozostałe rzeczy, aby odłożyć je z powrotem na półkę. Zamarła, gdy uświadomiła sobie, co właściwie trzyma w dłoniach. Rozpoznała pismo

na kopercie. Przez chwilę walczyła z wyrzutami sumienia, a potem zajrzała do środka. Bez wątpienia był to list z pogrózkami, niewiele łagodniejszy niż te, które znalazła w pokoju Szyszki. Sprawdziła stempel pocztowy – okazał się rozmazany i nieczytelny, ale przecież z szafki wypadło więcej kopert! Ich zawartość była niemal identyczna, jednak dawało się odczytać stemple – daty sprzed trzech miesięcy, sprzed czterech, sprzed pół roku...

– Ta kobieta dręczy babcię co najmniej od roku! – powiedziała drżącym głosem.

– Jaka kobieta, bo nie nadążam – zdziwiła się Monika.

– Ta cała Szyszka... Listy, takie jak te u niej w pokoju, wysyła babci od miesięcy, od lat! Ona ją prześladowuje!

– Na pewno ci się nie pomyliło? Ona?

– Poznają pismo. Nawet ten cholerny atrament poznają, burgund z metalizującymi opiłkami. Wpisała się nim do księgi gości w czasie meldunku! Nie rozumiesz? Babcia nie wie, że to ona! I one są z nią same! Babcia i pani Aniela! Zdane na jej łaskę!

– Są na przyjęciu, przecież nie zamorduje ich między ludźmi – stwierdziła Monika, jednak nie brzmiało to zbyt pewnie.

Magda odszukała w stosie rozsypanych listów grubą zieloną kopertę, tę, którą wcześniej otworzyła w kuchni. Podetknęła Monice pod nos zaproszenie wypisane tym samym eleganckim i nietypowym atramentem.

– O ile w ogóle jest jakieś przyjęcie! Jeśli nie wywiozła ich do tego lasu na śmierć!

Monika nie odpowiedziała. Wyciągnęła z kieszeni komórkę i zadzwoniła do babci. Usłyszała sygnał braku połączenia. Spanikowana wybrała numer do taty, tym samym przyznając Magdzie rację – działo się coś groźnego.

Abonent czasowo niedostępny. Cholera jasna! Zadzwoniła do mamy. Ta odebrała po dwóch sygnałach.

– Hej, mamó, szukam taty, nie wiesz, gdzie może być? – zapytała, bo jej rodzice zwykle rozmawiali w ciągu dnia, nawet gdy któreś z nich było na wyjeździe.

– Na jakimś przyjęciu niespodziance? Mówił, że wybierają się tam ze Straszewiczem – odpowiedziała Anna Garstka. – Coś się stało? – zapytała zaniepokojona tonem córki.

– Nie, nic, sztormowo się zrobiło i nie mogłam się dodzwonić, martwiłam się o niego – wymigała się Monika.

– To przyjęcie jest gdzieś na Uroczysku, tam może nie być zasięgu – wyjaśniła Anna, a Monice odpłynęła krew z twarzy. Pożegnała się z mamą i powiedziała do Magdy:

– Ta kobieta chce zabić naszą rodzinę!

– Po moim trupie! – krzyknęła Magda. – Wiesz, gdzie to jest?

Monika skinęła głową.

– Ubieramy się i jedziemy – zarządziła Magda.

Nie będzie jej Szyszka bliskich mordować! Straciła już dość osób z rodziny, by pozwolić, żeby jakaś pańcia zabrała jej babcię i wuja. Nawet Straszewicza nie zamierzała jej oddawać. Był irytujący i wkurzał ją niemożebnie, ale w końcu to poniekąd jej sierżant sztabowy! I dał jej jajko niespodziankę, kiedy leżała w szpitalu. I porównał ją do swojej kotki. Nie, nie zamierzała zostawić go na pastwę psychopatki.

Kiedy wbiegały po schodach do mieszkania Magdy, nawet nie zauważyły, że pogoda się pogorszyła. Do śniegowych wirów doszły ciężkie, burzowe chmury. Nie żeby jakiegokolwiek chmury mogły powstrzymać Garstki!

ROZDZIAŁ 16

W obliczu kryzysu – a zwłoki leżące na łóżku w pokoju Marii bez wątpienia kwalifikowały tę sytuację jako kryzysową – przyjaciółki obrały skrajnie różne strategie.

Maria siedziała jak ogłuszona na ławce pod oknem, szklanym wzrokiem wpatrując się w czerwone plamy na podkoszulku Mundka, i próbowała przyswoić fakty. Zgadzała się z Anielą – to nie był przypadek. I choć brzmiało to poniekąd paranoicznie, ktoś próbował ją zrobić. Wciąż pozostawało wiele pytań. Na przykład: dlaczego? Czyżby Bóg uznał, że już czas, by zapłaciła za swoje grzechy, więc tak pokierował sprawami, żeby wina za to morderstwo spadła na nią? Jednak z jakiegoś powodu Maria wątpiała, aby za tym wszystkim stał Stwórca.

Więc: dlaczego? I przede wszystkim: kto?

Aniela tymczasem uznała, że na traumę czy inne PTSD przyjdzie jeszcze czas, a teraz miała zadanie do wykonania. Mianowicie nadprogramowe ciało, które musiało zniknąć. Szybko. Zanim ktoś tu wpadnie i oskarży Marię o morderstwo. Przyjaciółka nie może trafić do więzienia! Aniela nie wątpiała w jej niewinność. O braku winy świadczył nie tylko anielski charakter Marii, ale i sposób dokonania zbrodni. Na podkoszulku ofiary widniały ślady wielokrotnych ciosów nożem, a to kompletnie nie pasowało do schludnej i rozsądnej Maryni. Już prędzej dyskretne otrucie, ewentualnie wypadek w domu w stylu zrzucenia ze schodów czy drabiny, ale nie dżganie bez opamiętania. Wyobraźnia Anieli pędziła przed siebie jak spłoszony królik, szukając sposobu i miejsca pozbycia się zwłok. Wykluczyła wynoszenie ich z pokoju – na korytarzu ciągle ktoś się kręcił, słyszała głosy Marka i Straszewicza, ktoś trzaskał drzwiami, podłoga skrzypiała... Poza tym Mundek to spore chłopisko – żeby go znieść po schodach, musiałyby sięgać po techniki Krzysia wobec Kubusia Puchatka, ale jak Zyśko zacznie stukać głową o stopnie, to sprawa szybko się wyda.

Szafa też odpadała. Była zbyt ciasna i płytka, Aniela nie zdołałaby wcisnąć tam trupa, o ile nie posiekałaby go na kawałki. A przeczytała dość kryminałów, by wiedzieć, że to robota żmudna, męcząca, wymagająca sił i narzędzi, a najlepiej jeszcze wanny. Łazienka znajdowała się na korytarzu, wspólna dla wszystkich pokoiów.

Aniela zastanawiała się, czy domniemani „oni”, to jest sprawcy całej awantury, czekają teraz na rozpaczliwy wrzask Marii, która odkrywa zwłoki i od razu staje się główną podejrzaną, czy może zamierzają wprosić się do pokoju, odkryć trupa i narobić rabanu. A gdyby zajrzeli

pod pierzynę i nie znaleźli tam Mundka, to gdzie by go szukali w pierwszej kolejności? No jasne, że pod łóżkiem i w szafie – jedynie tam mógłby się zmieścić. W skąpo umeblowanym pokoju innych miejsc do schowania go praktycznie nie było.

Głośne pukanie do drzwi sprawiło, że obie podskoczyły i posłały sobie spanikowane spojrzenia.

– Mamo, mogę wejść? – usłyszały głos Marka.

– Chwileczkę! – zawołała Maria i rzuciła się do przykrywania zwłok pierzyną.

– Jestem naga! – zaimprovizowała Aniela, podejrzewając, że to da im chwilę.

Nie sądziła, by Mareczek zawołał: „Sprawdzam!” i ryzykował, że zobaczy coś, czego będzie żałował. Dotyczyło to w równym stopniu zwłok, co gołej Anieli, która co prawda trzymała się całkiem dobrze jak na swoje siedemdziesiąt dwa lata, ale – bez przesady!

Sprawnie przykryły Mundka pierzyną, na nią naciągnęły narzutę, a dowody zbrodni w postaci noża i szala Aniela wepchnęła pod poduszkę.

*

Marek wiedział, kiedy jest robiony w Karolka. Gdy w końcu Aniela otworzyła mu drzwi, dałby głowę, że na kolacji była odziana dokładnie tak jak teraz. Wodził spojrzeniem między matką a jej przyjaciółką, próbując zrozumieć, o co chodzi, ale dostrzegł tylko rumieniec i wyraźne zmieszanie pierwszej oraz dziwne podekscytowanie drugiej. Przemknęło mu nawet przez głowę, że może przeszkodził im w czymś bardziej intymnym, ale odpędził tę myśl. Gdyby tak było, Anna, Magda lub Monika już by coś wyniuchały, a żadna z nich nie potrafiłaby utrzymać takiej wieści w tajemnicy.

Uznał więc, że policyjny instynkt dobra rzecz, ale w kontaktach z rodziną lepiej odłożyć go na półkę, bo wpędza człowieka w tarapaty. Odetchnął i zapytał:

– Czy mama wie, kto to wszystko organizuje?

Maria pokręciła głową.

– Pojęcia nie mam. Dostałyśmy anonimowe zaproszenia. Gdyby Aniela nie rwała się do nadrabiania straconych imprez, nawet nie pomyślałabym, żeby skorzystać.

– I Aniela wie, że to było głupie, i obiecuje poprawę – oświadczyła jej przyjaciółka, a Marek zastanowił się, dlaczego mówiąc o sobie, używa trzeciej osoby. Nie potrafił stwierdzić, czy kieliszek wina, który wypił, to za dużo czy za mało, żeby nadażyć za tym duetem starszych pań.

– Ale to nie Madzia i Moniczka? – upewnił się.

– Na pewno nie one – orzekła Maria, myśląc o trupie grzejącym się

pod pierzyną. – Zauważyłabym, gdyby coś knuły, a zorganizowanie tego zajęło co najmniej kilka dni – dodała.

– A czemu właściwie pytasz, Mareczku? – zapytała Aniela podejrzliwie.

– A nie, nic, tak po prostu. Dziwne to wszystko.

– Nawet nie wiesz jak – westchnęła cicho Aniela.

Nagły odgłos dziwnego szurania nad ich głowami sprawił, że wszyscy troje spojrzeli na gładki sufit. Najpierw coś głośno zazgrzytało, a potem ogromny płacheć zamarzniętego śniegu zsunął się z dachu i przeleciał za oknem. Z głośnym tąpnięciem spadł na ziemię, po chwili kilka mniejszych kawałków podążyło w jego ślady. Wszyscy troje patrzyli zaskoczeni na okno.

– Mam nadzieję, że nikt akurat dołem nie spacerował – powiedziała Maria z troską.

– Nie słyszałam krzyków – zauważyła Aniela, a jej wyobraźnia znów rozbrykała się jak koza.

– Jakby co, jesteśmy ze Straszewiczem pod trójką – poinformował Marek, wychodząc.

Wrócił do swojego pokoju, nie czując się ani odrobinę mądrzej, za to z głową wypełnioną niepokojącymi obrazami.

Straszewicz stał przy oknie, wpatrując się w ciemne drzewa odcinające się od śnieżnej bieli i w swój samochód przykryty grubą poduchą zamarzającego śniegu. Odwrócił się, słysząc powrót kolegi.

– I? – zapytał zwięźle.

– To nie Garstki. Są wystarczająco dziwne, by coś takiego odwinąć, ale tym razem to nie one – przyznał.

– A ten hałas?

– Spadzisty dach i zamarznięty śnieg.

– Zawsze lepiej, niż gdyby miał nam spaść z sufitem na głowę.

– Optymista! – prychnął Marek.

– Mówiłeś starszym paniom o gospodyni? I zamkniętych drzwiach? – zapytał Straszewicz.

– Nie ma sensu ich martwić. I bez tego są jak spłoszone króliki. Myślę, że mój wuj nastraszył mamę. Rodzinne zaszłości, rozumiesz.

– Niekoniecznie. Moja rodzina jest raczej normalna i nie nadaje się do scenariusza opery mydlanej. Cóż, zobaczymy, co się tu w ogóle wyrabia.

– Nad podziw spokojnie przyjmujesz to, że ktoś nas złapał w pułapkę – zauważył Marek.

– Bo złapać a utrzymać to dwie różne rzeczy. Mogę wybić szybę w drzwiach wejściowych, wyłamać zamek, cokolwiek. Ale jestem ciekawy, co, u diaska, się tu kroi. I przeciw komu się to obróci.

– Niezdrowa ciekawość – zauważył Marek. Docenił chłodny dystans Straszewicza, ale byłby spokojniejszy, gdyby jego matka nie znajdowała

się w samym centrum tego zamętu.

– Nie bój żaby, procent Garstek w populacji normalnych obywateli sugeruje szajbę, ale nic w stylu ordynarnego slashera. Nie sądzę, że zaczniemy padać jedno po drugim jak muchy albo że za chwilę pojawią się facet z siekierą czy bliźniaki z rowerkiem. Choć z drugiej strony... Jest noc, zasypany śniegiem dom w lesie... Ty aby nie piszesz żadnej książki na boku?

– Do butelki też nie zaglądam zbyt często – odpowiedział Garstka, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

Marek cieszył się, że nie jest z tą zagadką sam. Straszewicz był solidnym i rzeczowym wsparciem. Złapał się na tym, że naśladuje jego gest gładzenia wąsów w zadumie.

Uwagę policjantów zwrócił szelest i obaj spojrzeli w stronę, z którego dochodził.

W szparze między podłogą a dolną krawędzią drzwi pojawił się niewielki biały prostokąt, a po sekundzie rozległ się odgłos szybkich kroków. Marek przyskoczył do drzwi i błyskawicznym szarpnięciem je otworzył, ale nie zdążył nikogo przyłapać, usłyszał tylko oddalający się na schodach tupot. Podniósł grubą białą kopertę małego formatu, starannie zaklejoną i zaadresowaną drukowanymi czarnymi literami „sierż. Straszewicz”. Podał ją koledze, a sam jeszcze raz wyjrzał na korytarz, jednak na schodach było ciemno i zupełnie cicho.

Straszewicz zważył kopertę w dłoni, po czym wyciągnął z kieszeni klucze i jednym z nich podważył kłapkę, a następnie przeciął papier, starając się nie uszkodzić miejsca sklejenia. Nie chciał zniszczyć ewentualnych dowodów. Mimo że coraz częściej zaklejenie koperty nie wymagało polizania brzegów kłapki, istniała szansa, że ktokolwiek podrzucił ten list, zostawił na nim swoje DNA.

W środku była gruba kartka złożona na czworo. Rozłożył ją ostrożnie, trzymając jedynie za rożki.

Czarny mazak przebijał na drugą stronę, chyba marker, bo Straszewicz poczuł lekki aromat alkoholowego tuszu.

– A to ci afera – mruknął, czytając niedbałe pismo.

– Co jest? – zapytał zaintrygowany Garstka.

– Kłopoty, jak by na to nie patrzeć – przyznał Straszewicz, pokazując treść anonimu.

MARIA GARSTKA TO MORDERCZYNI. ZABIŁA MUNDKA. ZWŁOKI CIĄGLE SĄ W JEJ POKOJU. CZY TYM RAZEM TEŻ PRZYMKNIECIE OKO? CZY GARSTKA MOŻE MORDOWAĆ BEZKARNIE? KIEDY DOBIERZECIE SIĘ JEJ DO DUPY? MOŻE SAM POWINIENEM TO ZROBIĆ? NIE WYJDZIE NA TYM DOBRZE, PRZEMĄDRZAŁA SKĄPA ZDZIRA.

Marek zaklął ciężko. Straszewicz tylko kiwnął głową.

– Trzeba by się tu jednak rozejrzeć, nie sądzisz? – zapytał, gładząc

wąsa. Z jakiegoś powodu jego nos nie był wrażliwy na intrygę, za to wąs stroszył się, ilekroć kroił się kłopoty.

Z kolei Marek pocierał swędzący nos tak intensywnie, że poczerwieniała mu skóra.

Wymienili spojrzenia i ruszyli do wyjścia.

*

Aniela zatrzasnęła za Markiem drzwi i przekręciła zapadkę zamka. Nie był to solidny mechanizm antywłamaniowy, ale spowolni tego, kto zechce wejść bez proszenia.

– Już wiem, co musimy zrobić! – powiedziała do Marii. Jej oczy lśniły podnieceniem. Podbiegła do okna, przekręciła klamkę i szarpnęła. Zamek puścił, ale okno nie drgnęło. Warknęła, zapierając się piętą o ławę, i pociągnęła jeszcze raz. – Masz nóż? – wystękała, wciąż siłując się z oknem.

– Nic, czym dałoby się poćwiartować ciało.

– Farba się skleiła! Jełopy zamknęły po malowaniu, zanim na dobre wyschła, trzeba podważyć albo przeciąć!

– Mam scyzoryk w torebce, ale to taki maluszek, do paznokci raczej...

– Przecież pod poduszką mamy twój najlepszy nóż!

Maria pacnęła się w czoło, wyjęła go i już miała podać Anieli, ale się zawahała.

– A jak się złamie? Wyszczzerbi czy stępi? – zapytała.

– Jeśli cię złapią z trupem, i tak zatrzymają narzędzie zbrodni, więc się nie przywiązuj. A jak już się pozbędziemy ciała, a nóż ucierpi, kupię ci nowy! – persadowała Aniela, czekając z wyciągniętą ręką.

Chwilę potem Maria ciągnęła z całych sił za klamkę, a Aniela dźgała w szparę między ramą a futryną, aż zdołała je rozdzielić. Okno otworzyło się gwałtownie, a Maria poleciała do tyłu, lądując boleśnie na tyłku i łokciu.

– Ty się, kochana, nie rozbijaj, bo jak przyjedzie karetka, to i tak jego pierwszego wpakują na nosze. A raczej nie chcesz leżeć na nich po Mundku – zauważyła rozsądnie Aniela, wychylając się przez okno.

Wysoko, oceniła. Wysoka suterena i piętro w kamienicy to więcej niż zwykle dwa piętra. Pod oknami rosło trochę nagich krzewów. Gruba warstwa śniegu pozwalała wierzyć w powodzenie planu, tym bardziej że znów zaczęło padać.

– Nie będziemy schodzić po prześcieradle – zastrzegła Maria.

– A niby czemu miałybyśmy? To nie my uciekamy, tylko on nas opuszcza. – Kiwnęła głową w stronę łóżka.

– Zimno się robi – zauważyła Maria, bo lodowaty wiatr wdzierał się przez otwarte okno.

– No to nie ma co zwlekać, bo jak wejdą do takiej lodówki, to się

domysłą – oświadczyła Aniela i podeszła do łóżka. Zamaszystym ruchem zdarła pierzynę, odsłaniając zaciukanego Mundka. – Wolisz za ręce czy za nogi?

Maria dodała dwa do dwóch. To był skrajnie idiotyczny plan, ale innego nie miały. I o dziwo, to się mogło udać. Na dole nikt się teraz nie kręcił, więc nikogo nie zaskoczy przelatujący trup. Dodatkowo niedawne osuwisko oswoiło wszystkich z rumorem.

– Dobra, biorę ręce – oświadczyła. – Mam więcej krzepy i zdrowe biodro. Ale byłoby dobrze go czymś owinąć.

– Masz rację, żeby nie zostawił tu wszędzie DNA! – odparła Aniela. Uznała z zadowoleniem, że skoro przyjaciółka weszła w tryb praktyczny, porzuciła niedawny stan katatonii.

Maria po prostu nie chciała widzieć twarzy Mundka, kiedy będzie go niosła, ale w sumie DNA to też dobry powód. Ściągnęła powłoczkę z jednej z dwóch poduszek i założyła ją trupowi na głowę.

Mundek swoje ważył, a one nie były mocarzami, ale Maria, która od dziecka pracowała w pensjonacie, nauczyła się dźwigać ciężary, także te nieporęczne, jak wielki materac, który co kwartał należało obrócić, żeby się równomiernie uleżał. Aniela syknęła, gdy bezwładny ciężar uraził jej wciąż wrażliwe biodro, ale stękając i przystając co chwilę, zdołały ściągnąć trupa z łóżka i dotaszczyć go do okna. Teraz najtrudniejsze, pomyślała Maria.

– Posadźmy go – zarządziła Aniela.

– Dobra, spróbujmy – sapnęła Maria. Stojąc tyłem do okna, złapała Mundka pod pachy i pociągnęła.

Aniela pomagała, jak mogła. Wreszcie spionizowały zwłoki.

– On już chyba za sztywny na siadanie – stęknęła Maria, ciągnąc go w stronę parapetu.

– Tylko z nim nie wypadnij! Jeśli znajdą was tam razem na dole, uznają, że to morderstwo i samobójstwo, pakt nieszczęśliwych kochanków!

– Nie pchaj – jęknęła Maria, wysuwając się zza Mundka, gdy ława boleśnie wbiła jej się w tył kolan. Stanęła przy Anieli i powiedziała: – No, rodacy, ostatni wysiłek! Na trzy cztery!

Włożyły w to finałowe pchnięcie wszystkie siły. Maria czuła, jak strużka potu spływa jej wzdłuż kręgosłupa, ale gdy połowa ciała wystawała już za okno, euforia dodała jej skrzydeł: pchnęła jeszcze raz i pozwoliła grawitacji zrobić resztę. Zwłoki spadły z głuchym tąpnięciem. Obie wystawiły głowy za okno, obserwując swoje dzieło. Szczęśliwie ciało obróciło się w locie i upadło brzuchem do ziemi, więc plamy krwi stały się niewidoczne, a jasna bielizna stanowiła niezły kamuflaż.

– Jak się nie wie, że tam jest, to właściwie go nie widać – orzekła

Aniela.

– Przy takim zimnie nikt nie będzie otwierał okna, a przez szybę chyba go nie dojrzą, za blisko domu.

– Jeżeli to nie jest dobra robota, to ja nie wiem. – Przyjaciółka poklepała Marię po plecach, a potem samą siebie po lewym ramieniu. – I niech teraz go szukają, gady cholerne.

– Nadal nie wiemy, kto za tym stoi – zauważyła Maria.

– Przyjdzie kryska na Matyska – odparła Aniela. Nie dostrzegła, że Maria zbladła i cofnęła się o pół kroku. – Dobra, zamykamy okno, podkręć kaloryfer. I udajemy, że nic a nic się nie stało! – Obejrzała się i zobaczyła minę Marii. – Na to, żeby wołać tu wąsatego jaszczębia i Mareczka, jest już za późno – stwierdziła. – Namieszaliśmy na miejscu zbrodni, potencjalnie zniszczyliśmy dowody i zbezczęściliśmy zwłoki. Powiedziało się A, trzeba powiedzieć B. Ja naprawdę wciąż mam za wiele rzeczy na mojej przedśmiertnej liście, by iść do więzienia. A poszłabym za współudział jak nic!

– Przecież nic nie zrobiłaś – zaprotestowała Maria.

– O nie, kochana, zrobiłam dokładnie tyle, ile ty. Po to się ma przyjaciół.

– Żeby samemu nie pozbywać się ciała? – spytała Garstka z przekąsem.

– Wreszcie załapałaś. Najważniejsze, że po kłopotcie.

– Dopóki ktoś nie przejdzie pod oknami.

– Może go zasypie i będzie tu leżał do wiosny? A wtedy to już nikt nie powiąże zabójstwa z nami, kiedy go znajdą.

I jakkolwiek to brzmiało, Maria poczuła się nieco spokojniejsza. Na tyle, że obudził się jej zmysł praktyczny. Ściągnęła prześcieradło i poszwę z pierzyny z wprawą kobiety, która od sześćdziesięciu lat zawodowo ścieliła łóżka. Na białej pościeli nie zauważyła żadnych plam, złożyła ją więc w kostkę i schowała do szafy. Już ją miała zamykać, kiedy coś ją tknęło. Otworzyła szeroko drzwiczki, by obejrzeć jej zawartość w świetle żyrandola.

Jak skamieniała patrzyła na brązowe guziki przy mankiecie, które odrywały się tyle razy, że w końcu przyszyła je czarną szewską dratwą.

– Co tu robi garnitur Bolka? – zapytała głucho.

*

Straszewicz lubił proste rozwiązania. Garstka, jak to Garstka, kombinował. Widać miał w genach tendencję do szukania dziury w całym. Po tym, jak obeszli dom i wrócili do sypialni, krążył nerwowo, głowiąc się nad sprawą anonimowego oskarżenia.

– Stary, a nie myślałeś, żeby po prostu iść do pokoju matki i sprawdzić, czy jest w nim trup? – zapytał Straszewicz.

Marek spojrzał na kolegę, jakby ten zaproponował mu nagie tango na

śniegu.

– Żeby do końca życia wiedziała, że w ogóle brałem to pod uwagę?

– Przecież nie musisz jej mówić. Ale możesz się rozejrzeć. Nie ukryjesz trupa na ograniczonej przestrzeni, zwłaszcza przed dwoma profesjonalnymi policjantami, nie?

– Ale nic jej nie powiesz?

– Jeśli nie znajdziemy zwłok, nawet się nie zająknę. Ale jeżeli gdzieś tam są, to może lepiej, żebyśmy to my je znaleźli, zanim ona na nie wpadnie.

– Mama i trup w pokoju? To jakiś absurd – przekonywał samego siebie Marek.

Straszewicz uniósł brew. Może parę miesięcy temu zgodziłby się z opinią Garstki, ale to było, zanim Madzia zaczęła znajdować zwłoki.

– Albo Magda odpaliła jakąś rodzinną trupią kłatwę i twoją matkę czeka szok, gdy zajrzy do szafy – powiedział.

Marek pobladł. Kilkanaście sekund później stukał w drzwi pokoju numer sześć.

Straszewicz poszedł za nim jak ciche wsparcie rozsądku.

Maria otworzyła po dłuższej chwili, która Markowi wlokła się w nieskończoność. Obie z Anielą miały zarumienione policzki i wyglądały na lekko speszone. Markowi ponownie przemknęło przez myśl, że może łączy je coś więcej niż przyjaźń.

– Coś się stało? – zapytała jego matka, zadzierając głowę, by spojrzeć mu w oczy.

– E, nie, ale takie dziwne to wszystko, więc pomyślałem, że zajrzę... Zajrzemy – dodał, bo Straszewicz stał tuż za nim.

– Może razem rozgryziemy, co się tu właściwie dzieje – wtrącił się sierżant.

Maria skrzywiła się lekko, ale Anieli uchyliła szerzej drzwi i powiedziała:

– Wejdźcie, chłopcy, gadaniem przez próg tylko wabicie pecha.

Przez kolejnych kilka minut Straszewicz dyskretnie rozglądał się po niewielkim pokoju. Kucnął pod pretekstem wiązania sznurowadła i zerknął pod łóżko.

Marek zagadywał seniorki, sugerując, że to w jakimś stopniu jest awantura rodzinna, bo aż troje z zaproszonych gości to Garstki.

Straszewicz zaglądał właśnie do szafy, kiedy usłyszał za sobą Anielę.

– A co pan właściwie robi? Ogląda pan bieliznę Maryni? – zapytała ostrym tonem.

Zarzut był tak absurdalny, że Straszewicza zamurowało.

Marek westchnął i uznał, że musi ratować kolegę. Rzucanie go nieobliczalnej przyjaciółce matki na pożarcie byłoby niehumanitarne i niekoleżeńskie.

Wyciągnął z kieszeni anonim i podał go Marii. Ta przebiegła po nim wzrokiem i zbladła. Przekazała go Anieli, która przeczytawszy, zwróciła się do Straszewicza:

– Chyba pan nie uwierzył, że Maria mogłaby kogoś zaciukać? – W jej głosie brzmiało czyste oburzenie.

– W żadnym razie. Ale ktoś mógł wam, drogie panie, zrobić paskudny żart, prawda?

– Pewnie mógł... – zadumała się Aniela, unikając pełnego wyrzutu spojrzenia Marii.

Nadal uważała, że dobrze zrobiły, pozbywając się martwego lokatora. Marek i Straszewicz w końcu wparowali tu, aby szukać trupa, przez ten anonim, prawda? I teraz sobie mogli mówić, że nawet przez chwileczkę, chwilunię, nie wierzyli zarzutom, ale czy śpiewaliby tak samo, gdyby znaleźli zwłoki pod pierzyną? No właśnie. To brak nieboszczyka przemawiał na korzyść jej i Marii i przeciwko wiarygodności anonimu. A przy okazji miały niezbity dowód na to, że ktoś faktycznie sprokurował tę całą sytuację, by wrobić Marię w morderstwo.

– Po moim trupie – wymamrotała Aniela.

– Mówiła coś pani? – zapytał czujnie Straszewicz, bo wydawało mu się, że usłyszał słowo „trup”.

– Nic takiego – zapewniła. – Ot, ktoś się musiał urznąć w trupa, żeby takie bzdury wypisywać.

Marek zmarszczył brwi. Znał jednego pewnego kandydata na urzędnego w trupa idiotę.

ROZDZIAŁ 17

Monika kurczowo trzymała kierownicę i próbowała zobaczyć cokolwiek przez gęsty śnieg. Włączyła długie światła, ale załamywały się w śnieżnej zamieci i odbijały od białego puchu na drodze. Rozum podpowiadał jej, żeby się zatrzymać i przeczekać. Albo – skoro według prognoz sztormowa śnieżycy miała trwać do rana – ostrożnie zawrócić i postarać się dotrzeć do domu. Tyle że to nie rozsądek ją teraz napędzał, lecz emocje. I Magda, która wierciła się na siedzeniu obok, bezskutecznie próbując się dodzwonić do babci i wuja. Nie odzywała się, a kiedy któraś z Garstek milkła na dłużej, oznaczało to, że jest naprawdę kiepsko.

Monika знаła adres, który widniał na zaproszeniu. Kilka lat temu w czasie wakacji zaprzyjaźniła się z dziećmiakami spędzającymi w tym ośrodku wczasy z rodziną. Tyle że latem wszystko wyglądało inaczej: docierała tam plażą i wchodziła północną bramą, a nie od strony miasta, nie musiała się też przedzierać przez zasypany śniegiem las. GPS prowadził ją dosyć pewnie, odhaczała też kolejne punkty orientacyjne, wypatrzyła nawet na jednym z drzew tablicę ze strzałką pokazującą kierunek zgodny z tym, który sugerowała nawigacja. Droga była ledwie przejezdna nawet przy dobrej pogodzie – gdzieniegdzie wąska, nieutwardzona, z dołkami i nierównym poboczem, gęsto obrosniętym krzakami i drzewami – a teraz wszystko zasypał ten nieszczęsny śnieg. W takich ilościach Monika widziała go w Ustce może dwa razy w życiu.

Jechała wolno, a i tak kilka razy z trudem utrzymała samochód na drodze. Czowała, że pod bluzą i puchową kurtką jest cała spocona. Musiała siłą rozprostowywać palce na kierownicy, bo zaczynała czuć w nich skurcze, na dodatek odezwał się ból w zranionej dłoni. Gdy zobaczyła światła, domyśliła się, że dotarły do najbliższego sąsiedztwa Uroczyska 11. Zgodnie z tym, co pokazywała nawigacja, miała przed sobą dość ostry zakręt, więc zwolniła jeszcze bardziej. Potem pomyślała, że tylko temu zawdzięczały życie. Gdyby jechała szybciej, kiedy ciemny kształt wyskoczył jej prosto przed maskę... wołała o tym nie myśleć. Skręciła gwałtownie w prawo, by uniknąć zderzenia, i momentalnie straciła przyczepność, zdołała odbić na tyle, by ominąć pień drzewa, ale na zahamowanie nie było szans. Wypadła z drogi i zaryła nosem samochodu w rów wypełniony śniegiem. Poczowała szarpnięcie, jakby uderzyła w ścianę.

– Magda, jesteś cała? – rzuciła niespokojnie. Dopiero teraz zaczynało do niej docierać to, co jej mózg rejestrował, gdy ona koncentrowała się na kraksie, i usłyszała, że Magda krzyczy.

– Nie chcę umierać! – szlochała. – Kto uratuje babcię, jeśli zginiemy? I wujka? Nie możemy umrzeć, nie możemy! – wykrzykiwała przez łzy.

– Magda, nie umarliśmy, już po wszystkim, gorzej nie będzie! Jesteśmy w rowie, auto się zakopało i nie wyjadę – mówiła powoli, bo podejrzewała, że kuzynka jest w szoku albo uderzyła się w głowę.

Magda otworzyła oczy i odetchnęła, widząc przed sobą hałdę śniegu. Samo w sobie nie było to może specjalnie pocieszające, ale ta hałda stała nieruchomo, a to znaczyło, że już nie lecą prosto na drzewo.

– No dobra – powiedziała spokojniej. – Chujowo, ale stabilnie, mogę z tym żyć. Jak daleko jesteście od babci?

– Jakieś trzysta metrów. Pójdziemy pieszo.

– No raczej, pomoc drogowa nie znajdzie nas w tym białym piekle.

– Możemy wrócić kawałek i zobaczyć, czy w ośrodku policyjnym nie ma kogoś, kto może nam pomóc – zaproponowała Monika.

Magda zastanowiła się nad tym rozwiązaniem. Było niezłe, ale miało jedną wadę.

– A jeśli się okaże, że to zwyczajna impreza? Że Szyszka ma świra, ale nie zagraża babci, tylko nie umie sobie radzić ze stresem i zamiast nosić na nadgarstku gumkę do strzelania, wypisuje paszkwile? – zapytała.

– Wtedy wtargniemy na przyjęcie, na które nikt nas nie zapraszał, w policyjnej obstawie. Tata będzie słuchał o tym przez kolejne lata – przyznała Monika.

– Może więc zrobimy mały rekonesans, a jeżeli uznamy, że sprawa śmierdzi, przyjdziemy po wsparcie – zaproponowała Magda.

– Ma to sens. Dobra, wychodzimy. Tylko uważaj, bo wpadniesz w śnieg po kolana.

– Najwyżej do pół łydki, nie jestem aż tak mała, gazelo – odcięła się Magda. Ale kiedy wyszła z auta, zapadła się aż do połowy uda.

Monika parsknęła śmiechem, widząc jej minę.

– Czemu w ogóle straciłaś panowanie? – zapytała Magda, gdy wydostały się na drogę.

– Coś mi wyskoczyło przed maskę.

– Zabiliśmy to?! – zawołała przejęta.

– Uciekło i miało więcej szczęścia niż my – odparła Monika, rozglądając się po zaroślach.

I nagle dostrzegła małego winowajcę. Sięgnęła między gałęzie i wyciągnęła kota, najwyżej kilkumiesięcznego. Był wychudzony, zmarznięty, trząsł się w jej ramionach i żałośnie popiskiwał tonem skargi.

– Co ty tu robisz, głupolku? – zapytała, tuląc zwierzątko w zwojach szala.

– Porządna misja ratunkowa: jeszcze nie dotarliśmy na miejsce, a już mamy jednego ocaleńca – podsumowała Magda. – Nawet jeśli, w co

bardzo wątplię, okaże się, że poniosła nas wyobraźnia, już wiemy, że ta jazda i kraksa nie poszły na marne.

Monika bez namysłu przyznała jej rację.

– Prosto? – zapytała Magda, wskazując zasypaną drogę.

Monika skinęła głową. Szły wśród zadymki, brnąc przez głęboki śnieg. Monika niosła kociaka, a Magda sprawdzała komórkę. Nagle powiedziała:

– Nie daje mi to spokoju.

– Co konkretnie?

– Jesteśmy kilkaset metrów od Uroczyska 11, tak?

Monika przytaknęła.

– Ja ciągle mam zasięg, nie rewelacyjny, połowa kresek, ale mam. A babcia i wujek są całkiem poza zasięgiem.

Przyspieszyły bez słowa.

*

Ostatnim razem Monika widziała ośrodek kilka lat wcześniej, i to w szczycie lata, ale na widok wysokiego ogrodzenia powiedziała pewnym tonem:

– To już tu. Teraz wzdłuż siatki, aż trafimy do bramy.

Pokonały kilkadziesiąt metrów, grzęznąc w śniegu. Magda szła przodem, posapując.

– Ale wielki ten ośrodek – powiedziała. – Myślałam, że kilka domków i już.

– Dwa czy trzy duże domy i kilkanaście małych, ale rozrzuconych, żeby ludzie sobie na głowie nie siedzieli – wyjaśniła Monika.

– W sam raz na zimową rezydencję seryjnego mordercy – mruknęła Magda.

Nie czuła już twarzy. Do śnieżycy dołączył się zaciekły wiatr, który chłostał jej odsłoniętą skórę lodowymi kolcami. Śnieg pod butami zgrzytał coraz głośniejsz – znak, że temperatura leciała na łeb na szyję. Starła się nie skupiać na tym, jak niepewnie się czuje, wystawiona na żywioły, narzekanie w niczym by tego nie poprawiło, ale kuliła się coraz bardziej.

Dobrze i pewnie czuła się w mieście, nawet niedużym, tymczasem ten opuszczony po sezonie ośrodek położony w odludnym miejscu, w lesie i bez zasięgu, przywodził na myśl horrory. Właśnie tak kończą naiwni turyści, pomyślała. Bez trudu można tu zakopać zwłoki, których nikt nigdy nie odnajdzie.

Dotarły do bramy, niestety zamkniętej na kłódkę.

– Spokojnie, jest ich więcej – zapewniła Monika. – jeszcze przynajmniej jedna brama, a dalej furtki, wschodnia, zachodnia i północna. Zawsze wchodziłam tą od plaży, ale pamiętam, że na każdym

boku ogrodzenia była przynajmniej jedna...

– Mam nadzieję, że któraś jest otwarta, bo nie wiem, czy damy radę górą. – Magda zadarła głowę, przyglądając się wysokiej siatce o oczkach zbyt drobnych, aby dało się w nie wsunąć zimowy but, i szczytce zabezpieczonym przemysłowym drutem kolczastym. – Małe Alcatraz.

– Dostaniemy się... Nawet jak zamknęli na zimę wszystkie furtki, zawsze gdzieś się poluzuje siatka – uspokoiła ją Monika w roztargnieniu. Stała na palcach, próbując dojrzeć główny budynek. Wydawało jej się, że widzi światło, ale w tej zadymce naprawdę trudno było cokolwiek wypatrzeć. Ale nie, na pewno! Błysnęło w dużych oknach na pierwszym piętrze. – To tam! – zawołała podniecona. – Może jak narobimy wrzasku, ktoś do nas wyjdzie?

– Jeśli ktokolwiek nas usłyszy przy tym wietrze – powiedziała Magda z powątpiewaniem. Sama ledwie słyszała Monikę, choć stały metr od siebie. Wiatr wył potężnie, a od strony nieodległej plaży dobiegało gniewne przewalanie się fal.

– Zostaje nam włamanie – stwierdziła Monika.

Zacząła się przedzierać przez zaspę nawianego przez wiatr śniegu z powrotem na drogę, gdzie leżało go trochę mniej, ale wciąż sięgał ponad kostkę. Choć szła jak czapla, wysoko unosząc kolana, czuła, że śnieg wsiąkł już w cholewki jej butów i nasypało się go do środka. Kot mrucał w jej objęciach, co było słodkie, ale trzymając go w obu dłoniach, nie mogła rozstawić szeroko rąk, by utrzymać równowagę w śliskich miejscach. Magda zauważyła jej problem i przyspieszyła: szła teraz kilka metrów przed nią, niczym mały pług śnieżny. Dziękowała w duchu ciotce Tamarze, która w listopadzie przywiozła jej nie tylko ciepłą zimową kurtkę, ale też solidne buty trekkingowe, kupione dwa lata wcześniej, kiedy jechały zimą w góry. Wtedy wydatek wydawał jej się bezsensowny, bo zimy stały się znacznie łagodniejsze niż kiedyś, ale właśnie przyszło jej to odszczekać.

Dotarły do słupa, na którym ogrodzenie zakręcało, ale żeby dalej iść wzdłuż siatki, musiały opuścić drogę i skręcić w wąską wydłowaną ścieżkę, jedną z tych, które zwykle prowadziły na plażę. Magda po raz pierwszy usłyszała z tak bliska ryk wściekłego, rozszalałego Bałtyku w szczytce sezonu sztormowego.

– Pamiętam to zejście! Tędy do plaży jest niecałe sto metrów, czyli furka już niedaleko – zapewniła Monika z ulgą.

Faktycznie była, i to niezamknięta na klucz. Otwierając ją, Magda musiała przepchnąć małą hałdę nawianego śniegu, ale dostały się do środka bez przeszkód. Teraz czekało je dotarcie do dużego domu, prawie po ciemku. Niemal wszystkie latarnie na terenie ośrodka były pogaszone. Brnęły ledwie widoczną ścieżką między domkami, które chowały się pod czapami śniegu na dachach, co upodabniało je do

grzybów o białych kapeluszach.

Magda szła pierwsza, napędzana strachem o babcie i determinacją, jaką tylko niewielka osoba może czuć w obliczu przeciwności. Monika zostawała trochę z tyłu, wciąż tuląc do piersi kota. Marzła coraz bardziej. Nie czuła już palców w butach, które świetnie się nadawały na chodzenie po miejskich chodnikach, ale niekoniecznie do brodzenia w śnieżycy. Kurtka grzała, za to legginsy, założone z myślą o spędzeniu popołudnia w domu, teraz nie stanowiły żadnej osłony przed wiatrem i mrozem.

Nie wyłapała ruchu za swoimi plecami. Zauważyła napastnika dopiero, kiedy był za blisko, by zdążyła się zasłonić, co z kotem w ramionach byłoby jeszcze trudniejsze. Poczowała uderzenie w tył głowy i zaczęła się osuwać w ciemność. Boleśnie wyrznęła kolanami o oblodzoną płytę chodnikową, a potem zgasło jej światło.

Magda szła kilka metrów przed nią i odwróciła się, słysząc krzyk. Rozpoznała mężczyznę stojącego nad Moniką, z tym samym ościeniem w dłoni, który kiedyś, widząc go po raz pierwszy, wzięła za piracki hak zamiast dłoni. Z przerażeniem patrzyła na leżącą, skuloną Monikę. Kot wydostał się z jej objęć i wystraszony czmychnął w zarośla. Monika nie poruszała się i Magda była pewna, że nie udaje, próbując zmylić napastnika. Nie wiedziała, co robić. Nawet gdyby zaczęła krzyczeć, nikt by jej nie usłyszał, za to ten drań mógłby skrzywdzić Monikę jeszcze bardziej. Kiedy widziała go ostatnio, był pijany. Teraz miała przed sobą wściekłego, ale trzeźwego łajdaka, który lubił, kiedy kobiety się go bały.

– Możesz czmychnąć, króliczku, ale nie wiesz, co się wtedy stanie z twoją kuzyneczką, prawda?! – zawołał do Magdy.

– Czego od nas chcesz?! – odkrzyknęła, robiąc krok w ich stronę.

– Niczego nie chcę. Wtargnęłyście na cudzy teren. Zamknę was i oddam policji, kiedy przyjdzie czas. Chyba że będziesz sprawiać kłopoty, wtedy kto wie... Może nawet wolę, żebyś się stawiała – zaśmiał się. – To jak będzie?

Monika poruszyła się, próbowała wstać, ale pchnął ją ościeniem i znów upadła.

– Przestań. Pójdziemy po dobroci – warknęła Magda, podbiegając do kuzynki. Pomogła jej dźwignąć się na kolana, a potem wstać.

– Jezu, jak mnie głowa boli – jęknęła Monika. – Co się...

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła Magda i objęła ją wokół talii, ustawiając się między kuzynką a napastnikiem.

Prowadził je do dużego domu, co Magda uznała za względnie pocieszające. Przez cały czas przyświecał sobie latarką. Zatrzymał się przed drzwiami suterenu, otworzył je i pchnął obie dziewczyny, używając ościenia jak laski. Magda miała ogromną ochotę złapać narzędzie i wepchnąć mu je w dupę aż po trzonek, ale Monika szła

chwiejnie i niewykluczone, że doznała wstrząśnienia mózgu. Była też cała pokryta śniegiem i dało się słyszeć jej szcęknięcie zębami.

Napastnik mierzył dobrze ponad metr osiemdziesiąt i ważył pewnie sporo ponad setkę, a Magda miała w porywach połowę tej wagi i trzydzieści centymetrów mniej. To nie znaczyło, że nie dawała sobie szans – po prostu potrzebowała elementu zaskoczenia.

Załatwienie Alojza Zyśki będzie musiało poczekać.

*

Alojz zamknął za sobą drzwi na klucz, spokojny, że mu nie uciekną. W pomieszczeniu było tylko maleńkie, wąskie okienko. Nawet jeśli ta pchła zdoła się przez nie przecisnąć, napotka kratę. Miał tyle do zrobienia! Gdy zauważył te szczeniary za bramą, wiedział, że nie odpuszczą, a nie mógł pozwolić, by narobiły kłopotów. Teraz, kiedy je zamknął, wrócił do realizacji planu Szyszki. Bawiło go to, jak starannie wszystko przygotowała. Postarała się o bajer zakłócający sygnał telefoniczny, napisała mu nawet scenariusz, co i kiedy ma mówić. Ale sam już zasiał własne ziarenka chaosu. Jej się zachciało walki o sprawiedliwość. On podchodził do sprawy bardziej praktycznie: chciał wyciągnąć z Szyszki jak najwięcej kasy i napsuć krwi Marii Garstce. Nie obchodziło go nic więcej.

Wszedł do składziku pod schodami, w którym mieściło się serce radiowęzła. Zerknął na zegarek – był spóźniony o dziesięć minut. Musiał się pospieszyć, inaczej ta wariatka zaraz tu zejdzie i wszystko zepsuje. Zamknął drzwi do sutereny, ale mogła mieć zapasowe klucze. Planowała całą tę imprezę z Mundkiem, a on dawał się prowadzić na krótkim sznurku. Zawsze wystarczała ładna buźka i kusa spódniczka, żeby zawrócić mu w głowie. I tak, jego brat mógł być na tyle głupi, by pozwolić jej dorobić sobie klucze. Był w końcu dość głupi, by domagać się od Alojza kasy, zgłaszać pretensje i roszczenia. Sam się prosił o to, co go spotkało. Alojz nie pozwolił tylko, by się ta cała afera zmarnowała, i obsadził brata w roli gwóździa programu dla Marii Garstki.

Przewrócił pierwszą stronę scenariusza Szyszki. Nadal myślała, że to ona kontroluje sytuację, choć o niespodziance, którą zostawił Marii, nie wiedziała. Miał nadzieję, że nie przegapił wrzasków i zamieszania. Nie, chyba nie.

Włączył mikrofon, przysłonił go chustką i przeczytał kolejną linię scenariusza:

– Zapraszam do pokoju kapitańskiego. Czas na gwóźdz program.

*

Kiedy za Alojzem zatrzasnęły się drzwi, a klucz zazgrzytał w zamku,

Magda skoczyła na równe nogi i podbiegła do nich. Szarpnęła za ciężką, żeliwną klamkę, choć nie liczyła, że los okaże się dla nich łaskawy i drzwi jednak puszcza. Wymacała na ścianie włącznik, który zauważyła w świetle latarki Alojza, kiedy je tu wpychał.

Naga żarówka kiwająca się na kablu pośrodku sufitu rozbłysła anemicznym światłem. Przez chwilę migiała, jakby się miała przepalić, ale ciemność nie wróciła. Magda zaczęła się rozglądać po pomieszczeniu, szukając sposobu ucieczki. Nie zamierzała tu czekać, zdana na łaskę i niełaskę tego łajdaka.

Kiedyś musiała być tu kuchnia – w wielu miejscach odpadały ze ścian stare kafelki, w rogu stał wielki węglowy piec kuchenny na sześć fajerek, były tu też stary kredens, drewniane regały i zlew. Jedyne okienko, o wymiarach mniej więcej pięćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów, znajdowało się pod samym sufitem. Dałaby radę, przez niewiele większe okno związała raz ze szkolnej toalety, gdy za drzwiami czekała banda dręczących ją dupków... Musiała się tylko tam dostać.

Szukała czegoś, po czym mogłaby się wdrapać, i znalazła w kącie kilka skrzynek po jabłkach. Wyglądały na wiekowe, jak wszystko w tej kuchni, ale nie rozpadły się w rękach, kiedy przenosiła je pod okno. Pomieszczenie nie było wysokie, miało jakieś dwa metry trzydzieści centymetrów, ale przy rozmiarach Magdy równie dobrze mogło to być dwa razy tyle. Ustawiła skrzynki jedna na drugiej i wdrapała się na nie, ostrożnie balansując. Ostatnie, czego potrzebowały, to by zrobiła sobie krzywdę. Wystarczy, że Monika siedziała oparta o ścianę, skołowana, przykładając kłęb chusteczek higienicznych do krwawiącego miejsca na potylicy. Jeszcze mi za to gad zapłaci, nakręcała się złością Magda. Udało jej się dosięgnąć klamki, zawisała na niej całym ciężarem, ale ta ani drgnęła. Wspięła się na palce, by użyć lepszej dźwigni, i wtedy dostrzegła coś, czego nie widziała z dołu – zza warstwy śniegu oblepiającego szybę wystawały grube kraty. Wreszcie otworzyła okno i szarpnęła za stalowe sztaby, ale ani drgnęły. Do tego ten cholerny śnieg sypał mocniej i mocniej.

– Masz może zasięg? – zapytała z tyłu Monika słabym głosem.

Magda zerknęła na ekran komórki.

– Kompletnie nic. Teraz już wiemy, czemu nie mogliśmy się dodzwonić do babci i wujka.

Zamknęła okno. Nie było sensu wychładzać tej nory jeszcze bardziej, skoro nie zdoła tędy wyjść. Zeszła i zabarykadowała drzwi skrzynkami i innymi sprzętami, by spowolnić Alojza, gdyby wrócił i chciał zrobić im krzywdę.

Rozglądała się, szukając punktu zaczepienia. W kącie zauważyła wielki czarny toból, podeszła więc, by sprawdzić, co to takiego. Kurtki, płaszcze, szaliki... Rozpoznała płaszcze babci i pani Anieli, a nawet

alaskę wujka Marka.

Niech to jasna cholera! Na jakim przyjęciu ktoś zwija wierzchnie okrycia gości w niechlujny toból i ciska je na podłogę sutereny?

Usłyszała jakiś pogłos, jakby czyjś głos rozchodził się echem, ale nie rozróżniała słów. Wzięła kurtkę wujka i zaniósła Monice, która trzęsła się z zimna w przemoczonych ubraniach. Wciąż była w szoku.

Monika zmieniła swoją kurtkę na grubą alaskę – wciąż pachniała jej ojcem, co w tych okolicznościach dodawało jej otuchy. Wsunęła na głowę wielki kaptur z futerkiem i z miejsca zrobiło się jej odrobinę cieplej.

– Gdzie my właściwie jesteśmy? – zapytała nieco przytomniej.

– Wygląda to na starą kuchnię – odpowiedziała niechętnie Magda. Nie chciała ujawnić, że są w kropce i że nie znalazła żadnej drogi ucieczki. Wypatrzyła za to ciężki tłuczek do mięsa, więc jeśli Alojz wróci, rozbije mu głowę, zanim dźgnie ją tym cholernym ościeniem. Kto przy zdrowych zmysłach chodzi na łądzie z takim narzędziem? Czy on sobie wyobrażał, że jest Aquamanem od siedmiu boleści?

– Kuchnia w suterenie? Nie zazdroszczę służbie, która nosiła stąd posiłki na górę – powiedziała Monika.

– Wcale nie nosiła! Widziałam kiedyś program dokumentalny... – Magda urwała, bo właśnie ją oświeciło. Może jednak uda im się stąd wydostać?

ROZDZIAŁ 18

Radiowęzeł zatrzeszczał elektronicznym przesterem, a potem w każdym kącie starego domu na Uroczysku rozległ się głos:

– Zapraszam do pokoju kapitańskiego. Czas na gwóźdź programu. Przecież nie przyjechaliście tu dla niezbyt smacznej kolacji, prawda?

Maria zmarszczyła brwi, bo znów była dziwnie pewna, że mimo zniekształcenia i przytłumienia rozpoznaje ten głos. Nagle uderzyła ją pozornie nedorzecznym myśl: a jeśli to Bolek? Ciało nigdy nie odnaleziono. Wprawdzie gdyby zjawił się tu teraz, mocno pachniałoby to wszystko brazylijską telenowelą, ale czyż takie rzeczy się nie zdarzały? Gdy o tym myślała, widziała go oczywiście nie w szpitalu, z amnezją, prędzej umykającego przed długami, które na szczęście przeszły na Anatola, spadkobiercą kutra. Czy zaskoczyłoby ją, gdyby się dowiedziała, że przez ostatnie dwa lata mieszkał gdzieś niedaleko? Na przykład z kochanką? Ani trochę. Wiedziała, że ją zdradzał, i nawet się z tego cieszyła, bo romanse pochłaniały część jego czasu i energii.

– Co to właściwie jest pokój kapitański? – przerwała jej rozmyślenia Aniela.

– Z reguły pokój pana domu, z którego okien widać morze. Tak mi się wydaje – odpowiedziała Maria.

– Coś jak wieża pustelnika czy przeszklona męska jaskinia? – dopytywała Aniela, próbując rozproszyć niewesołe myśli Marii, które odbijały się głęboką zmarszczką między brwiami.

Maria uśmiechnęła się, bezbłędnie odczytując intencje przyjaciółki.

– O ile żony i dzieci miały zakaz wstępu...

– Poszukajmy tej samczej gawry i zobaczmy, co się tu kroi. Jeśli gwóździem programu miał być Mundek, czeka ich niespodzianka.

– Może nie powinniśmy tam iść? – zaniepokoiła się Maria.

– I pozwolić im rozgrywać piłkę bez naszej wiedzy? Niedoczekanie. Poza tym lepiej nie zwracać na siebie uwagi. Widzisz – wskazała okno, za którym znów płatki śniegu tańczyły w małych wirach – natura nam sprzyja. Za godzinę przysypie go tak, że nie dojrzysz nawet zarysu ciała.

Wyszły na korytarz, gdzie wpadły na Marka i Straszewicza, którzy ciągle krążyli po budynku.

Ledwie na korytarzu zrobił się ruch, pojawili się ksiądz Stanisław i doktor Felicja, jakby wcześniej czekali, nasłuchując, lecz żadne nie chciało pchać się przed szereg. Ostatni wyszedł Anatol. Brakuje Szyszki, zauważyła Maria.

Rozglądali się, szukając jakiejś tabliczki z nazwą pokoju, czegokolwiek, co stanowiłoby jakąś wskazówkę, aż otworzyły się drzwi na końcu

korytarza i stanęła w nich Zofia Szyszka.

– To tu, znalazłam – powiedziała.

Marii kolejny raz przeszło przez myśl, że kobieta wie więcej niż pozostali.

Weszli do pokoju, który bez wątpienia zasługiwał na swoją nazwę. Całą przeciwległą ścianę zajmowały okna ze szprosami, a pozostałe ściany, wyłożone ciemnobrązową boazerią, i belki na suficie faktycznie przywodziły na myśl kajutę kapitańską. Kilka foteli, szeslong, mała kanapa na drewnianych nóżkach z kraciastym kocem rzuconym na oparcie oraz dwa krzesła z podłokietnikami ustawiono w okręgu wokół powycieranego perskiego dywanu. Tylko jeden duży skórzany fotel ustawiony był tyłem do nich, jakby siedział tam ktoś, kto wpatrywał się w morze.

Marek przeszedł kilka kroków i zajrzał za oparcie fotela, jak gdyby spodziewał się tam znaleźć złoczyńcę z kotem na kolanach i czerwonym guzikiem nuklearnym w poręcznej walizeczce. Zawiedziony rozglądał się po pokoju, szukając jakichkolwiek nietypowych szczegółów. Zgadzał się ze Straszewiczem, że powinni dać się sprawom rozwijać, choćby po to, by w razie czego było co wpisać w akcie oskarżenia, ale to nie znaczyło, że czuł się z tym komfortowo. Zwłaszcza że widział, jak wytracona z równowagi jest jego matka. Pani Aniela obejmowała ją pocieszająco, ale jej wzrok czujnie błędził po twarzach zebranych, jakby czekała, aż któryś przeobraz się w potwora.

Marii wydało się, że czuje zapach dymu fajki. Ciężki, trochę orzechowy, zbyt dobrze znany. Przez prawie pięćdziesiąt lat spierała go z firanek i zasłon, wietrzyła pomieszczenia, a on i tak zostawał, wsiąknięty w tapety i dywany. Zachwiała się. Aniela natychmiast wsparła ją ramieniem. Maria poczuła na sobie czyjeś spojrzenie, a kiedy się obróciła, zobaczyła, że to Anatol wpatruje się w nią z surową miną. No tak, robiła z siebie widowisko. To właśnie zarzucił jej lata temu, kiedy zobaczył ją ze spuchniętym nosem i symetrycznymi siniakami pod oczami.

Prosiła go wtedy, by porozmawiał z bratem. Była w ciąży, bała się, że kolejna awantura skończy się tragicznie dla niej lub dla dziecka. Lecz Anatol rzucił tylko wyniosłe: „To wasza sprawa. Może powinnaś zadbać, żeby miał więcej powodów do zadowolenia”.

Nigdy więcej nie zawracała mu głowy swoim nieszczęściem. Wiedziała, po czyjej jest stronie.

Teraz patrzył na nią podobnie. Uniosła podbródek i spojrzała na niego z całą pogardą, na jaką mogła się zdobyć. Teraz już wiedziała, że ci, którzy świadomie odwracają wzrok, nie są niewinni. Anatol nigdy jej nie uderzył, ale nie zrobił nic, by nie podniósł na nią ręki jego brat. Taki drobiazg, pomyślała, ale wystarczy, by nie miał prawa patrzeć na nią

z góry. To, co zrobiła, było aktem samoobrony. On po prostu był gównowart jako człowiek.

Szyszka zamknęła drzwi do pomieszczenia, a potem przemaszerowała przez środek dywanu. W dzianinowej sukience, z okazałą torbą pod pachą i idealnie u fryzowanymi włosami wyglądała trochę surrealistycznie na tle marynistycznych detali. Wybrała jeden z foteli, obity wyświeconym aksamitem w kolorze wyblakłej musztardy, który idealnie komponował się z jej blond włosami i bordową sukienką. Maria wątpiła, by to był przypadek.

Ruch Szyszki sprawił, że pozostali otrząsnęli się z odrętwienia. Ksiądz Stanisław, lekko posapując, podszedł do kanapki przykrytej kraciastym kocem i rozsiadł się z rozstawionymi szeroko kolanami, jakby chciał mieć pewność, że nikt nie zajmie miejsca obok niego.

Doktor Felicja wzruszyła ramionami i bez słowa usiadła na szezlongu. Podciągnęła nogi i umościła się po turecku, nie zwracając sobie głowy tym, że podeszwy jej butów opierają się na wypłowiałym granatowym suknie.

Aniela pociągnęła Marię w stronę dwóch foteli stojących najbliżej drzwi, a Marek i Straszewicz zajęli krzesła pod oknem. To zostawiało Anatolowi wybór fotela między Szyszką a księdzem albo między Marią a Straszewiczem. Wybrał to pierwsze. Maria żałowała, że ze swego miejsca może piorunować ją wzrokiem, z którego to przywileju nieznośnie często korzystał.

Właśnie w tym momencie odezwał się głos z radiowęzła – tak jakby mówiący wiedział, że wszyscy usiedli.

– Czas na małą grę, grę w tajemnicę. Macie jedną wspólną. Ciekawe, ile zajmie wam wyciągnięcie jej na światło dzienne. Nikt nie opuści tego pokoju, dopóki nie padną ostatnie jej słowa. Taka mała gra towarzyska. – W stłumionym śmiechu brzmiała złośliwość.

Maria spojrzała na Anatola, ciekawa, czy coś mu się kojarzy, ale siedział z obojętną miną.

– O czym on bredzi? – zapytała trzeźwo doktor Felicja. – To wszystko jest tak absurdalne, że nie mam pojęcia, co niby miałabym powiedzieć... I pomyśleć, że jechałam tu ze Słupska, żeby słuchać tych bredni!

– Czy macie tyle krwi na rękach, by nie wiedzieć, od czego zacząć? Co was łączy? Jakie grzechy? – naciskał głos.

– Od grzechów to ja tu jestem, że tak powiem, specjalistą – zaoponował ksiądz. – Nie wydaje mi się, by taka publiczna spowiedź była właściwa. W końcu nie jesteśmy protestantami czy innymi dzikusami.

Straszewicz prychnął, jak tylko kalwin w czwartym pokoleniu może prychać na katolickiego księdza, którego ponosi pycha.

– Do rzeczy – powiedział głośno, bo podejrzewał, że ktokolwiek mówi z głośnika, słyszy też, co się dzieje w pokoju. – O co w tym wszystkim

chodzi?

– O... prawdę. I sprawiedliwość. Już czas. Za długo żyliście w niewiedzy, choć na to nie zasłużyliście – odpowiedział głos, co potwierdziło podejrzenia Straszewicza.

– My? Niby wszystkich nas tu sprowadziłeś na spowiedź? – zapytał.

– Wszyscy macie tę krew na rękach, zbrodnię na sumieniu! Odliczanie czas zacząć. Jeżeli nie zaczniecie mówić z własnej woli... Przekonacie się, co spotka was i waszych bliskich za milczenie choćby godzinę dłużej – powiedział głos, a Straszewicz zauważył, że w kilku momentach mówiący lekko się zacinał, jakby czytał z kartki i się pomylił.

– To jest jakaś granda – burknął Anatol, patrząc na Marię, jak gdyby to wszystko było jej winą.

– Ja zacznę! – powiedziała Szyszka przejętym głosem. – Sumienie nie pozwoli mi dłużej milczeć. Żyję z tym ciężarem od tylu lat... – Jej głos zadrżał, jakby zaraz miała się rozpłakać.

Pozostali skierowali ku niej zaskoczone spojrzenia. Wszystko, co działo się w tym domu od ich przybycia, dla większości było zbyt teatralne, by brać to na serio. Jeśli ciągle tu siedzieli, to z ciekawości, niekoniecznie zdrowej, tymczasem Szyszka wydawała się podchodzić do sprawy całkiem poważnie.

– Ja... wiem, co nas łączy... Co łączy mnie z Marią i pośrednio z wszystkimi tutaj, tak myślę... Bolesław Garstka. Miałam z nim romans, długi, prawie dziesięć lat. Myślałam, że będziemy rodziną, ale nigdy nie dostałam na to szansy, Maria nie dała mu rozwodu, więc żyliśmy w grzechu. W grzechu! – krzyknęła histerycznie.

Cisza, która zapadła po tym wyznaniu, była niemal tak gęsta, jak padający za oknem śnieg. Maria i Aniela wymieniły spojrzenia.

– Nie skomentujesz tego? Nie wyznasz prawdy? – zwróciła się Szyszka do Marii, zaskoczona brakiem jej reakcji.

– Ale co mam komentować? Wiedziałam, że ma kochanice, zawsze miał. Zaczął, gdy byłam w pierwszej ciąży, i nigdy nie przestał. A po tym, jak urodziłam synów, rzadko kiedy interesowałam go w ten sposób. Więc jeśli oczekujesz potępienia, nie ma, zabrakło – powiedziała wprost.

– Prędej ci kwiaty wyśle, bo przynajmniej jak był u ciebie, to nie było go w domu – burknęła Aniela, zaplatając ramiona na piersi. Miała bardzo wiele do powiedzenia o Bolku Garstce, choć starała się nie robić tego często, bo denerwowało to Marię. Ale skoro najwyraźniej stał się tematem wieczoru, to czemu nie?

– Jeżeli tak go nienawidziłaś, dlaczego nie dałaś mu rozwodu? Czemu nie pozwoliłaś mu na szczęście ze mną? Czemu ja nie mogłam go mieć, skoro ty go nie chciałaś? – Szyszka aż się trzęsła.

Maria zaczęła się śmiać, gdy uderzył ją cały absurd tej sytuacji. Nie przejmowała się nawet tym, że teraz to ona jest w centrum uwagi.

Śmiała się, aż pociekły jej łzy i musiała zgiąć się w pół. Cały stres ostatnich dni opuszczał jej ciało z tym rwanym, opętańczym śmiechem.

– Dziewczyno, ależ on ci makaronu na uszy nawinął – powiedziała Aniela, patrząc na Szyszkę ze współczuciem. Nic dziwnego, że jej odbiło: dekada z Bolkiem, i to w takim zaślepieniu, że nie dostrzegала, jak ją omotał.

– Nie wiem, o czym mówisz, kochał mnie, kochaliśmy się, mogliśmy być szczęśliwi! – wyrzucała z siebie Szyszka. – Mogłam być matką jego dzieci, mieć swoje, a nie tylko bawić siostrzeńców. Ona mi to odebrała!

Aniela pokręciła głową.

– Jeśli ktoś ci to odebrał, to ten łajdak i wiarołomca. Maria błagała go o rozwód, odkąd obecny tu Mareczek wyrósł z pieluch. Za każdym razem nie tylko odmawiał, ale i karał ją za nieposłuszeństwo małżeńskie. Gdybyś spojrzала na zdjęcia rentgenowskie jej szkieletu, łatwo mogłabyś policzyć, ile razy wracała do tej rozmowy w nadziei, że zmienił zdanie. Za każdym razem zostawiał ją ze złamaną kością. – Aniela spojrzала z niepokojem na przyjaciółkę. Czy nie będzie zła o to ujawnianie tajemnicy...?

Maria uspokajająco poklepała ją po ręce. Rozejrzała się po pokoju i pomyślała, że w tym akurat gronie większość zna jej wstydlivy sekret. Anatol, ksiądz, lekarka, nawet Marek od niedawna wiedział więcej niż przez lata. I może przez absurdalność całej tej sytuacji nie czuła wstydu. Jedyną osobą, która wydawała się zaszokowana przemową Anieli, była Zofia Szyszka.

– Bolek by nigdy... – zawahała się, bo jednak pamiętała, że łatwo się denerwował i musiała się starać, aby go nie zawieść, nie wytrącić z równowagi. Musiała być doskonała.

– Och, kochana, nawet jeżeli spijałaś samą śmietankę osobowości Bolka, nie wierzę, że nic i nigdy nie zauważyłaś, że nigdy cię nie uderzył, nigdy nie krzyknął – powiedziała Aniela niemal współczująco.

– Czy możemy przestać wyciągać brudy mojego brata? Nie ma go tutaj, nie może się bronić – oświadczył twardo Anatol.

– Doskonale wiesz, że Aniela mówi prawdę – odcięła się Maria. – Sam widziałeś. I miałeś to w głębokim poważaniu, więc możesz sobie odpuścić to święte oburzenie.

– Dlatego go zabiłaś? Dlatego wszyscy jej pomogliście?! – wrzasnęła Szyszka, zrywając się z fotela. Jej policzki płonęły.

Tymczasem głos z radiowęzła recytował grzechy:

– Morderstwo. Współdział. Milczenie. Przekupstwo za milczenie. Zaniechanie. Zatajenie. Wszyscy jesteście winni. I nikt nie wyjdzie stąd żywy, jeśli nie wyznacie prawdy.

– A jak niby zamierzasz nas tu zatrzymać? – zapytał Marek, który przez ostatnie minuty w oszołomieniu przyswajał nowiny o swoim ojcu.

Ostatnie miesiące były pod tym względem pełne rewelacji, Szyszka stanowiła kolejną, nawet nie największą. I rosła w nim wściekłość.

Z głośnika usłyszeli tylko śmiech i statyczny szum.

Straszewicz podbiegł do drzwi i pociągnął za klamkę. Były zamknięte. Masywne, dębowe, z solidnymi zawiasami, nie dawały szans na szybkie wyłamanie. Pomieszczenie znajdowało się na wysokim drugim piętrze.

– No pięknie, kurwa, pięknie – wymamrotał.

ROZDZIAŁ 19

Magda miała nadzieję, że się nie myli i dom jest tak stary, jak sądziła. Jeśli tak, to przecież gdzieś tu musiała być... Wykluczyła ścianę z oknem – równej grubości, pokrytą kafelkami – i skupiła się na trzech pozostałych.

Zaczęła metodycznie odsuwać od nich kartony, skrzynki, a nawet regały, by następnie każdą obejrzyć, ostukać i obmacać. Monika przez chwilę zastanawiała się, co Magda robi, ale kiedy zrozumiała, włączyła się do pomocy. Razem odsunęły ciężki kredens, w którym wciąż grzechotały naczynia, i oparte o ścianę stare drzwi oraz kratę. Magda zawzięcie ostukiwała odsłonięte powierzchnie, aż rozboleły ją kłykie. Wzięła więc tłuczek samoobronny, jak go nazwała, i nim opukiwała stare tynki oraz pokrywające je warstwy tapety i drewniane lamperie.

W tle ciągle rozbrzmiewał zagadkowy pogłos, a co jakiś czas słychać było pisk mikrofonu czy głośników. Wiatr za oknem zawodził. Chyba nawet wciąż słyszała dźwięk załamujących się z hukiem fal.

Po kilkunastu minutach ostukiwanie przyniosło obiecujący rezultat. Głuchy i jakby pusty odgłos sprawił, że Magda niemal podskoczyła z radości i zaczęła zdierać wyblakłą kremową tapetę w różyczki, spod której wyłaniała się drewniana powierzchnia. Pomagała sobie tępym nożem, znalezionym przez Monikę w szafce pod zlewem. Wkrótce jej oczom ukazały się drzwi. Nie miały klamki, tylko okrągły otworek. Wsadziła w niego palec i pociągnęła. Zaskrzypiały zawiasy.

– Brawo, Garstko, odnalazłaś starą szafę – warknęła zawiedziona.

– To chyba spiżarka – powiedziała Monika, zaglądając nad jej ramieniem do środka. Na trzech ścianach szafy zamontowane były drewniane półki. – Widzisz? Nie ma sufitu.

Magda spojrzała zaskoczona – faktycznie, nawet jeśli był, to tak wysoko, że nie mogła go dojrzeć, bo niknął w ciemności.

– To coś jak komin: kanał zapewniający niską temperaturę, praktyczne rozwiązanie sprzed czasów lodówek – wyjaśniła Monika. – Widziałam taką spiżarkę w kamienicy, w mieszkaniu przyjaciółki, przerobiła ją na szafę i zawsze ma nieznośnie zimne ubrania... Może tu po prostu nie mieli windy? – zapytała zniechęcona.

– Więcej optymizmu. Skoro znalazłyśmy zakamuflowaną spiżarkę, może być tu coś jeszcze. Przed chwilą nawet nie miałyśmy o niej pojęcia, prawda?

– No prawda – przyznała Monika i nagle zaczęła nasłuchiwać.

Pogłos ustał, za to była pewna, że słyszy ciężkie kroki.

– Ktoś tu idzie – szepnęła.

Odskoczyły od spizarki. Magda z tłuczkiem do mięsa w dłoni, Monika z tępym i pordzewiałym nożem, stanęły w pozycji bojowej, gotowe do ataku. Klucz zgrzytnął w zamku i drzwi się otworzyły, odsuwając tworzące barykadę skrzynki.

Nagle chlusnęła w nie woda ze szlauchu. Silny, lodowaty strumień trafił każdą z nich w pierś. Z wrzaskiem odskoczyły na boki i gwałtownie zaczęły wycierać zalane wodą twarze.

– Dorwę cię, kanalio, i nogi z dupy powyrywam! – zawołała owładnięta furią Magda.

– Mój ojciec cię dopadnie i pożałujesz! – wrzasnęła Monika.

Alojz rechotał i machał szlauchem, próbując je dosięgnąć. Cofnęły się poza zasięg strumienia, prawie pod sam zlew. Nagle bez słowa zamknął drzwi.

– Co to, u diabła, było? – zapytała Magda, wycierając twarz w szalik. – On sobie tak wyobraża waterboarding?

– Nie widziałas? Nagrywał nas – zauważyła Monika.

– Nie widziałam kamery...

– Miał dyktafon.

– Cholera jasna, musimy się stąd wydostać! – powiedziała z desperacją Magda.

– Myślisz, że będzie żądał okupu od babci i taty?

– Przy dobrych wiatrach – odparła ponuro i zacisnęła usta. Nie chciała mówić Monice, dokąd zaprowadziła ją jej makabryczna wyobraźnia. – Została nam jeszcze jedna ściana – dodała, siląc się na optymizm.

– Dobra. Choćbym miała ją rozebrać cegła po cegle tym nożem, jeśli tylko winda tam jest, znajdziemy ją.

I była! Ukryta częściowo za deskami i pordzewiałymi profilami, zaklejona dwiema warstwami tapety – winda kuchenna w całym swym majestacie. Przesuwane w górę i dół drzwiczki zgrzytały, jakby nikt nie oliwił mechanizmu od pięćdziesięciu lat, co zresztą mogło być prawdą. Wewnątrz znajdowała się spora drewniana skrzynka, szeroka i wysoka na mniej więcej metr, o ponad metrowej głębokości. Magda mogła sobie wyobrazić, jak w czasie uroczystych obiadów kucharka układała w niej półmiski z potrawami, a te wjeżdżały na pierwsze albo drugie piętro, gdzie pokojówka czy inna służąca odbierała je i podawała do stołu.

– Nie sprawia wrażenia stabilnej – powiedziała Monika z powątpiewaniem.

Magda rozumiała jej obawy, bo skrzynka była lekko spróchniała. Ważniejsze, pomyślała, żeby liny nie okazały się sparciłe.

Zgodnie uznały, że obie naraz w niej się nie zmieszczą.

Magda ściągnęła kurtkę i odłożyła ją na bok. Zajrzała do środka. Błoczki wyglądały nieźle, liny też. Usiadła w skrzynce i ze wszystkich sił pociągnęła za linę. Nic nie trzasnęło, nie pękło, nie uniósł się obłok

kurzu. Dobrą chwilę zajęło jej zrozumienie działania mechanizmu i załapanie, który bloczek wciąga windę. Kiedyś chyba musiało to być jakoś zmechanizowane... albo ktoś z góry obsługiwał kuchenny dźwig – wciągał go, a potem opuszczał... Wsunęła się głębiej, siadła po turecku i pociągnęła za linę. Bloczki pomontowano na tyle sprytnie, że nie czuła, by podnosiła jakieś pięćdziesiąt kilo, plus skrzynka.

– A jeśli spadniesz? – zaniepokoiła się Monika.

– Do góry nie polecę. – Uśmiechnęła się uspokajająco. – Wjadę na pierwsze piętro i spuszczę windę po ciebie, zgoda? Jeżeli runę i skręcę kark, będziesz wiedziała, że lepiej nie wsiadać.

– Albo to ja wsiadę i wjadę, jestem silniejsza.

– Masz też potencjalne wstrząśnienie mózgu, skaleczoną rękę i ważysz co najmniej dwadzieścia kilo więcej niż ja. Nie wspomnę, że możecie zginąć we dwoje.

– Podła zołza. Dobra, jedź.

Więc Magda ciągnęła linę, która z cichym skrzypieniem przesuwiała się po bloczkach.

– Raz kozie śmierć – mruknęła pod nosem i wytrwale podnosiła skrzynię centymetr za centymetrem.

Zdawało jej się, że minęła godzina, zanim zauważyła przed sobą prześwit i zorientowała się, że dotarła do kolejnych drzwiczek. Otwarcie ich, bez jednoczesnego wypuszczenia liny z dłoni, zajęło jej dłuższą chwilę, ale okazały się w lepszym stanie niż te na dole. Ostrożnie wychyliła głowę. Ujrzała niewielkie pomieszczenie, przy którego jednej ścianie ustawiono przeszklony kredens z zastawą, a przy drugiej zamkniętą szafę. Miejsca między nimi było niewiele więcej, niż wynosiła szerokość windy. Wyślizgnęła się z niej, z ulgą odnotowując, że skrzynia nie pomknęła w dół. I że miała rację – na tym piętrze znajdował się kołowrotek, którym mogła spuścić windę dla Moniki.

– Monia! – zawołała w szparę między skrzynią a szybem. – Jedzie do ciebie!

– Czekam!

Kilka minut później Monika siedziała już skulona w skrzyni. Zasunęła za sobą drzwiczki, aby w razie pojawienia się Zyśki zamaskować drogę ucieczki. Zwalczyła atak paniki, wywołany ciemnością i ciasnotą. Nagle te długie nogi, którymi wszyscy się zachwycali, okazały się przeszkodą, bo kolanami omal nie wybiła sobie zębów. Ciągnęła linę, ale przez mocno ograniczone ruchy posuwała się wolniej niż wcześniej Magda. Tych dwadzieścia kilogramów więcej zapewne też robiło swoje. W pewnej chwili poczuła lekkie szarpnięcie – to kuzynka zaczęła kręcić kołowrotkiem i uruchomiła drugi z bloczków.

Monika odetchnęła dopiero, gdy zobaczyła jej twarz na wysokości swojej. Aby wydostać się z ciasnego pudła, puściła linę i pisnęła

przerazona, bo ledwie przełożyła nogi nad krawędzią otworu, skrzynia za nią zakołysała się i opadła dobre dwadzieścia centymetrów. Magda błyskawicznie złapała Monikę za rękę i pociągnęła do siebie, jednocześnie zapierając się o kołowrotek, który złowieszczo zgrzytał.

– Nigdy więcej – wyszeptała Monika, stając stabilnie na podłodze.

– Możemy skreślić z listy rzeczy do spróbowania przed śmiercią jeżdżenie windą kuchenną – odpowiedziała Magda.

– Miałaś to na liście?

– Nie, ale teraz dopiszę i od razu odhaczę, bo to zbyt imponujące, żeby się zmarnowało.

Nie miała pojęcia, jak się kiedyś nazywał schowek przy jadalni, ale to nie było w tym momencie najważniejsze. Kluczowy okazał się fakt, że nie był zamknięty na klucz, i gdy nacisnęła kłamekę, ta nawet nie zgrzytnęła. Wychyliła głowę na zewnątrz. Ciemno, ale cicho. Słyszała jakieś odległe, niewyraźne głosy i trzeszczenie jak z radia, ale nic, co sugerowałoby, że gdzieś tu kręci się Zyśko.

Wyszły na korytarz o ścianach obwieszonych fotografiami w ramkach, których szybki odbijały blask jedyne źródła światła – kinkietów przy schodach. Magda szła pierwsza, gotowa zrobić wszystko, aby osłonić kuzynkę przed niebezpieczeństwem mogącym się wyłonić z ciemności. Wprawdzie Monika nie przyznała się, jak bardzo boli ją głowa po ciosie Alojza, ale Magda znała ją nie od dziś i swoje wiedziała.

W ramach rekonesansu zajrzała do pustej jadalni, gdzie na stole wciąż leżały nakrycia i resztki kolacji. Światło lampy wpadało przez duże tarasowe drzwi i okna. Przez ostatnią godzinę pogoda się pogorszyła i Magda miała wrażenie, jakby magicznie przeniosły się z całym domem w jakieś zimowe piekło. Atakowane wściekłym wiatrem drzewa, ledwo widoczne zza gęstego śniegu, pochylały się i głośno trzeszczały. Przez ryk wichru słyszała nie tylko huk morskich fal, ale też grzmoty. Jeśli się błyskało, to w tym białym piekle nie była w stanie tego dostrzec.

W tym czasie Monika sprawdziła drzwi wyjściowe.

– Zamknięte, nie widzę klucza – szepnęła.

– Nie wiem, czy nawet gdybyśmy zdołały wyjść, daleko byśmy doszły – odpowiedziała Magda wpatrzona w szybę. Nagle poczuła się przytłoczona i boleśnie odcięta od świata, choć właśnie wyzwoliły się z zamkniętej piwnicy. W jakiś sposób to, co działo się na zewnątrz, wzmagало jej poczucie uwięzienia.

– Czy on mówi coś o morderstwach? – zapytała Monika, wsłuchując się w słowa rozbrzmiewające przez radiowęzeł.

Bez wątpienia mówił. Co się tu, u diabła, dzieje? – pomyślała Magda, idąc w stronę schodów na piętro. Może to była pułapka, a światło kinkietów miało je zwabić na górę? Tylko skąd Alojz by wiedział, że się wydostaną?

Miała złe przeczucia. Nie chciała mówić o nich głośno, ale czuła mdłości, a żołądek zacisnął jej się w ciasny węzeł. Wiedziała, że będzie tak, dopóki nie zobaczy swojej rodziny całej i zdrowej.

ROZDZIAŁ 20

Głos dobiegający z radiowęzła powtórzył listę zarzutów:

– Morderstwo. Współudział. Milczenie. Przekupstwo za milczenie. Zaniechanie. Zatajenie. Wszyscy jesteście winni. I nikt nie wyjdzie stąd żywy, jeśli nie wyznacie prawdy.

Jeżeli mówiący liczył, że zebrani w pokoju kapitańskim pękną i ze łzami w oczach zaczną wyznawać minione winy, czekało go rozczarowanie. I słusznie. Należało mu się ono za zawód, który wszyscy czuli w związku z tym wieczorem. Goście nieszczęsnego balu tajemnic siedzieli w milczeniu. Czekali. Jakby spodziewali się ciągu dalszego.

Marek to rozumiał. „Powiecie prawdę albo” nie brzmiało szczególnie groźnie, skoro nie powiedziano, co dokładnie miałyby się wydarzyć w razie nieposłuszeństwa. Z kolei zapowiedź „nikt nie wyjdzie stąd żywy” była teatralna i mało konkretna. Bo co? Bombę podłożył? Wejdzie i zacznie zabijać ich jedno po drugim? Wpuści do pokoju gaz? Marek potrafił sobie wyobrazić kilka mało przyjemnych scenariuszy, ale przecież ten, kto ich tu zgromadził i uwięził, miał własny. Więc Garstka czekał, aż padnie ta groźba, żeby wiedzieć, na co się musi przygotować i z czym przyjdzie im się mierzyć. Poza tym, że z szaleńcem – bo dawno nie słyszał tylu bzdur.

Szyszka była niespełna rozumu, Marek szedłby o zakład. Przez całe życie starał się kochać swojego ojca, co nie stanowiło najłatwiejszego zadania. Nigdy nie byli blisko, a kiedy Marian, a potem Marek wstąpili do policji, ojciec odciął się od nich kompletnie. Wtedy Marek myślał, że go zawiedli, nie idąc w jego ślady. Dziś, kiedy więcej wiedział o tym, jakim człowiekiem był Bolesław Garstka i jak traktował ich matkę w tajemnicy przed nimi, podejrzewał, że ta izolacja była celowa i podjęta z wyrachowania. Ale nawet wcześniej, zanim wstąpił do akademii i mieszkał z ojcem pod jednym dachem, nie byli blisko. Bolek był chłodnym, nieprzyjemnym facetem. Jakim cudem Szyszka mogła go aż tak wyidealizować? Jak mogła widzieć w nim księcia z bajki? Może spędzali razem na tyle mało czasu, że nie widziała więcej? A może przy niej się starał, podczas gdy w domu rodzinnym całkiem to sobie odpuścił? Marek zacisnął zęby, gdy sobie uświadomił, że nawet po śmierci ojciec potrafił wyciągnąć z ludzi to, co najgorsze. Ale myślenie o tym nie pomoże, skarcił się. Był policjantem i zamiast rozwodzić się nad przeszłością, musiał dopilnować, by wszyscy wyszli z tego cali i żywi. Zwłaszcza jego matka i pani Aniela, które teraz przytulały się jak mokre gołębie. Zwalczył odruch, by iść do nich, pocieszyć, przytulić. Wciąż nie wiedział, co wisiało w powietrzu, jaka groźba i jakie

niebezpieczeństwo. Ustalili ze Straszewiczem, że cokolwiek się wydarzy, zachowają trzeźwy umysł, bo na pomoc z zewnątrz liczyć nie mogli.

Stanął przy oknie, opierając się barkiem o futrynę. Zerkał na śnieżną zadymkę, lecz jednocześnie miał oko na zebranych. Liczył, że dostrzeże sygnały eskalacji, zanim napięcie, które można było kroić, wybuchnie im w twarz.

Straszewicz zajął pozycję po drugiej stronie okna i wodził po zebranych przenikliwym spojrzeniem. Wciąż nie w pełni rozgryzł dynamikę tej grupy. Gdyby nie wiedział, że zebrani w pokoju kapitańskim w większości się znają, wzięłby ich za obcych. Na razie milczeli, nieufni i zdystansowani. Nikt nie zamierzał iść śladem Szyszki i wyskakiwać z dziwnymi wyznaniem, a ultimatum, które rozbrzmiało z głośnika, potraktowali ze sporą dozą niedowierzania.

Wiatr z dzikim rykiem napierał na szyby, aż dzwoniły w powysychanych resztkach kitu. Sztorm rozhulał się na dobre. Wichura sama w sobie była niebezpieczna, ale w połączeniu ze śnieżycą i gwałtownie obniżającą się temperaturą mogła się okazać zabójcza. Teraz do równania należało dodać szaleńca, który uwięził ich na tym odludziu.

*

Maria z pozoru była całkowicie opanowana, królowa brytyjska mogłaby jej pozazdrościć niewzruszonej miny i powściągliwości. Tymczasem w środku się gotowała. Emocje splątane w nieznośny węzeł gniewu, strachu i bólu sprawiały, że zaciskała zęby tak mocno, aż zaczęły ją boleć zawiasy szczęki. Nie patrzyła na Szyszkę czy Anatola, bo gdyby wzrok mógł zabijać, miałyby kolejne osoby na sumieniu. Spoglądała za to na swojego syna, który oddalił się od wszystkich, i zastanawiała się, czy oddala się właśnie od niej. Czy to, co usłyszał, wystarczy, by zniszczyć ich relacje? I co prawdopodobnie jeszcze usłyszy, bo była dziwnie pewna, że to nie koniec tej farsy.

Aniela nachyliła się do niej i szepnęła:

– Ten podlec nawet martwy potrafi zatruć życie. Ale żeby taka szykowna babka głowę dla niego traciła?

Maria znacząco uniosła brew, bo przecież sama była kiedyś dość głupia, by stracić głowę dla Bolka.

– Ty, moja droga, byłaś siksą ledwie pełnoletnią i chciałaś się uwolnić od babki, świeć, Panie, nad jej duszą. Ona to zupełnie inna para kaloszy... Ale ta Szyszka? Niestara, atrakcyjna i dość majątna, takich Bolków mogła mieć na pęczki...

– Co poradzisz. Głupie serce.

– Ja żądam, żeby mnie wypuścić! – wybuchnął nagle Anatol, poczerwieniały na twarzy.

Znów patrzył na Marię, jakby oczekiwał, że zza stanika wyciągnie klucz i otworzy drzwi.

– A ja żądam odpowiedzialnej gospodarki cieplnej – odpowiedziała Aniela, wydymając usta.

– Co to ma do rzeczy? – zapytał.

– A nie wiem, myślałam, że to moment na składanie kategoriycznych roszczeń, bez widoków na natychmiastowe spełnienie – odpowiedziała Aniela, której w stresie język zawsze się wyostrzał.

Ksiądz wstał z kanapy i ruszył energicznie do drzwi. Złapał klamkę i nimi potrząsnął, jakby nie dowierzał Straszewiczowi, że są zamknięte.

– Matko Boska przenajświętsza, ratuj syna swego – jęknął dramatycznie.

Doktor Felicja, nadal siedząc po turecku, z łokciami opartymi na kolanach i brodą wspartą na pięściach, patrzyła przez chwilę na jego zmagania, ale nie wytrzymała:

– Może warto spróbować: „Sesamie, otwórz się”? Bo księdza zakłęcie chyba nie działa.

Duchowny ostentacyjnie zignorował ten przytyk, bo miał lekarce za złe, że nie wpuszcza go do domu po kolędzie. Omijając ją wzrokiem, wrócił na swoje miejsce i oznajmił takim tonem, jakby wygłaszał kazanie:

– Jeżeli warunkiem uwolnienia nas z tej przykrej sytuacji jest wyznanie grzechów, to ja bym jednak zachęcał.

– Może lepiej ksiądz się zastanowi, czemu tu jest, między rzekomymi grzesznikami? – zapytała złośliwie Aniela i nie bez satysfakcji patrzyła na rumieniec oblewający jego twarz, a nawet uszy.

Głośnik znów zapiszczał i rozległ się głos:

– Mówiłem jej, że to nie wystarczy, żebyście pękli. – Mężczyzna zaśmiał się nieprzyjemnie i Maria mogłaby przysiąc, że już ten śmiech słyszała, ale nie potrafiła skojarzyć gdzie. Wiedziała natomiast jedno: ten, kto ich tu zamknął, czerpał z tej sytuacji chorą przyjemność. – Możecie sobie tam siedzieć i milczeć, ale... Pomyślcie, że każda godzina milczenia to dodatkowa godzina, którą mam z nimi – ostatnie słowo wypowiedział z naciskiem, a potem w głośnikach rozległy się pełne wściekłości i oburzenia wrzaski.

Maria i Marek natychmiast rozpoznali te głosy. I nagle cała ta rozgrywka z irytującej i męczącej zmieniła się w grę o najwyższą stawkę.

Marii zakręciło się w głowie. Najgorszy koszmar właśnie się spełniał i za jej grzechy miały zapłacić wnuczki! Cały lęk nagle rozbił się w drobny mak. Potrzeba samoobrony ustąpiła priorytetowi chronienia tych dziewczynek. Ona, Maria, musiała zapłacić za swoje winy, nawet jeśli cena okaże się najwyższa. Z nagłym przyływem odwagi

i determinacji zerwała się z krzesła i powiedziała:

– Dobrze, przyznam się do wszystkiego. Ale nikt z tu obecnych nie ma z tym nic wspólnego – dodała spokojnie. – Jeśli ktoś jest winien śmierci Bolka, to wyłącznie ja. Nie byliśmy udanym małżeństwem, ale nie chciałam go zabić. Chciałam tylko, żeby dał mi spokój... – zamilkła.

Zwyczajnie nie wiedziała, jak wszystko opowiedzieć tak, by brzmiało to sensownie. Sama nie była pewna, czy był to przypadek, czy boska interwencja, o którą modliła się przez prawie pięćdziesiąt lat. Wiedziała tylko, że ponosi odpowiedzialność za to, co się stało.

Szyszka nie wytrzymała napięcia i zerwała się na nogi. Wymierzyła palec w Marię i krzyknęła:

– Dlatego go zadźgałaś? Żeby dał ci spokój?

Aniela zdębiała. Skąd Szyszka wiedziała o Mundku?

– Hola, hola, to, że trup znalazł się w jej łóżku, nie znaczy, że go zadźgała, prawda? Gdzie tu postępowanie dowodowe? – wtrąciła się lojalnie Aniela.

– W jakim łóżku? – zapytała Szyszka zaskoczona.

– Jaki trup? – zainteresował się Straszewicz, który był dziwnie pewny, że jakieś zwłoki jednak dziś wypłyną.

Aniela zorientowała się, że wyszła przed szereg, więc rzuciła nerwowo:

– Żaden trup, nie wiem, co się tu dzieje, ale czuję, jak mi od tego wszystkiego szare komórki dogorywają w męczarniach!

Maria westchnęła. Teraz, kiedy zdecydowała się wyznać prawdę, nie mogła się cofnąć, skorzystać z przyjaznego zamętu, który Aniela potrafiła wykrzesać z niczego. Spłynął na nią dziwny spokój, prawie ulga, że to już. Wyzna wszystko i ciężar spadnie jej z serca. Nie potrafiła nawet przejąć się tym, co nastąpi potem. Odchrząknęła i powiedziała głośno i wyraźnie:

– Starczy tego szaleństwa. Uwolnij moje wnuczki, wszystko powiem. Odurzyłam mojego męża relanium i dlatego nie żyje.

Może to powinno wystarczyć, ale pod naporem zaskoczonych spojrzeń zaczęła się tłumaczyć:

– Nie wiedziałam, że tego dnia wypłynie na morze. Od tygodni podawałam mu małe dawki, rozkruszone w zupie czy w piure ziemniaczanym. Nie żeby go zabić czy mu zaszkodzić, po prostu by się uspokoił i poszedł spać. Wracał do domu nabuzowany i wściekły, co zawsze skupiało się na mnie. Miałam dość...

– Ach, to po to te recepty – zauważyła cicho doktor Felicja i spojrzała na Marię ze współczuciem. – Myślałam, że to dla ciebie, byłaś takim strzępkiem nerwów, a potem się uspokoiłaś...

– Bo się ten diabeł wyciszył! – rzuciła z pasją Aniela. – Sama jej powiedziałam, że to pomoże. Mojemu staremu przepisali relanium na

ataki paniki, jakie mu się przyplątały po zawale i operacji serca. I te półtora roku z nim na relanium to był najspokojniejszy czas naszego małżeństwa. Przecież nie sypała mu arszeniku do zupy, na litość boską! Choć – dodała ciszej – nie winiłabym jej ani odrobinę, gdyby i owszem.

Marii nie obchodziło, co myślą inni, pogodziła się już z tym, że trafi do więzienia za nieumyślne spowodowanie śmierci. Jednakże opinia Marka liczyła się dla niej najbardziej na świecie, dlatego zwróciła się bezpośrednio do niego:

– Nie wiedziałam, że będzie wychodził. Podałam mu kolację, myślałam, że się położy wcześniej. A on odebrał telefon i nagle mówi, że wypływa. Chciałam go zatrzymać, przyznać się do tego, co zrobiłam, ale... Sam wiesz, syneczku, jaki potrafił być. – Głos jej się łamał, ale chciała, by Marek wiedział wszystko, by zrozumiał, że nie jest morderczynią, nie zabiła jego ojca z premedytacją. – Sprawdziałam w ulotce, dawka nie była duża, nie powinien mieć kłopotów z równowagą, ale może był senny, miał gorszy refleks... Nigdy nie zrobiłabym tego, wiedząc, jak to się skończy, choćby ciągle miał mnie bić... – Ostatnie słowa wyrzuciła z siebie niemal szeptem. Skuliła się, jakby próbowała zniknąć.

Profesjonalizm Marka szlag trafił. Podbiegł do matki i objął ją ciasno. Drżała. Czuł, że zaczyna bezgłośnie szlochać.

– Przepraszam, syneczku – powtarzała jego maleńka i drobna matka, wtulając twarz w miękką wełnę jego swetra.

Zawsze wiedział, że rodzice nie byli udanym małżeństwem, a ojciec był furiatem, zwłaszcza po alkoholu. Nie zdawał sobie sprawy, jak wiele przed nim ukrywali – oboje. Ojciec nigdy nie uderzył matki przy synach, wiedział pewnie, że stanęliby w jej obronie. Był dyskretny w swoim okrucieństwie, a ona tkwiła w tym piekle i pilnowała jego sekretów nawet przed nimi. Jakby i ona miała powód do wstydu! Był na niego wściekły. Ale też na siebie, że nic nie zauważył. Nie rozpoznał sygnałów. Nawet kiedy zaczął pracę w policji, nie przejrzał na oczy...

A teraz taki bałagan, jęknął w duchu. Ale prędzej piekło zamarznie, niż pozwoli, by skazali jego matkę choćby na dzień więzienia. Musiał ich stąd wyciągnąć. A także uwolnić córkę i bratanicę, które były zdane na tego szaleńca. Czuł się całkowicie bezradny, bo nie wiedział, jak miałby tego dokonać.

*

Magda i Monika były w połowie schodów, kiedy usłyszały z głośnika swoje wrzaski i mieszaninę gróźb i przekleństw. Och, kanalia! Wbiegły na piętro i zaczęły szukać swoich bliskich, ale kolejne pokoje, do których zaglądały, były puste. I nagle usłyszały krzyk. Nasłuchiwały chwilę, aż miały pewność, że dobiega zza podwójnych drzwi na końcu korytarza.

Dopadły do nich, lecz okazały się zamknięte na klucz.

*

W Szyszce się gotowało. Tyle miesięcy planowała ten wieczór, nawet cholerna pogoda poszła jej na rękę z tą apokalipsą i wiatrem zawodzącym jak z horroru, i wszystko na marne!

Powinni wyznać winę i poczuć upragnioną ulgę! Powinno ich to zżerać przez dwa lata, a w obliczu zbliżającej się rocznicy sumienie powinno ich zamęczać bardziej niż zwykle! Czy nie tak to działało w filmach? Konfrontacja w bibliotece, podejrzani zgromadzeni w odosobnieniu i zmuszeni do przyznania się do winy – widziała to wiele, wiele razy i niczego nie zaniedbała, przygotowała nawet scenariusz. Alojz się spisał, a nawet podbił stawkę tym porwaniem wnuczek Marii, choć drażniło ją, że nie czytał z kartki słowo w słowo.

Jej nienawiść do Marii osiągnęła apogeum. Wszystkie te kłamstwa! Rzeczy, które mówiła o Bolku...

Zofia Szyszka wyciągnęła z torby pistolet i wycelowała go w Marię, krzycząc:

– Powiedz prawdę, słyszysz? Dostyc kłamstw!

Tego nikt się nie spodziewał. Wszyscy zamarli porażeni widokiem broni. Ksiądz starał się wtopić w kraciastość kanapy, byleby tylko nie przyciągnąć uwagi wariatki z pistoletem. Na co mu przyszło? Nawet ta kolacja nie była warta takich stresów!

Doktor Januskiewicz przyglądała się Szyszce, chłodno analizując sytuację. Nie myślała o zagrożeniu. Zastanawiała się, czy mają do czynienia z przełomem psychotycznym, urojeniami, czy inną formą zaburzonego umysłu. To była umiejętność, która czyniła ją dobrą lekarką i fatalną partnerką.

Straszewicz przeklinał w duchu, bo tego za skarby świata nie przewidział. Przez lata służby na muszce był dwa razy – celowali do niego rosyjscy gangsterzy i przemytnicy. Nie spodziewał się, że taka Szyszka, niepozorna obywatelka Ustki, może dysponować bronią. To zmieniało wszystko.

Maria zeszywniała. Nawet mając dwóch synów w policji, rzadko widywała broń palną i nigdy nikt do niej nie mierzył z pistoletu. Od dłuższej chwili podejrzewała Szyszkę o jakieś zaburzenia, ale nie sądziła, że może być niebezpieczna. Odruchowo zrobiła krok w jej stronę, zasłaniając Anielę i odsuwając się od Marka.

– Nie wiem, co chcesz usłyszeć, ale to powiem, tylko musisz mnie naprowadzić, dobrze? – Starła się mówić spokojnie, choć czuła, jak jej serce zrywa się do galopu, a głowa robi się dziwnie lekka.

Szyszka miała w sobie za dużo emocji, by ustać w miejscu. Zaczęła chodzić, wymachując pistoletem, jakby stawiała nim wykrzyknik po

każdym zdaniu.

– Zadzgałaś go! Kłamiesz, a oni ci wierzą, cały czas ci wierzą! Dlatego ci pomagali?! – krzyczała.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparła Maria bezradnie. Nie była pewna, czy w ogóle cokolwiek dociera do napastniczki.

Szyszka była zbyt nakręcona, by zauważyć, że Straszewicz dyskretnie przesuwają się za nią. Oto miała swój czas, wreszcie mogła wyrzucić z siebie to, o czym myślała przez ostatnie dwa lata.

– Ten dostał kuter i zawsze zazdrościł Bolkowi! Sprzedał brata, nawet nie za srebrniki, ale za starą łajbę! – Wskazała lufą Anatola, potem machnęła bronią w stronę Marka. – On jest twoim synem, więc cię krył i przekonał, żeby tamten – rozejrzała się, szukając Straszewicza, który stał za nią z niewinną miną – umorzył śledztwo! Po tygodniu było już zamknięte!

Maria pokręciła głową. Nie miała pojęcia, co powiedzieć, by nie zaognić sytuacji. Czy jeśli przyzna się do każdej głupoty, jaką tamta wymyśli, nie wyda na zebranych wyroku? Jeżeli ta wariatka uwierzy, że wszyscy tu obecni są winni śmierci Bolka, czy nie zaczną strzelać? Kogo zabije lub zrani, zanim Straszewicz ją powali?

Mogła zrobić tylko jedno. Odsunęła się dalej od syna, zrobiła kolejny krok w stronę Szyszki i powiedziała:

– Żadne z nich nie ponosi winy za to, co się stało. Tylko ja. Anatol nie dostał kutra jako łapówki. Kuter nigdy nie był mój. Ustalili to przed naszym ślubem, po śmierci ich ojca. – Spojrzała na szwagra, który stał z boku z zaciętą miną, wciąż pełen dezaprobaty dla całego bałaganu, za który zapewne ją winił. Mogła go rzucić Szyszce na pożarcie, ale powiedziała twardo: – Anatol jest skończonym dupkiem, ale nie miał nic wspólnego ze śmiercią Bolka.

Szyszka kręciła głową, jednak opuściła odrobinę niżej pistolet i już nie celowała w pierś Marii.

Anatol milczał z zaciętym wyrazem twarzy. Cała ta sytuacja była co najmniej krępująca. Wiedział, co robi, trzymając się z daleka od szwagierki i bratanka przez ostatnie dwa lata, a i wcześniej utrzymując dystans. Drażniła go nadmierna emocjonalność nowych członków rodziny. Bolesława zawsze takie rozchwianie pociągało, pomyślał, patrząc na Szyszkę, która była całkiem przystojną kobietą, więc się aż tak bratu nie dziwił. Przynajmniej z tą się nie ożenił. Rozsądnie... Choć raz.

Straszewicz uważnie obserwował Szyszkę i jej pistolet. Byli odpowiednio przeszkoleni i mieli dość wyobraźni, by rozumieć, jak łatwo mogło dojść do tragedii. Szarpanie się z uzbrojoną kobietą nie wchodziło w grę. Podobnie negocjacje – człowiek w takim stanie psychicznym łatwo traci kontrolę. Sierżant sztabowy czekał na

odpowiednią chwilę, starając się ocenić stopień ryzyka. Nie mieli przy sobie broni, a nawet gdyby, skończyłoby się strzelaniną.

Szyszka rozglądała się po twarzach zebranych. Czuła się zagubiona. Cały jej plan zaczął się sypać... Czy to możliwe, że Maria mówiła prawdę? Nie, przecież widziała! Wskazała pistoletem na doktor Felicję, która wciąż pozostawała niewzruszona.

– Ty się przynajmniej przyznałaś do recept – rzuciła nieco piskliwie. – Nie zdołałaby go dźgnąć tyle razy, gdyby nie był odurzony. A ja cię tam widziałam, w kółko biegałaś do pensjonatu...

Lekarka wzruszyła ramionami, bo nie zamierzała się z niczego tłumaczyć. Z racji wykonywanego zawodu umiejętność wyłączenia emocji przyszła jej naturalnie. Nie miała też problemu, by wytrzymać oskarżycielskie spojrzenie Szyszki. Wpatrywała się w nią obojętnie, aż ta, zmieszana, odwróciła wzrok. Znowu chodziła, trzy kroki w jedną stronę, trzy w drugą, wymachując pistoletem i mamrocząc pod nosem.

Za wcześnie na stawianie diagnozy, pomyślała Felicja, ale podejrzenia mogą mieć.

– Ale, dobrodziejko, a czymże jam zawinił? – zapytał ksiądz ze świętym oburzeniem.

– Musiał ksiądz wiedzieć! Musiała się wyspowiadać! – zawołała Szyszka.

Maria, na samą myśl, że miałaby się spowiadać księdzu Stanisławowi, zaczęła się śmiać, nie myśląc nawet, że może tym sprowokować Szyszkę. Z każdą chwilą sytuacja stawała się dla niej bardziej groteskowa.

– Czemu się śmiejesz? Co w tym śmiesznego? – zapytała Szyszka, zatrzymując się w pół kroku.

– Sam pomysł, że miałabym rozmawiać z księdzem Stanisławem... Wybacz, ale to absurd – powiedziała Maria, kręcąc głową.

– Bolek mówił, że jesteś religijna, że na okrągło do kościoła biegasz! Że to dlatego... – zaczęła Szyszka, ale się zawahała i pierwszy raz się zastanowiła, czy Bolek mówił jej prawdę.

Maria westchnęła, bo domyśliła się, że taki kit wciskał kobiecie, która wyczekiwała jego rozwodu. Bóg Marii świadkiem, że gdyby tylko wiedziała o jej pragnieniu, odesłałaby do niej Bolka przewiązanego kokardą.

– Jeśli ktoś w tym domu był religijny, to Bolek. Długo nie mogłam zrozumieć, jak może to pogodzić: chrześcijaństwo z gwałceniem i biciem żony... Więc poszłam, jak pierwsza naiwna, do księdza, by z moim mężem porozmawiał, przekonał go, że bicie żony nie przystoi katolikowi. Tymczasem ksiądz uznał, że byłam nie dość posłuszna, nie dość pokorna, że śmiałam kwestionować swój krzyż. A potem powiedział Bolkowi, że musi trzymać swoje stadko twardą ręką, by nie odeszło od nauk biblijnych. Więc mogę wierzyć w Boga, ale w kościele

nie bywam. A już z całą pewnością nie spowiadałabym się tak fatalnemu pośrednikowi między Bogiem a ludem. On, jak i cała ta instytucja, zasłaniają się bajeczkami sprzed tysiący lat, żeby nas trzymać pod butem.

Maria była zmęczona. Wciąż bolało ją wspomnienie tego, jak potraktował ją tamtego dnia ksiądz Stanisław. I tego, co zrobił jej potem Bolek, zainspirowany przez księdza cytatem ze Starego Testamentu o nieposłusznych żonach i dopuszczalnej grubości kija.

Poczuła, że Aniela bierze ją za rękę. Przyjaciółka lepiej niż pozostali rozumiała, ile kosztowała ją ta przemowa.

Ksiądz Stanisław poczerwieniał.

– No ja nie będę przebierał w Piśmie Świętym według cudzego widzimisię – burknął.

– Ale ciuszki z mieszanych włókien ksiądz nosi, a i krewetką zakąsi. Niewolnic też już pewnie nie bije? I wiarołomców na placu przed kościołem nie kamieniuje? – wyliczała Aniela, jak zawsze gotowa zasłonić Marię własną piersią.

– A co to ma do rzeczy? – zapytał oburzony.

– A to, że wybieranie, które kawałki Biblii odpuścić, przychodzą księdzu zaskakująco łatwo – odcięła się ostro.

– Cisza! – wrzasnęła Szyszka, wymachując pistoletem. – Znowu to robisz. – Wymierzyła w Marię.

– Co znów robie? – zapytała ta spokojnie.

– Odwracasz uwagę! Rozcieńczasz swoją zbrodnię! Ja wiem! Rozumiesz?! Widziałam ciało! Na własne oczy widziałam, co mu zrobiłaś!

*

Klucza nie znalazły – pewnie Alojz miał go ze sobą. O wyważeniu dwuskrzydłowych, masywnych drzwi mogły pomarzyć, a im więcej zza nich słyszały, tym większy targał nimi niepokój.

Nagle Monice przyszło coś do głowy. Jedno ze skrzydeł drzwi miało bolce wpuszczone w górną i dolną framugę, jeśli więc zdołałyby otworzyć zamek, otwierałoby się tylko skrzydło z klamką. Ale może mogłaby otworzyć to drugie?

Sięgnęła po górną zasuwkę i pociągnęła ją, mając nadzieję, że nie jest zamalowana czy sklejona farbą. Bolec z cichym zgrzytem przesunął się i schował. Podobnie dolny.

– Musimy pchnąć z całej siły, może uda się wyłamać zamek – szepnęła do Magdy, która w tym czasie zdjęła ze ściany sporych rozmiarów gaśnicę.

– Raz mi uratowała życie – powiedziała ze wzruszeniem ramion. – I lepiej się nadaje na taran niż moje wątle barki.

Cofnęły się do schodów, żeby wziąć rozbieg. Czy im się wydawało, czy z dołu dobiegały jakieś hałasy? Magda ścisnęła gaśnicę jeszcze mocniej i z dzikim wrzaskiem ruszyły na drzwi. Nie miały pojęcia, czy krzyczą, by dodać sobie animuszu, czy by zrobić wrażenie, ale zderzając się boleśnie z drzwiami Magda pomyślała, że tak musieli się czuć Wizygoci czy inni Wandalowie podczas szturm na bramy twierdz. Odniosły połowiczny sukces – między skrzydłami drzwi pojawiła się konkretna szpara.

– Zostaw babcię, szalona babo! – wrzasnęła w nią Magda i kolejny raz uderzyła w zamek gaśnicą.

*

Straszewicz czekał na właściwy moment. Liczył, że Szyszka opadnie z sił lub się uspokoi, ale ona nakręcała się coraz bardziej. Wystarczyłaby chwila, myślał, chwila nieuwagi! I oczywiście jeśli na kogoś mógł liczyć w kwestii chaosu, dekoncentracji i dywersji, to na Magdę Garstkę, bo był pewien, że to ona spowodowała ten nagły huk. Zaskoczona Szyszka opuściła broń i spojrzała w stronę drzwi, które nie miały szans w starciu z dziewczyną uzbrojoną w determinację i gaśnicę.

Zareagował natychmiast. Profesjonalnie wyłuskał broń z ręki Szyszki, drugim ramieniem zakładając dźwignię, którą unieruchomił kobietę. Trzy sekundy. Może i niewiele brakuje mi do emerytury, ale wciąż jestem ostry jak brzytwa, pomyślał zadowolony.

Marek Garstka skoczył do drzwi i pomógł dziewczynom, kończąc dzieło rujnowania zamka. Otworzył oba skrzydła na oścież, a drzazgi i płatki farby olejnej posypały się na podłogę jak śnieg.

– Koniec tego szaleństwa – warknął.

– Zejdzmy na dół – zaproponował Straszewicz. Miał już powyżej uszu klaustrofobicznego zamknięcia.

– Wynoszę się stąd w tej chwili! – oświadczył ostro Anatol.

– Nie sądzę, by to się udało – stwierdził Marek, wskazując okno, za którym przewalała się sztormowa apokalipsa.

– Ale spokojnie, nudzić się nie będziemy – dodał Straszewicz, zanim Anatol zdążył zaprotestować. – Mamy sobie sporo rzeczy do wyjaśnienia. Oskarżenie o morderstwo, zatajenie, konspirację i co tam jeszcze to też nie w kij dmuchał. O zarzutach ograniczenia wolności i porwania nie wspominając, ale i do tego dojdziemy. Marzył się państwu bal tajemnic, to będziemy tajemnice rozwiązywać – powiedział twardo, dotknięty do żywego tym, że ktoś mógł podważyć jego profesjonalizm. Miał opinię bulteriera i nie podobało mu się, że ktoś godził w jego nieposzlakowaną reputację. No i pozostawała nierozwiązana sprawa sprzed dwóch lat... Zamknięcie jej przed odejściem to dodatkowa satysfakcja.

– Jakim cudem skończyłyście jako zakładniczki? – zapytał Marek, tuląc córkę i bratanicę.

– Długa historia – burknęła Magda. – Gdybym wiedziała, już latem załatwiłabym Alojza kijem hokejowym.

– Alojz! Wiedziałałam, że znam ten śmiech! – Maria pacnęła się w czoło.

Była tak zmęczona, że ledwie miała siłę stawiać stopę za stopą i musiała przytrzymywać się poręczy na schodach, żeby nie spaść. Serce nieco zwolniło, ale miała mroczki przed oczami, a głowa ciągle wydawała jej się zbyt lekka. Wiele dałaby za możliwość położenia się choć na chwilę, ale wiedziała, że Straszewicz nie da jej taryfy ulgowej. Może i dobrze – bo Maria bardzo chciała już mieć to wszystko za sobą.

ROZDZIAŁ 21

Straszewicz rozglądał się po jadalni. Wszyscy porzysiadali się tak, by utrzymać zdrowy dystans od pozostałych i mieć ich w zasięgu wzroku. Napięcie w powietrzu można było kroić. Każdy szybko zrozumiał, że choć został uwolniony z pokoju kapitańskiego, nie ma szans na wydostanie się z ośrodka. Sztormowa zawierucha i śnieżycy nasiliły się do tego stopnia, że nie było widać nawet tarasu za wielką taflą szkła. Tylko szalenie wyszedłby w takich warunkach na zewnątrz. Uwzględniając poziom szajby niektórych spośród towarzystwa, Straszewicz ustawił się tak, by mieć wszystkich na oku i w razie czego interweniować.

Czuł się jak wodzirej w jakiejś pokręconej tragifarsie. Miał ochotę obmacać zasłony albo zrobić rewizję w szafach w poszukiwaniu suflera, któremu wyrwałby z garści scenariusz, by bez cienia skrępowania zajrzeć na ostatnie strony.

Doszło tu do naruszenia wszelkich procedur i już sobie wyobrażał, jak prokurator roznosi go na strzępy po lekturze akt sprawy... Bo do jakiejś sprawy po tej nocy dojdzie na pewno.

Zastanawiał się, jakie właściwie ma opcje. Może powinien poczekać z działaniem do rana? Tyle że do tego czasu emocje opadną i zebrani znów się w sobie zamkną. Do niektórych w pełni dotrze, jakie konsekwencje grożą im po wyjściu z tego domu, więc bez prawnika nie pisną słowa. Poza tym przecież wciąż mogło dojść do przemocy. Owszem, odebrał Szyszce pistolet – cholerny gaziak, choć zrobiony tak porządnie, że nie ryzykowałby strzału z bliskiej odległości – ale wierzył w ludzką kreatywność, jeśli szło o potrzebę mordy. A Szyszka nie była jedyną, w której się kotłowało. Może więc wyjaśnienie sobie wszystkiego w spokojny i cywilizowany sposób wyciszy emocje? Chętnie przegadałby to z Garstką, ale ten był teraz w trybie głowy rodziny. Monika była ranna, więc dopóki się nie upewnił, że nie ma wstrząśnienia mózgu, a jej bandaż na ręce nie są przesiąknięte krwią, nie był w nastroju do prowadzenia śledztwa. Dopiero kiedy usłyszał od lekarki, że dziewczynie nic nie grozi, uspokoił się.

Podszedł do Straszewicza i zapytał cicho:

– Co robimy? Komórki nadal nie działają.

– Czekamy do rana. Do tego czasu spróbujmy ustalić, co się tu, u diabła, dzieje. A także o co chodzi ze zwłokami twojego ojca.

Marek skrzywił się jak po przełknięciu kropli żołądkowych. Jakim cudem jego rodzina nagle znalazła się w samym centrum tego zamieszania?

– Nawet autem nie damy rady w tych warunkach przedostać się do Ustki – przyznał.

– Lepszej okazji, żeby wyciągnąć tę historię na wierzch, może nie być – przekonywał Straszewicz.

Marek niechętnie skinął głową.

– Czy twoja bratanica ma jakiś atak, czy próbuje zwrócić naszą uwagę? – zapytał sierżant sztabowy, patrząc na Magdę stojącą na korytarzu.

Marek obejrzał się zaskoczony. Jeszcze chwilę temu Magda siedziała razem z Moniką i Marią, a teraz ewidentnie wysyłała im jakieś sygnały.

Mrugała, kiwała głową, udawała, że się przeciąga, ale była w tym mniej przekonująca niż on w jasełkach, kiedy w wieku lat pięciu przypadła mu rola pasterza podekscytowanego narodzeniem Jezuska. Dopiero co zaraził się ospą i całe przedstawienie zawzięcie się drapał, a pod koniec zasnął wtulony w pluszową owieczkę, którą miał oddać dzieciątku w żłóbku.

– Myślę, że to element konspiracji i Magda stara się nas odciągnąć, by nam powiedzieć coś na osobności – stwierdził Marek.

– Byłaby skuteczniejsza, gdyby wszyscy pozostali byli ślepi – prychnął rozbawiony Straszewicz. – Dobra, zobaczymy, o co jej chodzi... Ale, Garstka, musimy ich wszystkich mieć na oku, nie mogą zostać sami, bo się wezmą za łby. Albo zrobią coś głupiego – dodał, bo zauważył, że Szyszka ma szkliste oczy i jakby nieobecne spojrzenie.

– No przecież – przytaknął Marek.

*

Magda czekała na Straszewicza i wujka Marka na korytarzu przed jadalnią, cała w nerwach. Każdy głośniejszy dźwięk wytrącał ją z równowagi, a wycie wiatru i brzęczenie szyb w oknach drażniło jej przeczulone zmysły.

Gdy Straszewicz wreszcie wyszedł, powiedziała ostrzej, niż planowała:

– Nie żebym uczyła pana, jak powinien pan wykonywać swoją pracę...

– To byłaby nowość – przerwał jej.

Skrzywiła się i westchnęła.

– Może warto dorwać Alojza, zanim zwieje? Bo to on nas złapał i zamknął. On rozbił Monice głowę. On nawijał przez radiowęzeł. Ewidentnie siedzi w tej aferze po uszy.

– No, już to sobie poskładałem w swoim małym rozumku – odparł skromnie Straszewicz.

– Mam taką dziką fantazję, że wrzuci go pan do karceru, zakuwa w dyby i gubi klucz, a on dożywa tak swych dni ostatnich.

– Ciężko będzie znaleźć dyby i karcer spełniający dzisiejsze standardy, ale rozumiem. Choć wątpię, by ciągle się tu kręcił. Słyszał, co się dzieje,

i jeśli nie jest idiotą, zwiął, zanim się wydostaliśmy – zauważył.

– Najbystrzejszy to on nigdy nie był.

– Też fakt – przyznał Straszewicz i kiwnął na Marka.

*

Marek Garstka schodził w ciemnościach do piwnicy. Okruchy zbitej żarówki trzeszczały mu pod podszewami.

– Uważaj na szkło na stopniach – powiedział do bratanicy, która ani myślała czekać na niego na górze.

– To chyba ten hałas słyszałyśmy z góry – odpowiedziała.

U dołu schodów wymacał kontakt. Tym razem światło rozbłysło, bo żarówkę pod sufitem ochraniał metalowy koszyczek, który uniemożliwił jej zniszczenie.

– Tamte zielone drzwi to stara kuchnia, w której nas zamknął – powiedziała Magda. – Są tam wasze kurtki i płaszcze. A jego głos słyszałyśmy zza ściany, musiał nadawać gdzieś stąd. – Wskazała na korytarzyk skręcający pod schody.

Za uchylonymi przemysłowymi drzwiami znaleźli niewiele większe od schowka na szczotki pomieszczenie z nadajnikiem radiowęzła i przypominającym starą centralkę telefoniczną urządzeniem na ścianie. Na niewielkim stoliku leżały rozrzucone papiery. Ale ani śladu Alojza.

Sprawdzili pozostałe pomieszczenia, z podobnym rezultatem. Weszli też do starej kuchni, choć Magda przezornie zatrzymała się w progu, by nikt ich tu znów nie zamknął, zwłaszcza że winda została piętro wyżej i mógłby być problem z jej ściągnięciem. Marek złapał swoją kurtkę i podał Magdzie jej okrycie.

– Rozejrzę się na zewnątrz, może ugrzązł w zaspie – powiedział.

Magda skinęła głową i zasunęła suwak kurtki.

– Możesz zostać w środku – zaproponował.

– Nie wyjdiesz bez wsparcia. A jeśli cię zaskoczy, jak Monikę? – zapytała poważnie.

Uśmiechnął się łagodnie. Straszewicz miał rację, była mała jak wróbel, ale niezłomnym charakterem mogłaby obdzielić całą grupę.

Z trudem otworzyli drzwi, na które napierał wiatr. Po wyjściu na zewnątrz oboje poczuli lodowate podmuchy na twarzach i igiełki lodu wbijające się w skórę. Marek szedł pierwszy, osłaniając Magdę, zgarbiony, z głęboko nasuniętym na głowę futrzanym kapturem. Widoczność była praktycznie zerowa, ledwie mógł dostrzec wyciągnięte przed siebie ręce. Od ostatnich trzydziestu lat nie pamiętał tak upiornej pogody w Ustce, a zwłaszcza takich ilości śniegu! Dotarli do bramy wjazdowej, częściowo uchylonej, ale zasypanej tak, że nie można było jej ruszyć. Ani śladu Alojza.

Skręcił do samochodu Straszewicza, po apteczkę dla Moniki, i zaklął.

W zasypanym niemal doszczętnie aucie ktoś, pewnie Alojz, przebił przynajmniej jedną, przednią oponę, z której wciąż sterczał duży śrubokręt z niebieską rączką.

Marek odgarnął stopą śnieg przy drzwiach i częściowo oczyścił je z grubej białej warstwy. Straszewicz nie zamknął ich na klucz, więc Garstka bez trudu dostał się do środka i zabrał znaną w schowku okazałą apteczkę.

– Wracajmy! – zawołał, przekrzykując wiatr i ogłuszający huk fal, tak bliski, jakby morze połknęło już całą plażę i kawałek lasu dzielący je od domu.

– Zwiąż! – Magda była wściekła. Tak liczyła, że dorwą tego padalca!

– Daleko nie ucieknie. Jutro będzie poszukiwany przez całą policję.

Wrócili do środka, przemarznięci do szpiku kości.

– O ile gdziekolwiek dojedzie – wysapał Marek, rozcierając dłonią zmarzniętą twarz. – W tych warunkach widoczność jest upiorna, może skończyć w rowie.

– Zawsze można mieć nadzieję – rzuciła mściwie Magda, bo życzyła mu co najmniej uwięzienia i ataku dzikich zwierząt. – Czy są tu niedźwiedzie?

*

Straszewicz obserwował Szyszkę. Siedziała przy stole, obejmując się ciasno ramionami, jakby kurczowo trzymała się złudzeń, że ma kontrolę nad sytuacją. Nie patrzyła już na Marię, nie torpedowała jej natarczywym spojrzeniem i gniewnymi grymasami. Wydawała się mniejsza, niższa, jak gdyby zapadła się w sobie.

Sierżant usiadł przed nią i pochylił się, by złapać jej spojrzenie.

– Może pani po prostu opowie, co wie? Jak się to wszystko zaczęło? I o co chodzi z tym ciałem? – zapytał łagodnie, nie jak stróż prawa, który zastanawia się, jaki paragraf wpisać w rubryczkę raportu, ale jak ktoś szczerze zainteresowany tym, co właściwie się wydarzyło.

Kobieta westchnęła i rozejrzała się po pomieszczeniu. Maria Garstka, jej wnuczka i ta wariatka Aniela siedziały niedaleko, przytulone do siebie jak jakieś zmarznięte gołębie. Anatol się izolował, zajmawszy najbardziej oddalone miejsce u szczytu stołu. Z odchylną na oparcie głową, z założonymi na piersi ramionami i wyciągniętymi nogami mógł sprawiać wrażenie zrelaksowanego, ale był zbyt podobny do Bolka, by ją zwieść. Widziała napięcie linii żuchwy, zgrubiałe żyły na skroni i drgającą powiekę. Tylko lekarka wyglądała na autentycznie wyluzowaną. Przysiadła się do tej młodej i o coś ją wypytywała, chyba o uraz głowy. Książd był głównie znudzony. O tak, tu przestrelała całkowicie...

Do Szyszki dotarło z lekkim opóźnieniem to, w jak wielkich jest

kłopotach. Scenariusz, który sobie napisała na ten wieczór, zakładał, że to Maria będzie się więc i wpadnie po uszy, tymczasem to ona przegrała tę partię. Cała energia i siła woli, poczucie kontroli i pewność siebie wyparowały z Szyszki bezpowrotnie. Nie wiedziała, czy wyjdzie z tego cało... Pewnie nie. Kiedy pakowała replikę broni, nie myślała, że po nią sięgnie. Potrzebowała jej, by się czuć pewniej. A teraz... O tak, dotarło do niej, że na takie rzeczy jak wymachiwanie bronią w pokoju pełnym ludzi są paragrafy. Zaproszenie dwóch policjantów nagle nie wydawało się już takim dobrym pomysłem... Straszewicz pytał ją o coś, a ona patrzyła na niego zdezorientowana.

– To wygląda na jedną z tych historii, które warto zacząć od początku. Łatwiej mi się będzie połapać – dodał Straszewicz z lekkim naciskiem.

To ostatni moment, by przedstawić swoją wersję wydarzeń, pomyślała, potem zabiorą mi wszystko, nawet moją historię i stratę... Tak bardzo chciała, by jej było na wierzchu, choć przez chwilę. Zaczęła opowiadać.

– Tamtego wieczoru, kiedy zginął, mieliśmy się spotkać u mnie. To była nasza dziesiąta rocznica. Przygotowałam kolację. Bolek miał powiedzieć Marii, że wypływa na połów. Umówiliśmy się na siódmą. Nie przyszedł. Dzwoniłam, ale nie odbierał, podobnie u nich w mieszkaniu i w pensjonacie. – Spojrzała na Marię z wyrzutem. – Gdy wciąż się nie zjawiał, wiedziałam, że coś się musiało stać. Zadzwońby. Zawsze dzwonił, kiedy coś mu wypadło... Następnego dnia przeszłam się rano w okolice pensjonatu. Miałam nadzieję, że spotkam Bolka. Nie lubił, kiedy kręciłam się koło jego domu czy w porcie, ale to była nasza rocznica! – powiedziała obronnym tonem, a przysłuchująca się z boku Maria drgnęła, rozpoznając tę lękliwą nerwowość.

Znała ją. Nie tylko na swoim przykładzie – widywała ją też u Ptaszyn. Możliwe, że Bolek naprawdę nigdy nie uderzył Szyszki, pomyślała, ale to nie znaczy, że nie stąpała na paluszkach, by go zadowolić i uniknąć jego gniewu. I Maria, nawet w tych okolicznościach, odnalazła w sobie współczucie dla tej kobiety.

– I nie spotkała go pani – podsumował Straszewicz.

– Nie. Spotkałam w porcie znajomego. Powiedział mi, że łódź wróciła bez Bolka, że utonął.

– Nie uwierzyła pani?

– Wtedy uwierzyłam... To znaczy miałam wątpliwości, bo czemu miałyby wypływać, skoro mówił, że do mnie przyjdzie. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Czekałam na plotki, na cokolwiek, co mi to wszystko wyjaśni... Ale potem usłyszałam, że ciała nie znaleziono. Że utonął i morze go nie oddało. – Głos jej zadrżał. – Nie mogłam spać, nie mogłam sobie z tym poradzić. Budziłam się z koszmarów, w których on tam, w lodowatych odmętach wołał mnie, bo nie chce być sam. Wołał mnie,

bym odkryła prawdę. Więc pytałam w porcie. Przesłuchiwałam wszystkich, którzy mogli coś wiedzieć. O której łódź wypłynęła? O której wróciła? Co widzieli? I wszyscy powtarzali jedno: Widzieli Alojza, ale nie Bolka...

Straszewicz pokiwał głową, bo dokładnie to samo mówili jemu, kiedy prowadził śledztwo. Nie podobało mu się to, ale bez ciała niewiele więcej mógł zrobić. Przeszukali łódź, nie znaleźli śladów krwi czy oznak walki. Nikt nie widział, by Bolek i Alojz się kłócili, choć niektórzy wspominali o długach Alojza.

Straszewicz dostrzegł Marka i Magdę, którzy stali w progu, poza zasięgiem wzroku Szyszki, i przysłuchiwali się jej zeznaniom. Spojrzał na nich pytająco, a Marek pokręcił głową.

Szyszka mówiła dalej, z lekkim wahaniem w głosie.

– Widzi pan, ja miałam na Alojza kwity. Bolek je u mnie zostawił.

– Jakie kwity?

– Alojz miał długi, i to duże. Bolek pożyczył mu pieniądze, kiedy wierzyciele grozili Alojzowi połamaniem nóg, ale potrącał mu to z zarobków i połowów. Bolek spodziewał się, że jeszcze jeden, może dwa weksle i wykupi od Alojza jego wkład.

– Alojz miał wkład w kutrze? – zapytał nagle Anatol, przełamując pozór obojętności i ujawniając, że słuchał uważnie.

Szyszka kiwnęła głową.

– Przy ostatniej kontroli kutra, gdy trzeba było przeprowadzić wszystkie naprawy, żeby utrzymać licencję, coś tam się zepsuło i musiał na gwałt zebrać pieniądze. Maria odmówiła mu wsparcia – Szyszka spojrzała na Garstkę z wyrzutem – ale Alojzy niedługo wcześniej sprzedał jakiś kawałek ziemi po rodzicach. Dołożył się do remontu i miał mieć udział w połowach.

Straszewicz spojrzał na Marię, szukając u niej potwierdzenia tych słów. Ta informacja nie wypłynęła w śledztwie, a przecież zmieniała wszystko.

Maria skrzywiła się nieznacznie i powiedziała:

– Nie dostałabym pożyczki, choćbym się starała. Zadłużyłam hipotekę trochę wcześniej, żeby wyremontować kwatery i przeobrazić je w prawdziwy pensjonat. Do dziś spłacam ten kredyt. O pieniądze zapytał mnie raz i faktycznie odmówiłam. Nie wracał do tematu. Byłam pewna, że poszedł do Anatola, w końcu byli z Bolkiem właścicielami łodzi. Ale nie pytałam. Bolek nie znosił wtrącania się w jego sprawy. O udziałach Alojza nie miałam pojęcia. Owszem, kiedy przychodził nas dręczyć po pijaku, odgrażał się i mówił coś o tym, że to powinien być jego kuter, ale to nie był mój problem, tylko Anatola.

Anatol odchrząknął i powiedział kategorycznie:

– Nigdy nie słyszałem nic o wekslach, długu u Alojza czy o tym, że miał

udziały w kutrze. Szczerze, to jakaś granda, bo kuter wart jest kilkaset tysięcy, a jakoś nie wierzę, że Alojz wyskoczył z takiej forsy, żeby faktycznie dostać choć jeden procent. W papierach nic takiego nie było. Prawnik, który porządkował dokumenty po śmierci Bolka, może to potwierdzić.

– A gdzie jest teraz kuter? – zapytał Straszewicz.

– W stoczni w Kołobrzegu. Albo właduję kupę szmalu w naprawę, która może mi się nie zwrócić przy zmniejszonych kwotach połowów, albo zezłomuję go w ramach programu unijnego i dostanę ułamek jego ceny... Rozkosze spadku – dodał z goryczą, po czym znów odchylił głowę, przymknął oczy, jakby szykował się do drzemki i nic go już nie obchodziło.

– Więc miała pani weksle Alojza. I co dalej? – Straszewicz zwrócił się znów do Szyszki.

– Poszłam do niego i powiedziałam, że oddam mu je, jeśli powie mi wszystko, całą prawdę o tym, jak zginął Bolek, w przeciwnym razie zaniosę weksle na policję. Z początku nie wierzył, ale byłam przekonująca...

Na jej policzki wypłynął rumieniec. Wciąż pamiętała, jak ją potraktował, gdy przysła do niego po raz pierwszy. Jakby szukała szybkiego pocieszenia po Bolku. Wzdrygnęła się z obrzydzenia.

– I co pani powiedział? – dopytywał Straszewicz. Z każdą chwilą ta wersja coraz bardziej się rozjeżdżała z tym, co ustalił w trakcie śledztwa.

– Że Maria zabiła Bolka, zadźgała go, gdy spał. I że zapłaciła mu za pomoc w pozbyciu się zwłok – odparła, sprawdzając reakcję Marii.

Ta tylko patrzyła na nią okrągłymi ze zdumienia oczami.

– Pomijając absurdalność pomysłu, że Maria miałyby zadźgać kogokolwiek – wtrąciła Aniela – to Alojz jako jej rzekomy pomocnik jest najbardziej idiotycznym elementem tej historii. Przecież nienawidzą się od zawsze. Maria prędzej poszłaby do księdza dobrodzieja, szukać wsparcia przy pozbyciu się zwłok, niż do Alojza.

– A ja sobie wypraszam! – zachnął się ksiądz Stanisław.

Nikt jednak nie zwrócił uwagi na jego protest.

– Nie od razu mu uwierzyłam. Powiedziałam, że musi mi udowodnić, że to prawda! – zaznaczyła Szyszka.

– I udowodnił? – zapytał Straszewicz.

– Obiecał pokazać, gdzie ukrył zwłoki. Powiedział, że Maria chciała, by zabrał je w morze i utopił, ale uznał, że wtedy po Bolku nie zostanie żaden ślad. I nigdy nie zazna sprawiedliwości. Więc schował ciało przed Marią – wyjaśniła.

Sierżant sztabowy westchnął.

– I pokazał je pani?

– Tak, widziałam je. – Wzdrygnęła się. – Był w kremowym swetrze,

który mu kupiłam, jakby właśnie wybierał się do mnie na kolację. Na piersi i brzuchu miał pięć plam krwi, jedną przy drugiej. Alojz zakrył mu głowę workiem, bo... – głos znów jej zadrżał – zaczął się już rozkład i źle wyglądał, ale to był na pewno on...

– Gdzie było to ciało? – dopytywał Straszewicz, z trudem powstrzymując emocje.

– Tu – powiedziała po prostu.

– A dokładniej?

– W garażu na łódzie, pod wzgórzem, na którym jest ten ośrodek – odparła. – Owinęliśmy go w płótno, jak w czasie pogrzebu na morzu... I on tam cały czas leży. – Zaczęła płakać.

Tego nikt nie mógł przewidzieć. Zapadła cisza, którą po dłuższej chwili przerwał Anatol:

– Po sezonie Mundek Zyśko jest tu stróżem i złotą rączką.

W głowie Straszewicza kolejne elementy zaczęły się łączyć w logiczną całość.

– Ile mu pani zapłaciła? Poza weksłami? – zapytał.

Szyszka wzruszyła ramionami.

– Nie wiem dokładnie – wyszłochała.

– A ta zemsta na pani Marii to był pani pomysł czy jego? – naciskał Straszewicz.

Szyszka rzuciła mu spłoszone spojrzenie. Właśnie dotarło do niej coś, co wcześniej jej umykało – jak uporczywie Alojz podsyczał w niej nienawiść do Marii, jak się wściekał, że chodzi z podniesioną głową i się szarogęsi. I że oddała kuter Anatolowi, byle nie zadawał pytań. Ile razy przez te prawie dwa lata wysłuchiwała tyrad, że ta suka powinna zapłacić, powinna cierpieć, powinna zgnieć w pierdłu...

– Boże – jęknęła – ja wysyłałam listy, anonimy, tak okropne... – Spojrzała w stronę Marii, jakby spodziewała się awantury, ale to nie anonimy zaprzętały Garstce głowę w tej chwili.

Dla Marii rewelacje Szyszki brzmiały tak, jakby należały do świata fikcji. Próbowwała to, co usłyszała, połączyć z tym, co wiedziała o tamtej nocy, o Bolku i o Alojzie, ale nadal nie rozumiała wszystkiego. Dotarło do niej tylko jedno: jej wersja tamtych wydarzeń jest równie nieprawdziwa jak ta, w którą wierzyła Szyszka. Westchnęła z rezygnacją. Może Straszewicz poskłada to wszystko do kupy. Zaczęła mówić:

– Alojz przyszedł do mnie w dniu śmierci Bolka. Zastał mnie w rozsypce. Wyrzucałam blistry z zapasem tabletek. Powiedział, że Bolek się chwiał tamtej nocy, i spytał, czy coś o tym wiem. Mówił, że to przeze mnie i przez to, czym go strułam, wpadł do wody i nie dał rady wypłynąć. Zażądał pieniędzy. Nie wiem, skąd wiedział... Ale zapłaciłam za jego milczenie. Zrobiłam to więcej niż raz. Aż przestałam, bo chciałam, żeby zniknął z mojego życia, zanim przyjedzie Madzia.

Straszewiczowi przyszła do głowy przynajmniej jedna sytuacja, w której Alojz odkryłby, że koordynacja ruchowa Bolka szwankuje. Bez wychodzenia w morze. Wszystko zaczęło mu się układać w całość. Owszem, Alojz był ostatnim, który widział Bolka żywego, ale w innych okolicznościach, niż twierdził. Na przykład w czasie bójk. Bez ciała i z zeznaniami świadków potwierdzającymi z grubsza wersję Alojza sprawa utknęła w martwym punkcie. A zaraz potem było to paskudne morderstwo w Słupsku, facet zadźgał żonę i dwójkę dzieci. Uciekł i powiesił się w lesie, ale minęło sporo czasu, zanim go znaleźli. To był koszmar, dzieci były naprawdę małe, kobieta brutalnie okaleczona... Straszewicz pamiętał doskonale, że tamto śledztwo i poszukiwanie sprawcy całkowicie go pochłonęły i zepchnęły nierozwiązywalną właściwie sprawę na boczny tor. A przecież gdyby poświęcił jej więcej uwagi, dowiedziałby się i o wekslach, i o tym, co usłyszał dziś o Alojzie... Cholera jasna.

Spojrzał na Marka Garstkę, opartego o framugę drzwi, z ramionami splecionymi na piersi i pociemniałą twarzą. Kolega wyglądał na człowieka, któremu świat zatrzęsł się w posadach i jeszcze wciąż dygotał mu pod stopami. Straszewicz wstał od stołu i podszedł do niego. Po chwili wahania poklepał go po ramieniu.

– Nie wyjedziemy, nawet jeśli przestanie padać – powiedział Garstka głosem zwodniczo spokojnym. – Ten skurwysyn nie tylko zabił mi ojca i szantażował matkę, ale i przebił ci opony w aucie.

Straszewicz odnotował w pamięci, że cokolwiek by się działo, musi dopaść Alojza wcześniej, bo ten dobroduszny niedźwiedź rozwalił mu głowę o chodnik w kilka sekund.

– Rano pójdziemy po posiłki do ośrodka policyjnego, to nie tak daleko – rzucił uspokajająco. – Nie zabrał moich betów?

– Wszystkie kurtki są w piwnicy.

– Tyle dobrze, przechadzka w swetrze w takich warunkach to nic miłego – paplał, by odwrócić uwagę Garstki i dać mu chwilę na ochłonięcie.

Doktor Felicja Januszkiewicz starała się trzymać do całej sprawy zdrowy dystans. Na jej gust ludzie generalnie byli zbyt emocjonalni, a cała ta historia na tyle pozbawiła ją energii, że nie potrafiła znaleźć w sobie zainteresowania takim sposobem załatwiania porachunków. Może gdyby jej partnerka żyła, mogłyby się z tego pośmiać, kiedy już wróciłyby do domu, ale tak... W tej całej sytuacji martwiła ją głównie Monika. Zauważyła ślady krwi na włosach dziewczyny i zapytała, czy może zerknąć. Nie wyglądało to dobrze: rana wymagała oczyszczenia i zdezynfekowania. Opatrunki na ręce były brudne i mokre, wcześniejsza rana musiała się otworzyć. To były konkretne wyzwania, którym Felicja mogła sprostać. Oczywiście nie twierdziła, że Bolek

Garstka i jego zejście z tego świata to błaha rzecz, ale, na Boga, znajmy umiar – żywa i ranna dziewczyna była zdaniem doktor Januszkiewicz bez porównania ważniejsza niż dwuletnie zwłoki. Ocena zagrożenia to podstawa triażowania. Bolkowi lepiej nie będzie, za to Monika miała objawy wstrząśnienia mózgu i brzydkie rozcięcie na potylicy.

Gdy do jadalni wrócili młoda Garstka i jej wuj, zauważyła, że mają apteczkę. No nareszcie! Był to pierwszy przejaw rozsądku, jaki zaobserwowała tego wieczoru.

Wyciągnęła rękę po skrzynkę z czerwonym krzyżem i zajęła się opatrywaniem rannej. A gdy Straszewicz skończył przesłuchanie Zofii Szyszki, zauważyła, że nastrój zgromadzonych gwałtownie się zmienił. Jeszcze chwila i będzie tu miała pacjentów z załamaniem nerwowym, a na to kilka plastrów nie pomoże.

Zaproponowała więc:

– Może wszyscy chwilę odpoczniemy? Wypijemy herbatę? Dość emocji na ten wieczór. Panie Marku, nastawi pan wody? A ty, Moniko, siedź spokojnie, żebym nie musiała za chwilę zmieniać opatrunku. Nikt się nigdzie nie wybiera – dodała, widząc minę Straszewicza i interpretując jego grymas jako komentarz do jej sugestii.

Tyle że Straszewicz ledwie rejestrował jej słowa. Jego umysł był skomplikowany i pojemny, czasem coś do niego wpadało, pozornie bez śladu, ale zwykle wypływało, kiedy okazywało się potrzebne. I teraz, sumując wszystko, czego się dowiedział od Szyszki, Marii i reszty, uświadamiał sobie z całą jasnością, że nie może się doliczyć jednego trupa. Obrócił się i odnalazł spojrzeniem panią Anielę. Głowę by dał, że zbladła i wymamrotała przekleństwo. Miał pewność, że instynkt go nie zawiódł.

ROZDZIAŁ 22

Aniela od razu zauważyła, że znalazła się na celowniku jastrzębiookiego wążacza. Gdy zmarszczył brwi, niemal mogła dostrzec, jak obracają się trybiki w jego głowie, i wiedziała, że wpadła, że słowa, które wcześniej nieopatrnie wypowiedziała, odbiją jej się czkawką. Próbowwała się dyskretnie ulotnić, korzystając z zamieszania, kiedy Maria, doktor Felicja i młode Garstki poszły szukać kuchni, by przygotować herbatę, ale poczuła na ramieniu ciężką rękę sierżanta sztabowego.

– Pani Anielo – powiedział ostrzegawczo.

– Tak? – Zamrugła niewinnie.

– Czy chce mi pani o czymś opowiedzieć? – naciskał, ale jego ton pozostał łagodny.

– „Chce” to czasownik bardzo na wyrost. Niekoniecznie chcę, nawet nie bardzo – odparła, czując, jak język jej się płacze pod tym czujnym spojrzeniem, któremu nic a nic, za cholibkę, nie chciało umknąć. A przecież mogło! Co by mu szkodziło, gdyby zapomniał o sprawie? Mało to miał do przetrwania?

– Pani Anielko, od razu poczuje się pani lepiej. A tak... Czy pani myśli, że da pani radę w ogóle zmrużyć oko w nocy? Że uda się zasnąć, gdy umysł będzie obracał w głowie tę jedną myśl...

– Uuu, nie gra pan czysto! To jest praktycznie tortura. Czy to nie jest zakazane jakąś konwencją? Nie wiem, genewska o tym nie wspomina?

– Czy my jesteśmy na wojnie, pani Anielko? – spytał spokojnie. – Czy ja jestem wrogiem? Przecież pani się przyjaźniła z moją ciocią Janinką, zna pani moją rodzinę od lat...

– Och, Janinka, biedna kobieta, świeć, Panie, nad jej duszą, raczysko przebrzydłe i bezlitosne. – Aniela się zasmuciła i obniżyła gardę.

– To może sobie na osobności porozmawiamy? Nie musimy robić od razu wielkiej dramy, ale tak dla spokoju sumienia, pani Anielko, no jednak trzeba mi wszystko opowiedzieć.

– O czymś konkretnym? – zagrała va banque.

– No choćby o tym trupie z łóżka. Choć jeśli poza tym coś jeszcze leży pani na sumieniu, nie widzę przeszkód. – Uśmiechnął się do niej spod wąsa, a ona westchnęła zrezygnowana.

Owszem, padało. Ale padać przestanie, śnieg stopnieje i tamtego znajdą. A wtedy pewnie i tak połączą go z ich obecnością. Mogła więc, jak mówił jej wnuczek, „kontrolować strefę zgniotu”.

– Może wejdziemy na górę? Będzie lepiej, gdy pan to wszystko zobaczy na własne oczy – powiedziała i podniosła się z miejsca.

Straszewicz szedł za nią, kręcąc głową. Co za wieczór!

Aniela otworzyła drzwi do pokoju Marii i zapaliła światło. Rozglądała się po skromnie umeblowanym wnętrzu, niemal spodziewając się, że znów zobaczy na łóżku martwe ciało.

Opowiedziała Straszewiczowi, jak przysłała do Marii zaraz po kolacji, jak rzuciła się na łóżko, by sprawdzić sprężystość materaca i jak znalazła pod pierzyną zwłoki Mundka Zyśki.

– Cokolwiek by panu mówili w tym monopolowym, to nie Marynia była tam agresorką. Zaczepiali ją, nawrzeszczała na nich i uciekła. No owszem, odepchnęła go, bo ją próbował złapać, ale nie wiedziała, że ten jełop wpadnie na skrzydki z piwem!

Straszewicz kiwał głową, jakby wcześniej przesłuchał już sprzedawczynię z monopolu.

– I jeszcze ten szalik! Jej go ukradli! I nóż... Ten nóż to w sumie najgorzej, bo podpisany... Myślę, że on też został podrzucony, aby obciążyć Marię. I przecież nie przywiozła Mundka w bagażniku, nie przemyciła go tu na piętro i nie ukryła pod pierzyną! – Gorączkowała się. – To się nie klei, kompletnie, absolutnie! Nie będę pana uczyła roboty – powiedziała, a Straszewicz musiał przygryźć wąsy, by nie parsknąć śmiechem, bo najwyraźniej Garstki i ich przyjaciółki nic innego nie robiły, tylko mówiły mu, jak ma wykonywać swoją pracę – ale jak dla mnie to jest wszystko grubymi nićmi szyte. Ktoś zabił Mundka i wrabia Marię. Nie miała okazji, by go zabić, bo od południa w czwartek była ze mną, nie zostawiłam jej nawet na chwilę, a tuż przed południem Mundka widzieli w sklepie...

– Jak zaczepia Marię – dodał uprzejmie sierżant.

– No zaczepiał. Ale ona uciekła. Odebrała mnie z autobusu, potem byliśmy u mnie w domu, a później w pensjonacie. I cały czas aż do przyjazdu tutaj spędziłyśmy razem.

– Chyba że wymknęła się nocą z pensjonatu, przyjechała tu i zadźgała Mundka – rzucił niewinnym tonem spod wąsa.

– Aj, głupstwa pan pleciesz! – oburzyła się Aniela. Nagle coś jej się przypomniało. – Auto Marii nie chciało odpalić! Dlatego przyjechaliśmy tu z Szyszką. Teraz sobie myślę, że to nie był przypadek. Może ona uszkodziła coś w samochodzie, żebyśmy się znalazły na jej łasce?

– Brzmi logicznie – przyznał. – Dobrze, pani Anielo, może ja zerknę na te zwłoki fachowym okiem? – zaproponował i zrobił krok w stronę łóżka.

– A nie, to nie ma sensu – zaproponowała Aniela z roztargnieniem. Wciąż myślała o Szyszce i o tym, jak nagle pojawiła się, kiedy auto Marii nie chciało odpalić. Owszem, to mógł być przypadek, ale... czy po dzisiejszym wieczorze wierzyła jeszcze w przypadki? – Pozbyłyśmy się go.

– A jak dokładnie? – zainteresował się Straszewicz, mierząc wzrokiem

drobną sylwetkę Anieli. – Chyba nie wepchnęłyście go w materac, jak Jadwinia męża?

– No co też pan, nie jesteśmy potworami. Wyrzuciłyśmy go przez okno

– wyjaśniła. – No co? Nie chciałam, żeby ktoś tu wparował, odkrył zwłoki, wskazał na Marię palcem i ją oskarżył: „Zabiłaś go! Zabiłaś!”. Musiałam działać, i to szybko, bo już przy kolacji całe to zbiegowisko pachniało mi przekretem i szajbą...

– Oczywiście – powiedział i podszedł do okna. Otworzył je i wychylił się za parapet. Nie dojrzał niczego podejrzanego, jedynie wszechobecną śnieżną biel.

Czy Aniela może go robić w bambuko? Może przeżywa jakieś załamanie nerwowe? Albo próbuje odwrócić jego uwagę od czegoś jeszcze innego?

– Może go nie widać, bo był w bieliźnie? Biała nie była, raczej szarawa, ale łatwo wtopiła się w śnieg – wyjaśniła, również wychylając się przez okno. Odruchowo ją przytrzymał, żeby nie wypadła.

– A może wcale nie był martwy, tylko ranny? – zapytał.

– Tobo pewnie wykorkował, upadając z tej wysokości, nie? Choć wtedy to faktycznie miałybyśmy go na sumieniu! – Zasłoniła usta dłońmi, przerażona taką ewentualnością.

Straszewicz zatrzasnął okno i strząsnął śnieg z włosów i wąsów.

– Nie wybiegajmy przed szereg, pani Anielko, w tej śnieżycy to i tak niewiele widzę. Mogłoby przysypać choćby i pół pułku.

– Jeśli znajdzie pan tam pół pułku, to nie nasza sprawka. – Aniela uniosła ręce w obronnym geście. – Mundek to w sumie też nie nasza sprawka, przynajmniej w kwestii zmiany jego statusu.

– Statusu? – Straszewicz początkowo sądził, że chodzi o status na Facebooku, ale Aniela wyjaśniła:

– Statusu ontologicznego.

Straszewicz przyglądał wężym, ukrywając uśmiech. Tylko zmęczeniem wydarzeniami tego dziwnego wieczoru mógł sobie wytłumaczyć swoją reakcję. Ewentualnie zaraził się logiką od Garstek, ale to byłoby tragicznie nieuleczalne, więc tej myśli starał się do siebie nie dopuszczać.

– Może wrócmy do towarzystwa, póki nam się liczba zwłok mniej więcej zgadza? – zaproponowała Aniela.

– Potencjalnie, bo żadnych jeszcze na oczy nie widziałem. Ale wieczór się nie skończył – skonstatował.

– To już kuszenie losu, takie gadanie – skarciła go Aniela i minęła policjanta, wychodząc z pokoju.

*

Straszewicz odnalazł Marka Garstkę w jadalni, przed oknem tarasowym.

Ze zmarszczonymi brwiami obserwował szalejącą za szybą burzę, cały spięty, z ramionami splecionymi na piersi, lekko pochylony, jakby nawet wewnątrz domu mierzył się z żywiołem. Sierżant poniekąd mu współczuł. Jego rodzina była jak stado kóz z urojeniami – wszystkie Garstki miały mnóstwo sekretów, a do tego głębokie przekonanie, że same sobie poradzą z kłopotami. Tymczasem raz po raz coś im wybuchało w twarz. A jak im wybuchało, to lądowały w szpitalu po ciężkim pobiciu albo okazywało się, że przez ładnych parę dni dzieliły dach z morderczynią i zwłokami. A teraz to...

Pojęcia nie miał, czym się to wszystko skończy dla Marii i Anieli, ale Marek już pewnie łykał tabletki na wrzody.

– Jeśli wybiegniesz z krzykiem w śnieg, daleko nie uciekniesz – powiedział Straszewicz, wyrывая Garstkę z mrocznych rozważań.

– Nawet mi nie mów – burknął młodszy policjant.

Sierżant sztabowy nie zapytał, czy Marek niczego nie podejrzewał, o niczym nie wiedział... Oczywiście, że nie wiedział. Straszewicz poznał już te kobiety wystarczająco, by nie mieć złudzeń.

– Myślisz, że Szyszka mówi prawdę? – zapytał Garstka cicho.

– Myślę, że to jej prawda. Ale jeżeli pytasz, czy wierzę, że twój ojciec nie utonął w Bałtyku i być może jego szczątki są ukryte gdzieś nieopodal... Cóż, nie wykluczam.

– Cholera jasna. Powinienem złożyć rezygnację. Przecież ja chuja wiem.

– Nie przesadzajmy. Te twoje dziewczyny to twarde orzeszki do zgryzienia, nawet jeśli takie malutkie, laskowe... Może musisz je co jakiś czas podłączać do wykrywacza kłamstw i prewencyjnie przesłuchiwać. Albo trzymać się na tyle blisko, by wylapywać pierwsze sygnały nadchodzącej burzy. No ale przecież najciemniej pod latarnią. Przesłuchiwałem twoją matkę dwa lata temu i ani mi przez myśl nie przeszło, że coś ukrywa. Dobra jest.

Marek kiwnął głową.

– W pozostałych autach też przebito opony. Zasięgu nie ma, chociaż Szyszka wyłączyła już ten swój zagłuszacz sygnału. Cholera wie, czy to w ogóle działało, czy od początku to kwestia burzy...

– No nic, utrzymamy wszystkich do rana w jednym kawałku i wtedy sprawdzimy, czy te trupy to coś więcej niż miejska legenda.

– Liczba mnoga? – zapytał zaskoczony Marek.

– A weź mi nawet nie mów. Puszka pełna pcheł, są po prostu nieprzewidywalne. Może powinniśmy zbadać miejscowe piekarnie? Zatrucie sporyszem mogłoby całkiem zgrabnie wytłumaczyć wydarzenia tego wieczoru. A gdzie wszyscy? – dodał, gdy dotarło do niego, że nie widzi reszty gości.

– Odesłałem ich do pokojów, na karnego języka. Ksiądz i Anatol zaczęli

prawić kazania i zrobiła się gęsta atmosfera.

– Byle się do rana nie pozabijali.

– A Alojz nie wrócił – dodał Marek.

– Ano... Nie pośpimy sobie, a ja wziąłem ciepłą piżamę. – Westchnął. – Pokarało mnie za to, że nie chciałem jeść przypalonego bigosu.

Marek parsknął śmiechem. Dotarło do niego, że mogło być gorzej. Mógł tu być z tym całym zamętem zupełnie sam.

ROZDZIAŁ 23

Zofia Szyszka siedziała na łóżku w swojej sypialni i próbowała ogarnąć wszystko, co się wydarzyło. Miała naprawdę sporo do przetrawienia. Powiedzieć, że cały wieczór nie poszedł zgodnie z planem, to nic nie powiedzieć. A najgorsze, że zaczęło się sypać w głowie Szyszki.

Dwa lata temu, dwudziestego drugiego marca, czuła ekscytację, była pewna, że jest na progu nowego życia. Szykowała się na dziesiątą rocznicę związku i wierzyła, że kolejną dekadę spędzi u boku Bolka jako jego żona. Przygotowała się na postawienie ultimatum. Dwudziestego trzeciego marca jej świat się zawalił.

Czuła się tak potwornie źle, kiedy Bolek nie pojawił się na rocznicowej kolacji. Dzwonił kilka godzin wcześniej i jeszcze ofukał ją, że wątpi w jego zapewnienia. A potem po prostu nie przyszedł. Myślała o nim wtedy jak najgorzej, wręcz roznosiła ją wściekłość. Kiedy wypięła w samotności butelkę drogiego wina kupionego specjalnie na tę okazję, była też zła na siebie. Zmarnowała dziesięć lat życia na niedostępnego palanta! Ich związek nadal stanowił wstydlivy sekret i nic nie wskazywało na to, by się to miało zmienić. Nie szanował jej. Czy w ogóle ją kochał? Słowa nic nie kosztują, myślała, ale czas zmierzyć się z faktami.

Kiedy się poznali, miała trzydzieści osiem lat. Przed nią był jeszcze kawał życia i wiele możliwości. Odrzuciła je dla Bolka. Małżeństwo, dziecko, normalna rodzina – coś, o czym zawsze marzyła. Wtedy miała na to szansę. Dziesięć lat później sytuacja wyglądała już całkiem inaczej. Od pół roku nie dostała okresu. Trzymała to dla siebie, nie mówiła na głos słowa na „m”, ale coś w niej umarło.

A ta kolacja była kroplą, która przepełniła jej czarę goryczy. O północy, siedząc na podłodze w łazience, po tym, jak zwymiotowała całe to wino i ulubione ciasto Bolka, kupione w najlepszej cukierni w mieście, doszła do dwóch istotnych wniosków. Po pierwsze – wino i bita śmietana to fatalne połączenie. Po drugie – to już koniec. Stać ją na lepszy los. Nie może tkwić w tym zawieszeniu kolejnych dziesięć lat. Zasłużyła na więcej, niż Bolek kiedykolwiek był gotów jej dać.

Oddała mu wszystko. Szansę na dzieci i normalny związek. Nawet cholernego kota nie mogła mieć, bo Bolek nie znosił kotów. On był gdzieś tam, z żoną i rodziną, a ona siedziała całe dni sama w mieszkaniu, czekając na te kradzione godziny. I zrobiło jej się żal samej siebie, ale też rosła w niej złość.

Pomyślała wtedy, że gdyby teraz przyszedł, z kwiatami i pięknymi słówkami, wyrzuciłaby go za drzwi! Może, żeby odnaleźć godność,

musiała upaść na dno?

Nie dotarła tej nocy do łóżka. Obudziła się rano zmarznięta i obolała na piankowym dywaniku łazienkowym. Głowa łupała ją jak nigdy w życiu. Zazwyczaj nie piła wiele, więc z kacem też radziła sobie dotąd ledwie kilka razy. A jednak, zanim oprzytomniała na dobre, sprawdziła ekran komórki – może przegapiła próbę połączenia albo SMS. Kiedy dotarło do niej, co właśnie zrobiła, przypomniała sobie głośno postanowienie z ubiegłej nocy: KONIEC Z BOLKIEM GARSTKĄ! Miarka się przebrała. Może i przepadła jej szansa na dziecko, ale wciąż była atrakcyjna, mogła znaleźć mężczyznę, dla którego będzie kimś więcej niż brudnym sekretem.

Weszła pod prysznic, by usunąć z ciała ślady poprzedniej nocy. Czuliła się tak, jakby woda zabierała całe jej nieszczęście i ten związek bez przyszłości spływał z mydlinami do ścieków. Po filiżance czarnej, gorzkiej kawy wrócił jej animusz. Skoro powiedziała A, czas powiedzieć B.

Zrobiła się na bóstwo. Założyła sukienkę w kolorze czerwonego wina, w której wyglądała młodziej i szczuplej, kozaki na koturnie i niedzielny kremowy płaszcz. Niech wie, co traci, kiedy mu to powie.

Nakręcała się, idąc do domu Bolka. Wybrała trasę Bulwarem Portowym, bo miała nadzieję, że zastanie go przy kutrze i uniknie spotkania z Marią. Ależ mu wygarnie! Może go nawet spoliczkuje za wczorajsze upokorzenie. I za nic będzie mieć dyskrecję. To już nie jej problem!

– Słyszałaś? – zagadnęła ją stara Stefaniakowa, zaledwie pięćdziesiąt metrów od miejsca, gdzie zwykle cumował Bolek.

– Co dokładnie? – zapytała rozkojarzona Szyszka.

– Klasyczna historia, wypłynęło dwóch, wrócił jeden, Bałtyk pobrał ofiarę. Bolek Garstka jest zaginiony. Mówią, że trup – powiedziała Stefaniakowa głosem drżącym od emocji.

Szyszka stała przed nią oniemiała. Nogi się pod nią ugięły. Klapnęła na ławkę całkiem bez wdzięku. Gapiała się w granatowozielony nurt Słupi i próbowała przyswoić to, co powiedziała Stefaniakowa.

– Niemożliwe – wyszeptała.

– A jednak. Wypłynęli wieczorem, nad ranem Alojz wrócił sam. Mówi, że Bolek poszedł na dno, jak kamień, i nie zdołał go wyłowić.

Stefaniakowa mówiła coś jeszcze, ale Szyszka nie słyszała. Jej pamięć natarczywie przypominała wszystkie koszmarnie rzeczy, jakie myślała o Bolku wczoraj i dziś. Mówiła, że to koniec, to proszę bardzo, jest koniec. Teraz już nie mogła zmienić zdania... Wyrzuty sumienia i bezwzględne poczucie straty zalały ją gorzką falą, aż znów zrobiło jej się niedobrze. Musiała pochylić głowę i objąć ciasno brzuch, żeby nie zwymiotować na oczach Stefaniakowej.

Wróciła do domu zdruzgotana. Po długim wahaniu zadzwoniła na komórkę Bolka, a potem, gdy nie odpowiadał, na jego domowy telefon stacjonarny. Bez rezultatu.

Pozostało jej słuchanie plotek. Wyłącznie dlatego w kolejnych dniach chodziła do pracy, otwierała zakład – wiedziała, że klientki przyjdą nie tylko z rozdwojonymi końcówkami, ale też z najnowszymi informacjami. Słuchała o śledztwie, szybko zamkniętym. I nic, ale to nic nie trzymało się kupy w oficjalnie przyjętej wersji. Czemu Bolek miałby wtedy wypływać? Przecież rozmawiali jeszcze kilka godzin wcześniej, owszem, mówił, że właśnie to powie żonie, ale to miało być tylko alibi. Co się zmieniło? Coś było nie tak i umacniała się w tym przekonaniu z każdym dniem.

Nie mogła się skoncentrować. Wyrzuty sumienia odebrały jej apetyt. Bolek zaczął jej się śnić. Co noc. Wiedział, że chciała z nim zerwać.

– Widzisz, dlatego morze mnie zabrało! – mówił do niej z wyrzutem.

Czasami w snach oglądała go na dnie morza, wyciągał do niej ręce i wołał ją po imieniu. Budziła się zmarznięta i przerażona.

Musiała poznać prawdę!

Poszła do Alojza, w końcu był naocznym świadkiem. Gdy jej powiedział, że to Maria zabiła Bolka, nie od razu uwierzyła... Tyle że wszystko pasowało.

I zdejmowało z niej poczucie winy. Mogła to teraz przyznać.

Owszem, to słowa Alojza pchnęły ją ku całej tej szalonej walce o sprawiedliwość dla Bolka, której poświęciła prawie dwa lata, ale czuła, że robi to z miłości, nie z poczucia winy. To Maria była wszystkiemu winna.

Teraz, siedząc w ciemnym pokoju w domu na Uroczysku, musiała zadać sobie pytanie: czy Alojz był tak dobrym kłamcą, czy ona aż tak chciała mu uwierzyć?

Na samą myśl, że płaciła mu, spędzała z nim czas na knuciu, gdy najpewniej to on...

Miała być niczym Temida, bogini sprawiedliwości, ale bez przepaski na oczach! Karmił ją tą historią po kawałku, pozwalał, by rozpałała się w niej żądza zemsty... Chryste Panie. Dała się zmanipulować jak pierwsza lepsza podfruwajka. Drugi raz.

Znów ją zemdlilo.

*

Maria nie mogła się przemóc, żeby choć usiąść na łóżku, na którym wcześniej leżały zwłoki Mundka, siedziała więc na ławce pod oknem, zapatrzona w białe wiry za szybą.

Kiedy Marek pozwolił wszystkim się rozejść do pokojów, Maria odruchowo wróciła do swojego. Gdy dotarło do niej, że Aniela

i Straszewicz są w środku, ukryła się w łazience i poczekała, aż wyjdą. Gdy wreszcie mogła wejść, poczuła ulgę, ale ta trwała tylko chwilę. Na myśl, że miałyby tu spędzić noc, przechodziły ją ciarki. I jeszcze ten garnitur Bolka w szafie... Teraz już wiedziała, że to Szyszka musiała go przynieść. Głupia kobieta! Mimo to Marii było jej żal. Potrafiła znaleźć w sobie współczucie dla złamanego serca tamtej i oczywistego rozstroju nerwowego, które napędzały jej głupie decyzje.

Nie potrafiła myśleć o Bolku w kategoriach mężczyzny do romansowania, do zakochania. Owszem, zakochała się w nim, mając te osiemnaście lat, ale szybko zabił w niej tę miłość. Ciepłe uczucia wywietrzały. Nie została nawet sympatia. Dziwnie było usłyszeć, że inna kobieta widziała w nim niemal księcia z bajki. Szaleństwo.

Wszystko się wydało. Ciągłe nie mogła tego przyswoić. Marek, Monika, Madzia – wszyscy jej bliscy wiedzieli. Na dodatek przeczuwała, że najgorsze dopiero przed nią. Nie chodziło o sierżanta sztabowego Straszewicza, który przecież nie zostawi tego w takim stanie, nie powie: „A teraz wszyscy wracajmy do domu, jakby ten wieczór nigdy się nie wydarzył”. Wiedziała, że wisi nad nią przynajmniej jedna bardzo nieprzyjemna rozmowa, i była niemal pewna, że wszystko się jej rozsypie jak domek z kart. Madzia wyjedzie, Marek... Z pewnością nie będzie chciał mieć z nią nic wspólnego. Nie był nawet w stanie patrzeć jej w oczy, kiedy skończyli na dole, w jadalni...

Więc czekała. Zawsze wiedziała, że przyjdzie taki moment, kiedy los wystawi jej rachunek za grzechy. Na swój sposób czuła ulgę, że to nadeszło. Nie miała już siły tego ciągnąć.

Skuliła się w sobie. Czemu nagle zrobiło jej się tak strasznie zimno?

Za jej plecami rozległo się pukanie do drzwi. Odwróciła się. Zanim zawołała: „Proszę!”, w uchylonych drzwiach ukazała się potargana głowa Anieli.

– No przecież tu nie zostaniesz, z tymi trupimi fluidami w powietrzu. A przy okazji: Straszewicz już wie o Mundku. Chodź do mnie – wyrzuciła na jednym wdechu.

Maria patrzyła na nią zaskoczona, bo kiedy usłyszała pukanie, wyobraźnia podsuwała jej zgoła inne obrazy.

– No chodź, nie zostawię cię tu samej, a wołałabym nie nocować w tym pokoju. Zmieścimy się u mnie, przynajmniej nie będzie nas nękał duch Mundka. Dość już za życia chłop napsuł ludziom krwi.

Może jednak nie jestem taka całkiem sama? – pomyślała Maria.

*

Młode Garstki ulokowały się w pokoju, który przydzielono Markowi i Straszewiczowi.

– Żaden z nas nie zamierza się dziś kłaść, za to wam się przyda trochę

odpoczynku – powiedział Marek, wprowadzając je do środka. – W torbie mam ciepłą piżamę i T-shirt na zmianę, więc możecie się przebrać i wygrzać pod kołdrami, żebyście tej przygody nie przypląciły grypą czy zapaleniem płuc – dodał.

Magda wydawała się wciąż za bardzo nakręcona adrenaliną, ale po córce widział, że czuje się nie najlepiej: miała lekko szkliste oczy i zaczerwieniony nos, poza tym wydawała się przygaszona i oszołomiona.

– Co grozi babci? – zapytała Magda.

– W tym momencie absolutnie nic. Macie dwóch gliniarzy na czatach, gdyby Alojzowi czy Szyszce wpadło coś głupiego do głowy.

– A później? Gdy stąd wyjdziemy? – dopytywała Magda.

Wzruszył ramionami.

– Wszystko zależy od tego, co znajdziemy rano. I od sekcji, jeżeli faktycznie odnajdziemy szczątki – wyjaśnił.

Magda westchnęła z frustracją. Najwyraźniej wcześniej czy później zawsze musiały wypłynąć jakieś zwłoki. Jeśli Ustka nie serwowała jej świeżego trupa, miała dla niej w zanadrzu denata sprzed lat. Nie pamiętała dziadka zbyt dobrze, choć kiedy wyjechała z Ustki po śmierci taty, miała już dwanaście lat. Nawet jako dzieciak wiedziała, że trzymał się z daleka i nie przepadał za hałaśliwą, dziecięcą obecnością.

Na razie nie była pewna, jak się czuje z tym, że potencjalnie został zamordowany. Ciągle też przetrawiała wiadomość, że był zdradzającym babcię brutalem. Z pewnością nie polubiłaby go jako człowieka, ale nie zasługiwał na taką śmierć.

Monika położyła się na łóżku i westchnęła ciężko. Głowa jej pękała i miała lekkie mdłości. Choć to był pikus w porównaniu ze skurczami, które poznałaby zawsze. Kiedy zostały same w pokoju, powiedziała do kuzynki:

– Wygląda na to, że test mi już niepotrzebny. Cholernie boli mnie brzuch. Wiele bym dała za termofor i tabletkę no-spy.

– Czyli są jakieś pozytywy tego wieczoru – odpowiedziała Magda pocieszająco i wyrzuciła na łóżko zawartość torebki.

Między portfelem, bezużyteczną komórką, kablem ładowarki, notesami, piórnikiem, kosmetyczką i milionem paragonów, których z jakiegoś powodu nie wyrzucała na bieżąco, w końcu znalazła to, czego szukała. Poddała kuzynce blaszane pudełeczko, w którym kiedyś były miętusy, a które od lat, pomalowane czerwonym lakierem do paznokci, z perłowobiałym krzyżykiem na wieczku, zawierało zestaw awaryjny: dwa tampony, kapsułki z lekiem przeciwbólowym, blister leku o działaniu rozkurczowym i dwie pakowane pojedynczo chusteczki nawilżane. Skompletowała go Tamara, kiedy Magda, ledwie dwa miesiące po tym, jak trafiła pod jej opiekę, dostała pierwszy okres.

Oczywiście w szkole. Była przerażona, pewna, że umiera. Tata odkładał rozmowę o miesięczce „na później”, więc trafiło ją z zaskoczenia. Ciotka Tamara wyjaśniła jej wszystko, na obiad zarządziła ulubione lody Magdy i podarowała jej to właśnie pudełeczko. Magda zawsze miała je w torebce, nawet jeśli teraz dużo rzadziej zdarzało się, by okres ją zaskoczył.

Podala Monice zestaw ratunkowy i powiedziała:

– Brygada RR zawsze gotowa.

Monika parsknęła śmiechem i skrzywiła się, bo echo własnego śmiechu rozsadzało jej czaszkę.

Kiedy wróciła z łazienki, opadła ciężko na materac obok Magdy i powiedziała:

– Dziwnie się z tym czuję.

– Z czym? – zapytała Magda, bo wieczór obfitował w wydarzenia, z którymi ona czuła się co najmniej dziwnie.

– Z tą ulgą, że to nie ciąża. Z tym, że cieszę się, że mam ten cholerny okres i to jeszcze nie teraz...

– Nie planowałaś na razie dziecka, więc to chyba naturalne?

– Nie wiem, czy powinnam powiedzieć o tym Marcinowi. Wiesz, o tym, jak bardzo się bałam samej myśli, że mogę być w ciąży. I o tej uldze, jakby mi kamień z serca spadł, kiedy poczułam ten znajomy ból brzucha.

Magda milczała. Nie była pewna, co powiedzieć poza tym, że doskonale to rozumiała, bo gdyby to ona musiała robić teraz test, chodziłaby ze strachu po ścianach... Tyle że ona miała chłopaka, nie męża, to chyba coś zmieniało, choć nie była pewna, co dokładnie. Z Arturem do związku podchodzili na luzie, spotykali się, kiedy mieli dla siebie chwilę, i żadne raczej nie planowało nic poważniejszego w najbliższym czasie. Nie czułaby się chyba nawet zobowiązana, by go poinformować w analogicznej sytuacji, gdyby alarm okazał się fałszywy. Po prostu obsesyjnie pilnowałyby antykoncepcji przy kolejnych razach.

Tymczasem Monika sama sobie odpowiedziała:

– Muszę z nim o tym porozmawiać. Bo to jest ważne. To, jak bardzo nie jestem gotowa.

– Przyjdzie czas, gdy będziecie tego chcieli i gdy okres będzie ci się spóźniał, oboje będziecie czekać w podekscytowaniu na dwie kreski. Nie ma w tym nic złego, że nie jesteś na to gotowa – odparła Magda.

– Też tak myślę – przyznała Monika. – Nieustannie muszę sobie przypominać, że to ciągle jesteśmy my, ja i Marcin, że po ślubie nie zmieniliśmy się w statystyczną parę małżeńską, która powinna odhaczać kolejne punkty na liście powinności.

– Zawsze będziecie sobą. Gdybyś się zaczęła zmieniać w statystyczną żonę, dam ci znać – zapewniła Magda i przytuliła kuzynkę.

Gdy kilkanaście minut później Monika zasnęła, umęczona nadmiarem wrażeń, Magda przykryła ją dodatkowym kocem i wyslizgnęła się z pokoju.

Miała z babcią do pogadania.

*

Nie od razu ją znalazła. Pukała do drzwi jej pokoju, ale nikt nie odpowiadał. Gdy w końcu zaniepokojona zajrzała do środka, pokój okazał się pusty.

Uchyliły się drzwi do jednego z dalszych pokoi i wychyliła się z nich doktor Felicja Januszkiewicz.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Tak, tak myślę – odpowiedziała Magda, marszcząc brwi.

Zza kolejnych drzwi wyjrzała Aniela.

– Jeżeli szukasz babci, jest u mnie – powiedziała cicho.

Magda odetchnęła z ulgą.

– Zostawię was na chwilę – zaproponowała Aniela. – Mogę się wprosić do pani doktor? – zapytała.

Doktor Felicja uśmiechnęła się ironicznie.

– Chyba nie będzie mnie pani wypytywała o dziwną wysypkę? W końcu to wciąż przyjęcie, nawet jeśli najgorsze, na jakim byłam – odpowiedziała z rozbawieniem.

– Nic tak banalnego, same śmiertelnie poważne tematy – zapewniła Aniela. Miała wielką ochotę zapytać o rigor mortis.

Po rozmowie ze Straszewiczem nie dawała jej spokoju myśl, że Maria musi mieć alibi na czas zgonu Mundka, zatem dobrze byłoby wiedzieć, kiedy dokładnie zmarł. Gdy podnosiły jego ciało z łóżka i ciągnęły do okna, był dosyć sztywny, ale jeszcze nie na amen. Pamiętała, że kiedy przygotowywano jej zmarłego męża do pogrzebu, wyłamano mu ramiona ze stawów, by założyć marynarkę – tymczasem takiego Mundka dałoby się jeszcze w miarę sprawnie ubrać.

– To zapraszam. Nie zniosłabym dziś banalnych przypadków – odparła Felicja, otwierając szeroko drzwi.

Magda weszła do pokoju Anieli, zastanawiając się, jak zacząć rozmowę. Myślała, że mają ją już za sobą, ale wyglądało na to, że babcia łatwo wpadała w koleiny złych nawyków. Magda usiadła na krawędzi łóżka, na którym Maria leżała skulona, przykryta kraciastym wełnianym kocem. Z zamkniętymi oczami mogła wyglądać, jakby spała, ale chwilę wcześniej Magda zauważyła, że babcia usztywniła się na dźwięk jej kroków.

– Dobrze się czujesz? – zapytała w końcu dziewczyna.

– Jasne. Wszystko dobrze – odpowiedziała Maria.

Magdę zabolalo serce, gdy usłyszała ten opanowany, sztuczny ton.

Dotarło do niej, że babcia znów to robi – odgradza się od niej i innych pozorem spokoju. Tylko tym razem Magda nie zamierzała jej na to pozwolić.

– Wiesz co, babciu... Jesteś jak latarnia morska. Ściągasz nas wszystkich do bezpiecznej przystani. Ptaszyny, zagubione wnuczki, nomadki bez korzeni, które szukają zaczepienia w tym burzliwym świecie... Pozwalasz nam omijać rafy i wiry, nie dajesz się zgubić w ciemności ani zapomnieć, że nie jesteśmy same, bo ktoś się o nas troszczy. Jesteśmy dla kogoś na tyle ważne, żeby zapalał dla nas światło na samotnej skale daleko w morzu. I przez większość czasu żadna z nas nawet nie zauważa, jak samotna jest latarniczka. Kto dla niej zapali światło, by trafiła do portu? W bezpieczne, ciepłe miejsce z dala od szalejącego żywiołu? Czy zamierzasz już na zawsze zostać na tej zimnej, odległej skale?

Maria otworzyła oczy. Odchrząknęła.

– Madziu, wszystko jest dobrze, rano wrócimy do domu i zapomnimy o tej nocy... – zaczęła, ale Magda położyła dłoń na jej ramieniu i powiedziała:

– Babciu, chcę, żebyś wiedziała, że stoimy na przystani z latarniami w dłoniach. Chcemy, byś czuła, że możesz opuścić swój posterunek i być z nami. Uczciwie, szczerze, ze słabościami i strachem. Z przykrościami z przeszłości i nadzieją na jutro. Kocham cię i nie chcę, żebyś była sama w tej latarni, przekonana, że potrzebujemy tylko twojej siły, ale nie poradzimy sobie z twoją słabością. Pomyśl o tym.

– To nie jest takie proste – wyszeptała Maria.

– Nigdy nie jest. Nic, co naprawdę ważne, nie jest proste – odparła Magda.

Wyszła, czując, że babcia woli teraz zostać sama. Serce jej się kroilo, ale niektóre rzeczy po prostu musiały przepracować, by babcia, jeśli znów wpadnie w kłopoty (a Magda nie wykluczała takiej ewentualności – w końcu były spokrewnione), nie uznała swoim zwyczajem, że najlepiej ukryć to przed resztą rodziny. Czas, by przyswoiła lekcję, którą Magda dostała dawno temu od ciotki Tamary: jesteśmy w tym razem, niezależnie, czy „TO” jest czymś miłym, czy wręcz przeciwnie.

*

Maria nie mogła zasnąć. W ciemności słyszała miarowy oddech Anieli.

Myślała o tym, co powiedziała Magda. I o całym tym upiornym wieczorze. W głowie kłębiło jej się od obrazów, a w sercu od poplątanych emocji. Czuła się, jakby miała gorączkę. Nie chciała się wiercić, żeby nie zbudzić Anieli, ale niepokój wprost ją rozsadzał.

Wyślizgnęła się spod koca i na palcach, z butami w dłoni, wyszła na

korytarz, po czym skierowała się do łazienki. Nie zapalała światła – przez okienko wpadło go wystarczająco dużo. Odkręciła zimną wodę i obmywała twarz, aż skóra przestała ją palić żywym ogniem. Trzymała dłonie pod zimnym strumieniem jeszcze dłuższą chwilę, bo czuła, że ją to uspokaja. A Bóg jej świadkiem, że potrzebowała spokoju.

Kiedy nagle rozbłysło światło i ktoś nacisnął klamkę, odruchowo krzyknęła.

Szyszka zamrugnęła zaskoczona w progu łazienki.

– Przepraszam, ja... nie wiedziałam... – wymamrotała i wbiła spojrzenie w podłogę.

Maria trzymała się kurczowo krawędzi umywalki, ciężko oddychając. Pokręciła głową.

– Nie szkodzi. Wszystko działa na nerwy tej koszmarnej nocy – odpowiedziała, kiedy wreszcie serce przestało jej galopować w piersi jak spłoszony żreback.

– Ja... – Szyszka urwała. – Ja... przepraszam cię za ten wieczór. Naprawdę myślałam... wierzyłam... Chciałam tylko, żeby jego śmierć była pomszczona.

– Wiem – odpowiedziała Maria cicho.

– Nie proszę cię o wybaczenie, wiem, że nie zasługuję na nie i nie mam prawa go oczekiwać, ale jest mi naprawdę przykro. I nie wiedziałam, że porwie twoje wnuczki, przysięgam, nigdy bym mu na to nie pozwoliła! – zapewniła żarliwie.

– Alojz nie należy do ludzi, których da się kontrolować – przyznała Maria niechętnie. – On i Bolek mieli jedną wspólną cechę: zawsze potrafili wyczuć czyjś słaby punkt. I potrafili manipulować drugą osobą. Przykro mi, ale Bolek nie był dobrym człowiekiem. I Alojz też nie jest. Zawsze obchodził go wyłącznie własny interes.

– Ja myślę... że to Alojz go zabił – wyszeptała Szyszka. – A ja, nieświadomie, pomagałam mu w ukrywaniu tego. Nie poszłam od razu na policję, tylko wymyśliłam ten absurdalny plan...

– Miłość robi z ludzi idiotów – powiedziała Maria sentencjonalnie.

Szyszka nagle zaczęła szlochać. Jak gdyby wszystkie te łzy czekały, aż puści tama. Maria stała sztywno przy umywalce. Ta kobieta swoimi anonimami zmieniła prawie dwa lata jej życia w piekło. Ten wieczór był zaledwie finałem tej kampanii. Nie czuła już złości. Współczuła Zofii, ale to nie znaczyło, że zamierzała ją pocieszać i tulić w objęciach. Nie była świętą.

Szyszka powoli się uspokajała, znów mogła oddychać. Weszła głębiej do łazienki i przymknęła drzwi. Zdjęła ręcznik z wieszaka i wytarła nim twarz. Na białej frotowej tkaninie zostały rozmazane ślady makijażu.

– Muszę wyglądać okropnie – jęknęła, jakby to wciąż było ważne.

Maria milczała.

– Wiesz, ja z nim chciałam zerwać, w dniu, kiedy zginął... Nie przyszedł na kolację, byłam wściekła, myślałam, że mnie wystawił. Miarka się przebrała. Rano szłam do was, żeby mu o tym powiedzieć – wyznała Szyszka posępnie.

– Dobrze, że tego nie zrobiłaś. – Maria poczuła dziwny spokój, kiedy weszła w dobrze znaną sobie rolę. – Mężczyźni tacy jak Bolek nie reagują dobrze na odrzucenie. Mają chorą tendencję do krzywdzenia kobiet, które chcą odejść. Dlatego niekiedy lepiej unikać konfrontacji, iść na policję, schronić się w bezpiecznym miejscu. Nasze życie i zdrowie są ważniejsze od słów, jakie czasem bardzo chcemy powiedzieć.

– Może. Nie wiem. Może gdyby otworzył mi drzwi, wcale nie umiałabym tego powiedzieć. A on tylko wkurzyłby się, że ryzykuję, że się wyda przed tobą.

– On się kompletnie nie przejmował moimi uczuciami. To nie dlatego miałaś nie przychodzić. To była kwestia jego wygod, nie troska o moje uczucia czy potencjalny gniew.

Szyszka milczała. Wciąż stała z pochyloną głową.

– Dobrze, że to wyszło teraz – powiedziała nagle Maria. – Za parę miesięcy może dałabyś mi radę wmówić, że zadźgałam Bolka i zapłaciłam Alojzowi za ukrycie ciała. Może nie miałabym już wystarczająco sprawnej głowy, by pamiętać, jak było naprawdę.

– Czemu?

– Demencja, tak myślę... – przyznała, nie całkiem rozumiejąc, czemu ze wszystkich ludzi, których ma wokół siebie, zdradza ten sekret właśnie Szyszce. Może musiała powiedzieć to komuś, z kim nigdy więcej nie zamierzała się spotkać? Niczym nieznanym w pociągu? – Robię dziwne rzeczy, potem tego nie pamiętam... Albo mam demencję, albo ktoś co wieczór włamuje mi się do domu, żeby otworzyć okna i nawpuszczać śniegu czy wynieść jakieś drobiazgi.

Szyszka zbladła i aż przysiadła na krawędzi wanny.

– Od dawna? Czy w ostatnich dniach? – zapytała drżącym głosem.

Maria wzruszyła ramionami.

– Kilka dni. Kiedyś musiało się zacząć.

Szyszka zaklęła pod nosem.

– Alojz włamał się do twojego domu. Poprosiłam go o to – powiedziała cicho.

– Dlaczego?

Szyszka westchnęła ciężko.

– By wykradł zdjęcia. Nie zauważyłaś?

Maria pokręciła głową, a Szyszka wstała, otworzyła drzwi i machnęła ręką w stronę ścian korytarza.

Tu, jak na parterze, od lamperii prawie do sufitu pokrywały je liczne ramki ze zdjęciami, ale w całym tym zamęcie Maria nie zdążyła im się

przyjrzeć.

Szyszka poprowadziła ją korytarzem do fotografii zawieszonych dokładnie na wprost pokoju, w którym ulokowała Marię. W białych i czarnych ramkach wisiały zdjęcia Garstków. Ślubne, z chrzcin Marianka i komunii Mareczka, Bolek przy pierwszym samochodzie. Beżowa syrenka na zdjęciu wyglądała na jasnoszarą, podobnie wściekle żółta koszulka non iron, ale Maria doskonale pamiętała tamten dzień, radość Bolka i chłopców. Bolek przy odmalowanym kutrze. Bolek z chłopcami reperujący sieci. Bolek przy choince...

– Wydawało mi się, że to będzie dobra kropka nad i. Chciałam pobudzić twoje sumienie. Myślałam, że się przyznasz – wyjaśniła Szyszka zawstydzona. – Alojz zabrał twoje albumy ze zdjęciami.

– Rzadko je oglądam, nie zauważyłam. Przyglądałam się fotografiom na dole, ale tu nawet nie zwróciłam uwagi – przyznała Maria.

– Kolejna dziura w moim planie. Choć mniejsza niż współpraca z Alojzem.

– A Mundek? To też twoja sprawka? – zapytała Maria pod wpływem impulsu.

– Mundek? Zapłaciłam mu, żeby pozwolił nam wykorzystać ten dom. Jest tu stróżem. Ale nie chciał mieć nic wspólnego z tym, co się tu wydarzy, więc znikł, zanim przyjechali pierwsi goście. Dlatego musiałam załatwić gospodynię na czas kolacji – wyjaśniła Szyszka, marszcząc czoło.

Maria doszła do wniosku, że kochanka jej męża nie wiedziała o trupie Mundka pod pierzyną – w innym wypadku przyznałaby się do zabójstwa, na fali świeżych wyrzutów sumienia.

– Może trzeba było po prostu napisać książkę z kluczem? Na papierze chyba łatwiej kontrolować ludzi – zauważyła nieco złośliwie.

Szyszka uśmiechnęła się blado.

– Przepraszam cię, Mario. Naprawdę.

Maria tylko kiwnęła głową. Nie powiedziała Szyszce, jak dużą ulgę poczuła, gdy dowiedziała się, że prawdopodobnie jednak nie ma demencji.

– Wszystko w porządku? – usłyszała za sobą zaniepokojony głos syna.

Odwróciła się. Marek obrzucał Szyszkę niechętnym spojrzeniem.

– O ile to możliwe w tych okolicznościach – odparła. Wyminęła ich oboje i wróciła do pokoju Anieli.

Wślizgnęła się pod koc. Czuła się tak potwornie zmęczona. Może zdoła zasnąć choć na kwadrans? A rano wszystko się wyjaśni, pomyślała, wtulając się w poduszkę.

ROZDZIAŁ 24

Burza skończyła się przed piątą rano. Marek nie zmrużył oka. Z tego, co wiedział, wszyscy zgromadzeni w tym domu dożyli świtu. Jeśli o niego chodziło, na nic więcej nie mógł mieć nadziei. Krążył przez całą noc po korytarzu i schodach, nasłuchując. Niemal spodziewał się, że nagle nocną ciszę przeszyje krzyk. Wyobraźnia działała mu na podwyższonych obrotach. Burza nie pomagała – wiatr wył potępieńczo, stary dom skrzypiał i trzeszczał, wydawało mu się, że słyszy kroki i szepty, gałęzie drapały w szyby niczym dusze czyścicowe próbujące się dostać do środka. Nie wiedział, czy robiło mu się zimno dlatego, że stygły kaloryfery, czy ulegał sugestii chwili.

Wciąż nasuwały mu się obrazy z przeszłości. Teraz, gdy już dokładnie wiedział, co ukrywali matka i ojciec, inaczej na nie patrzył. Nagle rozumiał. Jakby dostał klucz do szyfru. I dotarło do niego, jak wiele rzeczy przegapił. Jak wiele ich wyparł.

Wraz z cichnącą burzą wyciszała się też burza w jego głowie. Szykował się na to, co musiał zrobić. Cokolwiek się okaże, wiedział, że nie będzie przyjemnie.

Najpierw ucichły grzmoty, potem uspokoił się wiatr. Gdy umilkł odległy szum morza i ustał dygot szyb w oknie, Marek z ulgą stwierdził, że sztorm się uspokoił. Nad ranem śnieżyca przeszła w lekkie próśnienie. A potem zaczęło się rozjaśniać, miękkie światło zalewało śnieżny krajobraz. Widok jak ze świątecznej pocztówki.

Usłyszał za sobą kroki i po chwili dobiegł go głos Straszewicza:

– Gdyby nie to całe wariactwo, można by pomyśleć, że zimowa sielanka.

– Jak chcesz to zrobić? – zapytał Marek spokojnie. – Ty pójdziesz po pomoc czy ja?

– Może najpierw sprawdzimy, czy w tej historii jest choć ziarno prawdy? – zaproponował starszy stażem policjant. – Myślałem nad tym pół nocy. Oficjalnie mamy słowo Szyszki, że widziała zwłoki. Ale czy jest wiarygodna? Może jej się to tylko przyśniło, może jest niepoczytalna? Cała ta historia jest tak szalona, że równie dobrze może być jakimś urojeniem. To, co przez lata robiła twojej matce, też nie jest normalne i nie wiem, czy podpada pod stalking, czy jakieś zaburzenia. Może zamiast ściągać tu cały komisariat i wszystkich techników z okolicy, sprawdzimy, czy jest tu cokolwiek do zbadania? Jeśli nie ma, nie będziemy w twoje rodzinne sprawy wciągali obcych. Pasuje ci to?

Marek dopiero teraz sobie uświadomił, że wstrzymywał oddech, czekając na decyzję Straszewicza. Nadzieja, że wszystko, co mówiła

Szyszka, było tylko bajdurzeniem wariatki, odżyła.

*

Marek i Straszewicz naiwnie zakładali, że tylko we dwóch zdołają się rozejrzeć za szczątkami Bolka i zwłokami Mundka, kiedy zrobi się nieco jaśniej, ale oczywiście to nie mogło być takie proste. Kilka minut po piątej usłyszeli kroki na schodach. Pierwsze pojawiły się Maria i Aniela. Parę minut później swój pokój opuściły Magda i Monika, a Zofia Szyszka nie zostawała w tyle. Wszystkie pięć kobiet zgromadziło się w jadalni i najwyraźniej zgadzało się tylko co do jednego:

– Oczywiście, że musimy iść z wami! To jest nasza sprawa!

Na te słowa Marii pozostałe poważnie pokiwały głowami. Straszewicz niemal spodziewał się, że za chwilę zaczną klaskać albo rozwiną sztandary.

– Przecież ja wiem, gdzie szukać szczątków – dodała Szyszka racjonalnie.

Marek spojrział wymownie na córkę i bratanicę, ale Magda tylko wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Na waszym miejscu nie nastawiałabym się na to, że zostaniemy w pokojach. Pójdziemy z wami albo za wami, wasz wybór. To jest za dobre, żeby to przegapić.

– Należy nam się udział w tej tajemnicy za obrażenia i szkody moralne – dodała Monika, robiąc smutną minę.

– Czy tylko wuj Anatol ma wyjebane, że gdzieś tu leżą szczątki jego brata? – zapytał Marek z irytacją.

– Książdz też nie wydaje się zaangażowany – dodała Aniela – a nasza lekarka śpi snem sprawiedliwej i nie sądzę, by interesowało ją przedzianie się przez śnieg.

– Garstka, szanuj zasoby energetyczne, i tak zrobią, co chcą – burknął Straszewicz, sprawdzając komórkę.

Miał nadzieję, że po wyłączeniu zagłuszacza i ustąpieniu burzy zasięg wróci, ale nic na to nie wskazywało. Zaczynał podejrzewać, że w tym zapomnianym przez Boga miejscu zwyczajnie nie ma zasięgu.

– Dobra, zbieramy się – zarządził.

*

Każdy krok na śniegu brzmiał prawie jak wystrzał w tym dziwnie cichym świecie po burzy. Śnieg otulał wszystko, zmiękczał krawędzie, iskrzył się w pierwszych promieniach słonecznych, jakby elfy przez pół nocy zasuwały z workiem brokatu. Powietrze miało zimową rześkość, ale nie powodowało uczucia odmrażania twarzy, bo wiatr całkowicie ustał.

Straszewicz szedł pierwszy. Nie zamierzał oddawać kontroli i pozycji przewodnika stada, bo miał niejasne wrażenie, że wtedy raz-dwa wylądują na jakiejś mieliźnie, bagnach czy torfowisku. Dosłownie lub metaforycznie. Ustalone poprzedniej nocy zwierzchnictwo zapewniało mu jakiś posłuch i dawało nadzieję, że unikną kolejnej awantury. Znalazł w piwnicy szeroką drewnianą łopatę z krawędzią obitą blachą i przedzierał się przez śnieg niczym pług, ciesząc się z widocznych rezultatów. Posapywał z wysiłku, odrzucając na boki grube, ciężkie porcje białego przekleństwa. Nie miał w sobie za grosz romantyka, który by się zachwycił zimowym krajobrazem. Był praktycznym sceptykiem. Preferował klimat umiarkowany w jego szczytowych osiągnięciach – złotej polskiej jesieni i rozbuchanej wiosny. Zabawy na śniegu wspominał przyjemnie, ale oddawał się im lata temu, gdy chodził z kilkuletnią córką na sanki. Dziś przedzierał się do potencjalnych zwłok. Jeśli je znajdzie, okolica stanie się miejscem zbrodni, a on spędzi wiele godzin na mrozie. Jeżeli nie znajdzie – przedziera się przez to śnieżne cholerstwo na próżno, robiąc za służby porządkowe w opustoszałym ośrodku wypoczynkowym.

– Pamięta pani drogę do garażu na łódzie? – zapytał Szyszkę, gdy doszli do rozwidlenia ścieżek.

– Ja... – zawahała się – szłam tam od strony plaży, nie wchodziliśmy wtedy na teren ośrodka...

– Ja znam drogę – wtrąciła Monika. – Byłam tam jako dziecko – dodała, widząc zaskoczoną minę swojego taty.

Nie zamierzała mu wyjaśniać, że w wieku piętnastu lat pierwszy i ostatni raz paliła w tym garażu trawkę, ulubioną używkę wakacyjnego towarzystwa, które wtedy zaprosiło ją i Marcina na imprezkę do ośrodka. Garaż był bezpieczną kryjówką przed rodzicami, miejscem, gdzie nastoletnia dzieciarnia letników zrobiła sobie imprezownię.

W pełnej napięcia ciszy dotarli do ogrodzenia otaczającego ośrodek. Straszewicz odgarnął śnieg, żeby dało się otworzyć furtkę.

– Ta ścieżka miejscami robi się stroma, uważajcie – ostrzegła Monika. – Schodzi zakosami do samej plaży.

– Dziwne miejsce na garaż na łódzie – zauważyła Magda. – Pchali je na kółkach? To przecież kawałek do morza.

– Tu była rzeczka, nazywała się chyba Czarna. Kiedyś podobno dało się nią spłynąć łodzią. Zostało po niej coś w rodzaju bagnistego grzęzawiska i strumień – przypomniała sobie Monika.

Schodzili, mijając drzewa i gęste skupiska krzewów, i podtrzymywali się gałęzi, by się nie poślizgnąć. Szyszka jako jedyna miała kozaki na koturnie, więc sprawiało jej to więcej kłopotu niż pozostałym, ale się nie skarżyła. Czuła napięcie w każdej komórce. Po rozmowie z Marią nie spała do rana. W pewnym momencie zaczęła się zastanawiać, czy sobie

tego wszystkiego nie wymyśliła. Może tylko jej się przyśniło, że widziała tam ciało Bolka, z ranami, w swetrze, który dostał od niej, całym pokrwawionym i poszarpanym...? Albo gorzej – Alojz przeniósł zwłoki gdzie indziej, a teraz ona wyjdzie na idiotkę, która opowiada banialuki i prześladuje żonę byłego kochanka. Tak, dotarło do niej, że to właśnie robiła, i nie czuła się z tym dobrze. Miała być ramieniem sprawiedliwości, Temidą, która nie ma zasłoniętych oczu i nie odwraca wzroku od zbrodni. Miała być w tej historii tą dobrą i ciążyło jej, że wyszło całkiem inaczej.

Kilka minut później, już w środku ukrytego we wzgórzu pomieszczenia na łodzie, uczestnicy ekipy poszukiwawczej przekonali się, że Szyszka nie kłamała.

Ostatnia łódź musiała tu stać ze trzydzieści lat wcześniej. Betonowa konstrukcja prawie całkowicie chowała się w zboczu, z zewnątrz widać było tylko szerokie i wysokie wejście. Z tyłu widniał tunel, w którym niegdyś mieścił się złożony maszt. Ściany pokrywał zielonkawy nalot, a teraz również gruba warstwa szronu. W pomieszczeniu wałało się trochę palet, poustawianych tak, jakby ktoś robił z nich tymczasowe meble – ławy i stół, ale też sterty części jakichś urządzeń, okryte starymi wojskowymi brezentami, które dociśnięto do podłoża kawałkami cegieł i betonowymi odłamkami.

Straszewicz nie widział nigdzie włącznika, wyciągnął więc z kieszeni klucze, przy których zamiast breloka nosił mocną ledową latareczkę. Omiótł nią całe pomieszczenie i zapytał:

– Dobra, to gdzie pani widziała ciało?

Szyszka wskazała prawy kąt. Nie chciała podchodzić. Wspomnienia tego dnia sprzed prawie dwóch lat, kiedy Alojz ją tu przyprowadził, uderzyły w nią jak kula armatnia. Jej oddech stał się płytki i przyspieszony. Nie wyczuwała już tamtego ohydneho zapachu. Wtedy było ciepło i zaczął się proces rozkładu... Później przez wiele miesięcy nie mogła przygotowywać surowego mięsa, sam zapach natychmiast przywoływał migawki z tego garażu, z tamtego nieznośnie upalnego dnia. Dziś nie było też much. Skrzywiła się na samo wspomnienie ich bzyczenia. Omal wtedy nie zwymiotowała, gdy tłusta mucha usiadła jej na wardze, a ona uświadomiła sobie, czym się ten owad żywił przez całe swoje życie...

Straszewicz bacznie ją obserwował. Nie umknęło jego uwadze, jak cicha dziś jest, dostrzegł też grymas obrzydzenia, z jakim zerkała w kąt garażu. Gdy podświadomie machnęła ręką koło twarzy, jakby odganiała muchy, był właściwie pewien, że nie kłamała.

Ciało znajdowało się dokładnie tam, gdzie pokazała. Ukryte za kilkoma luźno opartymi o ścianę, spuchniętymi od wilgoci płytami pilśniowymi i przegniłymi deskami, owinięte w grube płótno żaglowe,

jak gdyby przygotowane do morskiego pogrzebu. Straszewicz kucnął i zajął pod luźny kawałek płótna. Zobaczył kępki włosów otaczające czaszkę. Kości miały brązowy kolor, wciąż pokrywało je sporo zasuszonych tkanek. Bez dwóch zdań były to ludzkie szczątki.

Westchnął ciężko, prostując się.

– Dobra, wszyscy w tył zwrot – zarządził. – Teraz to już sprawa policji, a nie przedłużenie dziwacznej psychodramy, jaką w nocy zaserwowała nam pani Szyszka.

A kiedy żadna z kobiet się nie ruszyła, zmarszczył groźnie brwi i machając rękami, jakby przepędzał stadko kur, zawołał:

– Kysz, kysz, bo mi tu naniesiecie śladów! A wrażliwsze duszyczki będą mieć koszmary, co oczywiście będzie moją winą!

Więc wyszły. Aniela nie chciała denerwować Marii, bladej teraz jak prześcieradło, ale trochę żałowała, że nie mogła zobaczyć trupa. Ten Straszewicz to jednak nieużyte chłopisko, toż by mu nie ubyło, a Aniela ludzkich szczątków, leżących dwa lata w jaskini – no, prawie jaskini – nigdy nie widziała.

Szyszka szła mechanicznie, nie patrząc pod nogi, i kilka razy tylko refleks Moniki, która ją złapała za łokieć, uchronił ją przed upadkiem.

Marek też wyszedł, bo wiedział, że jeśli to szczątki jego ojca, zostanie wykluczony ze śledztwa. Objął ramieniem matkę, która wyglądała, jakby za chwilę miała zemdleć, i prowadził wszystkie uczestniczki ekipy poszukiwawczej z powrotem do domu. Musiał iść po pomoc, wezwać wsparcie, zgłosić znalezienie szczątków, dać znać ekipie technicznej...

– To nie ja – wyszeptała Maria.

Do Marka dotarło, że matka opacznie zinterpretowała jego milczenie, podenerwowanie i może zbyt mocny uścisk na jej ramieniu. Nawet przez puchowy rękaw płaszcza czuł jej drobniutkie kości.

– Cholera, mamusi, przecież wiem, że to nie ty, przez myśl mi nie przeszło! Po prostu mnie to wszystko... no wstrząsnęło mną. Szczerze, nie spodziewałem się odnaleźć zwłok taty. Bardziej prawdopodobne było, że się Szyszce przywidziało albo Alojz zrobił ją w bambuko, żeby naciągnąć na kasę. Nie spodziewałem się... Gdy chowaliśmy pustą trumnę, byłem pewien, że nigdy więcej nie zobaczę ojca. – Potrząsnął głową zmieszany.

– Teraz przyjedzie patolog? – zapytała Magda. – Właściwie chyba antropolog sądowy, skoro to już same kości. Mają w Słupsku antropologa sądowego czy będzie musiał przyjechać z Trójmiasta, czy jeszcze skądś dalej?

Marka lekko przytknęło. No tak, jego bratanica była specjalnym przypadkiem. Nie dałby głowy, że nie postanowi złożyć podania do szkoły policyjnej. Biedactwo, obciążone genetycznie przez ojca i wuja – nie tylko bakcylem zbrodni, ale też absolutnym brakiem wyczucia, czego

lepiej nie mówić przy Marii. Ta westchnęła i pokiwała głową, jakby tego właśnie mogła się spodziewać po córce Mariana.

– Wszystko dokładnie zbadają. Dopiero znając wyniki oględzin, będziemy wiedzieli, co się tam właściwie wydarzyło – odpowiedział wymijająco.

– Nie ma zbyt wielu możliwości, prawda? Przecież dziadek nie popełnił samobójstwa, a wcześniej nie owinął się całunem, nie? – kontynuowała niezrażona dziewczyna.

Monika puściła łokieć Szyszki i objęła kuzynkę, szepcząc jej do ucha:

– Pani Aniela jest tą rozmową zachwycona, ale babcia zaraz zejdzie na zawał.

Magda zacisnęła usta i już nic nie powiedziała, choć głowę wypełniała jej setka pytań.

– Teraz dopiero się zacznie – powiedziała półgłosem Szyszka.

Magda nie była pewna, czy mówiła do nich, czy do siebie, ale na jej miejscu poszukałaby dobrego prawnika, bo siedziała w tym bagnie po czubek nosa.

*

Straszewicz ponownie rozejrzał się po garażu. Nie spodziewał się znaleźć pamiętnika sprawcy czy podpisanego przyznania się do winy, ale trzydzieści lat pracy w policji nauczyło go, że czasami pierwsze minuty na miejscu zbrodni są kluczowe, zanim przyjedzie ekipa, zaczną błyskać flesze i pojawi się taśma oddzielająca to miejsce od reszty świata. To okazja, aby złapać coś z atmosfery czy charakteru zbrodni, a tym samym – sprawcy. Jak by na to nie patrzył, wszystko wskazywało na Alojza. Miał motyw i sposobność – dług u Bolka oraz miejsce, w którym pracował brat. W marcu nie musieli się obawiać przypadkowych świadków w ośrodku. A to, że był na tyle głupi, aby przyprowadzić tu Szyszkę i pokazać jej trupa, dawno powinno skończyć się dla niego aresztowaniem, gdyby ta baba miała choć odrobinę rozsądku. Właśnie dlatego uwierzył, że naprawdę widziała zwłoki, zanim jeszcze sam je zobaczył – to było tak niewyobrażalnie głupie, że musiało być prawdziwe i pasowało do takiego przetrąconego geniusza zbrodni jak Alojz.

W kącie garażu znalazł stos butelek po wódce i piwie, ale dopóki technicy nie sprawdzą, do kogo należą pozostawione na nich odciski palców, trudno zgadywać, czy to Zyśko wpadał do starego druha przez ostatnie dwa lata, czy dzieciaki popijały w garażu, nie wiedząc, że mają makabryczne towarzystwo.

Swoją drogą, prawie nie czuł smrodu. Może proces rozkładu już się skończył, a może mikroklimat sprawił, że ciało uległo zasuszeniu? Cholera wie – to też zostawiał tym, którym płacą za grzebanie się

w trupach. Po trzydziestu latach w zawodzie miał mocny żołądek, ale to nie znaczyło, że rwał się do zagładania pod giezło, którym owinięte były szczątki.

Wyszedł na zewnątrz i przez chwilę się rozglądał. Czy gdyby przyszedł tu sam, nie wiedząc, że jest tu coś takiego jak garaż na łodzie, to odnalazłby wejście pośród gęstych chaszcz, w dolince zarośniętej rzeczki, dużo poniżej ścieżki wiodącej na plażę? Raczej nie. Techników też pewnie trzeba będzie przyprowadzić tu za rączkę.

Buty, zdecydowanie nieodpowiednie na brodenie w śniegu, ślizgały się, gdy wspinał się na ścieżkę. Szedł do ośrodka, szurając i rozglądając się na boki. Miał dziwne wrażenie, że ktoś patrzy na niego z ukrycia, ale przecież dostrzegłby go na tle całej tej bieli, zwłaszcza że wokół nie było gdzie się schować. Ta zwariowana noc bez wątplenia podkarmiła jego wyobraźnię.

Widział już bryłę ośrodka, kiedy przyszło mu coś do głowy. Skręcił ze ścieżki i poszedł na przełaj. Brodząc w śniegu sięgającym do pół łydki, okrążył budynek. Zrekonstruował w głowie układ jego wnętrza, by przypomnieć sobie, na którą stronę wychodzi okno w sypialni Marii. Przeszedł się pod nim, dziabiąc śnieg patykiem.

Po kwadransie obszukiwania krzaków i zasp wszedł do budynku, poirytowany i z przemoczonymi butami. Trupa, o którym opowiadała Aniela, nie znalazł. Był pewien, że nie ściemniała, jednak jedyne, co znalazł pod oknem, gdy odgarnął wierzchnią warstwę śniegu, to czerwone plamy i ślady ciągnięcia. A to zostawiało go z deficytem zwłok.

*

Marek Garstka potrzebował kwadransa, by dotrzeć do ośrodka policyjnego. W nocy, w czasie burzy i śnieżycy, pokonanie tego odcinka byłoby wyzwaniem, ale nie w ciągu dnia, w porządnym butach i przy dobrej widoczności. Kolejnych pięć minut zabrało mu przekonanie kolegów przez telefon, że nie, to nie żart, naprawdę potrzebuje ekipy śledczej i tak, w swoim dniu wolnym wpadł na zwłoki. Postanowił na razie nie wspominać, że to prawdopodobnie zwłoki jego ojca. Zbyt trudno byłoby to wytłumaczyć.

*

I już po wszystkim, pomyślała Magda, obserwując parkujące pod domem furgonetkę i samochód Moniki, który wujek Marek wyciągnął z rowu, pewnie z pomocą mundurowych. Domyślała się, że teraz przed nimi wszystkimi mnóstwo wyjaśnień, a także oczekiwanie na wyniki sekcji i śledztwa, na decyzje prokuratora dotyczące babci, Szyszki i Alojza, a także ocenę tego, co się właściwie wydarzyło poprzedniego wieczoru.

Magda zamierzała się upierać, że Alojz na nie napadł i pozbawił wolności, czyli porwał, choć podejrzewała, że wraz z nadejściem poranka większość tego, co się tu stało, rozejdzie się po kościach i nawet uczestnicy nieszczęsnego balu tajemnic będą starali się wyrzucić z pamięci najbardziej nieprzyjemne momenty, aż zostanie tylko irytacja z powodu udziału w nieudanej imprezie i poczucie lekkiego dyskomfortu.

Wuj Anatol już właściwie znajdował się w tej fazie. Kręcił się koło Szyszki, odstawiając dziwaczną odmianę flirtu, jakby zapomniał, że była kochanką jego brata, a jego samego podejrzewała o udział w konspiracji, zwabiła tu i trzymała pod bronią. A może właśnie to go w niej pociągało? Magda nie potrafiła stwierdzić, co właściwie myśli o swoim stryjecznym dziadku, ale intuicja podpowiadała jej, że oto odkryła tego członka rodziny, za którym nie będzie tęsknić, gdy na powrót zniknie z jej życia.

Ksiądz urobił jednego z policjantów, przekonując go, że dziś niedziela i on ma boskie zobowiązania. Zanim się spostrzegła, był już w drodze do miasta. Zostawił auto z przebitymi oponami i Magda raczej nie wątpiła, że to nie on zapłaci za holowanie go do warsztatu. W świetle dnia ksiądz Stanisław nabrał pewności siebie i chyba całkiem wyparł tych kilka słów prawdy, które usłyszał poprzedniego wieczoru.

Doktor Felicja konsekwentnie go ignorowała, ale kiedy zobaczyła, że się zwija i ma transport, po prostu wsiadła na tylne siedzenie radiowozu, by jak najszybciej opuścić to wariatkowo, w którym ugrzęzła na wiele godzin. Miała dosyć imprez na dłuższy czas.

Zostały same Garstki. I Aniela, będąca właściwie jedną z nich, nawet jeśli nosiła inne nazwisko. Oraz Straszewicz, który to szaleństwo znosił nad podziw dobrze, choć wyraźnie rozdrażniony wspominał coś o brakujących zwłokach. Jakby mu było mało.

Magda uznała, że wyrobiła zimowy przydział. Latem znalazła pierwsze zwłoki. Jesienią kolejne. Jeżeli o nią chodziło, do trzech razy sztuka w zupełności wystarczało i wiosną nie zamierzała znajdować już żadnego ciała. Dosyć. Jej kariera przypadkowej znajdowaczki trupów musiała dobiec końca. Tym razem trafiła zbyt blisko domu – bliżej nawet niż jesienią, kiedy ciało ukryto w ich pensjonacie. Teraz zmarłym okazał się ktoś z rodziny, a to zmieniało absolutnie wszystko.

– To będzie długi dzień – powiedział niechętnie Marek, przysiadając się do bratanicy, która, usadowiona na wysokim parapecie, obserwowała wszystkich jak z bocianiego gniazda.

– Sierżant sztabowy będzie nas maglował? – zapytała cicho.

– Musi. Spisanie raportów to absolutne minimum tego, co powinien dziś zrobić.

– Jak się z tym wszystkim czujesz? – zapytała.

- Ze śledztwem? Na luzie, to wciąż jego sprawa.
 - A z resztą?
 - Resztę muszę przetrwać, bo na razie sam nie wiem, co o tym myślę, co czuję.
- To mogła zrozumieć bez trudu.

*

Maria chciała mieć to wszystko za sobą. Jak najszybciej. Straszewicz proponował, żeby może najpierw pojechała do domu, odpoczęła, przebrała się, ale czuła, że działa na ostatniej kreseczce baterii i może się załamać w każdej chwili. Nie potrafiła nawet sprecyzować, co czuje. Zamęt? To na pewno. I ulgę. Ale też gniew. Czystą złość, bo przez prawie dwa lata zżerało ją poczucie winy za cudze zbrodnie. Chciała po prostu zamknąć ten rozdział, kiedy więc Marek zaproponował, że zabierze ją, Anielę i dziewczyny autem Moniki do Ustki, zgodziła się natychmiast. Straszewicz zagonił jednego z młodszych posterunkowych z ośrodka, by wymienił mu przebitą oponę, i już kilkanaście minut wcześniej pojechał na komisariat, gdzie miał na nie czekać.

Anatol zmienił koło w swoim samochodzie i zaproponował Szysce odwiezienie do komisariatu, gdzie miała składać wyjaśnienia. W jej samochodzie Alojz przebił dwie opony. Sadząc po jej zaskoczonych minach, kiedy je zobaczyła, nie było to częścią ich planu. Maria zerkała na nich zza szyby, kiedy opuszczała dom na Uroczysku, i pomyślała, że Anatol i Bolek byli jednak ulepieni z jednej gliny, tyle że Anatol był głupszy. Bolek zresztą zawsze to powtarzał. Mówił też, że Anatol zazdrościłby mu nawet papierka po cukierku. Teraz rozumiała to trochę lepiej.

*

Spisywanie przebiegu wydarzeń zajęło kilka godzin i wlekło się w nieskończoność. Maria z ulgą zauważyła, że Straszewicz konsekwentnie używa terminów, które stawiają ją w pozycji świadka, a nie podejrzanego. Nie drążył kwestii leków uspokajających, które podawała Bolkowi, jakby ten temat go nie interesował. A potem po prostu dał jej do podpisania krótki protokół i powiedział, że może iść do domu. Gdyby oświadczył, że teraz wsadza ją do aresztu, byłaby mniej zdziwiona.

- Tak po prostu? – zapytała z niedowierzaniem.
- To na razie wszystko, czego od pani potrzebuję. Zobaczymy, co stwierdzą patolodzy po oględzinach szczątków, i co powie Alojz, gdy go złapiemy. Na razie proszę odpocząć. Może pani też dopilnować, żeby te dwie sikorki wypoczęły, bo jeśli ja im powiem, że wyglądają jak śmierć na chorągwi, to gotowe rzucić się w wir przygód, byle mi dowieść

błędnej oceny sytuacji.

Uśmiechnął się pod wąsem, a Maria, ku własnemu zaskoczeniu, odpowiedziała uśmiechem.

*

Zgarnęła wnuczki, które czekały na nią na ławce w korytarzu, i powiedziała:

– Nie wiem jak wy, ale ja marzę o kąpieli. I gorącej herbacie.

– I ciastku – dodała Magda.

Dopiero w samochodzie zaczęły ją przygotowywać na to, co zastanie na miejscu.

– To tylko wygląda tak źle – zapewniała Magda. – Rynna i tak była do wymiany. Jedna szyba to żadna katastrofa, poza tym mamy ubezpieczenie... Po prostu zdarzenie losowe – trajkotała.

– Mogło być gorzej, na szczęście zdążyliśmy pozamykać okiennice – dodała Monika.

Maria przytaknęła, przygotowując się w duchu na cios.

Kilka minut później siedziała na krawędzi schodka, roztrzęsiona i na granicy hiperwentylacji.

Jak przez mgłę docierały do niej słowa Magdy, która dzwoniła do Marka i kazała mu tu natychmiast przyjechać, razem ze Straszewiczem.

Aniela coś do niej mówiła, ale Maria nie potrafiła poskładać dźwięków w słowa o określonej treści.

Głowę znów miała zadziwiająco lekką, niczym wypełniony helem balonik.

Przestała ostro widzieć, wszystko wokół się rozmywało. Spanikowana wstała, a wtedy zapadła ciemność, poprzedzona bólem głowy i dziwnym tąpnięciem.

Nie zdążyła zarejestrować, że to odgłos jej własnego ciała spadającego ze schodka.

ROZDZIAŁ 25

– Co ty mówisz, Madziu, jakie zwłoki? Czy ty jesteś w szoku? – dopytywał oszołomiony Marek.

– Trup! Martwy! Na schodach do mieszkania babci! W samych kałesonach i podkoszulku. Leży twarzą w dół, nie będę go obracać...

– Nie obracaj w żadnym wypadku! – zawołał Marek.

– Wujku... Powiedz sierżantowi Straszewiczowi, że to może być ten nadprogramowy trup z ośrodka. Pani Aniela wydaje się zaskoczona, że znalazł się tutaj, ale nie tym, że w ogóle jest – dodała ostrożnie.

I właśnie wtedy babcia zemdląła, jakby ktoś jej podciął sznurki, które jakoś trzymały ją na nogach przez ostatnie godziny. Magda nie zdążyła do niej doskoczyć i z przerażeniem, jak w zwolnionym tempie, patrzyła na babcię spadającą ze schodków bezwładnie niczym kłoda.

– Wezwij pogotowie! Natychmiast! – krzyknęła w telefon.

– Ten trup jednak żyje? – spytał zdezorientowany Marek.

– Babcia! – zawołała i rzuciła się na ratunek.

Jej kuzynka i Aniela już były przy Marii. Monika, która zaliczyła kurs pierwszej pomocy, przejęła dowodzenie. Wraz z Magdą i Anielą ostrożnie ułożyła zemdloną Marię na wznak i odchyliła jej głowę, jednocześnie polecając Magdzie uniesienie nóg babci. Z ulgą odnalazła puls, choć słaby, uspokoiła się też, wyczuwając oddech. Maria nie reagowała, była blada jak śmierć, a z rozbitego czoła spływała strużka krwi. O wiele poważniejsze niż ta niewielka rana było to, że babcia straciła przytomność. Mogło dojść do uszkodzenia mózgu albo udaru czy zawału.

– Co się tu, do cholery, dzieje? – zapytała Aniela wstrząśnięta. – I co on tu robi? – dodała, wskazując palcem trupa, którego zastały na wycieracze Marii, rzuconego niedbale, z rozłożonymi szeroko rękami.

– A on to właściwie kto? – chciała wiedzieć Magda.

– Mundek, psia jego mać! Przecież sam tu nie przylazł! – odpowiedziała roztrzęsiona Aniela.

Chwilę potem usłyszały sygnał karetki.

Maria na chwilę oprzytomniała, gdy ratownicy kładli ją na nosze i przypinali pasami, ale była w szoku. Ponieważ mogła jej towarzyszyć tylko jedna osoba, zdecydowały, że pojedzie Monika.

– Policja już jedzie, lepiej miej na nich oko, ja dopilnuję babci – powiedziała. Magda przytaknęła bez słowa. Była przerażona. Nagle odżyły w niej wszystkie lęki i traumy: śmierć mamy w szpitalu, śmierć taty w domu, koszmar tych kilku godzin, kiedy siedziała z nim, całkiem sama...

Zaczęła płakać i nie potrafiła przestać. Mogła sobie radzić ze zwłokami, obcymi trupami, ale nie z czymś takim...

– Będzie dobrze, Madziu, nic się nie martw – pocieszała ją pani Aniela, tuląc mocno.

– A jeśli nie? – wyszłochała Magda.

– Ten trup wyczerpuje nasz przydział pecha, teraz może być już tylko lepiej – przekonywała pani Aniela i w jakiś niepojęty sposób Magda jej uwierzyła.

Zanim pojawił się Straszewicz i wujek Marek (którzy po spisaniu ich zeznań znów pojechali do Uroczyska), była już prawie spokojna.

*

– Nie mam pojęcia, jak się tu znalazł! – Anieli wystarczył sam widok wąsatego „jaszczębia”, by na wszelki wypadek pospieszyć z wyjaśnieniami, chociaż żadne pytanie nie padło. – Wie pan, gdzie myśmy go zostawili... Może on wtedy jeszcze żył? I sam tu przylazł, żeby się zemścić?

Straszewicz tylko westchnął. Dlaczego, jeśli w zasięgu wzroku pojawiały się te miniaturowe Garstki (a Anielę uważał za jedną z nich), jego życie miało nieznośną tendencję do komplikacji?

Lekarz sądowy już zapakował ciało do furgonetki. Jak zwykle nie spieszył się z podaniem przyczyny śmierci i nie szafował opiniami, ale to, co sierżant sztabowy z niego wydusił, zgadzało się w dużej mierze z tym, co wcześniej powiedziała mu Aniela – liczne rany klute. Patolog stwierdził też urazy pośmiertne twarzy i głowy, prawdopodobnie wskutek upadku ze znacznej wysokości. Na odpowiedzi – kiedy, jak i gdzie – Straszewicz musiał poczekać.

– A skąd ja mogę wiedzieć?! – wykrzyknęła Magda, choć o nic jej nie pytał, po prostu przyłapała jego spojrzenie. – Może skrzydeł dostał albo krasnoludki go przeniosły? A może ciągle nie złapaliście Alojza Zyški, który jako jedyny miał powody, by zabić brata i podrzucić jego ciało mojej babci. Widać raz mu nie wystarczył. Może powinniście go oskarżyć nie tylko o morderstwo, ale i o próbę zabójstwa babci? Bo może o to mu chodziło? Żeby dostała zawału? Szyszka nie zniknęła, mieliśmy na nią oko, ale Alojz wyparował, prawda?

Straszewicz z uznaniem pokiwał głową – dziewczyna rozumowała prawidłowo. On sam podejrzewał Alojza o przeniesienie zwłok, odkąd się dowiedział o znalezieniu ciała przy pensjonacie i skojarzył to ze śladami pod oknem Wielkiej Niedźwiedzicy. Owszem, szukali go. Sprawdzili jego dom, pracę, rodzinę. Samochodu szukał każdy radiowóz w województwie i nie tylko, bo komunikat o zbiegu poszedł szerokim kanałem. Na razie jednak nie było po nim śladu. Najwyraźniej, gdy idioty poszukiwały wszystkie patrole w okolicy, on targał ciało brata na

próg Marii. Straszewicz był pewien, że niektórych przestępców nigdy nie zrozumie. Byli zbyt głupi i nieprzewidywalni.

– Chcę jechać do babci – powiedziała Magda. – Pan mnie tu już chyba nie potrzebuje?

– Proszę mi wierzyć, zdołam wykonać swoją pracę bez nadzoru, robię to już jakiś czas. Dłużej, niż panienka żyje – odpowiedział z ironią.

Wyprostowała się, jakby nagle dostała zastrzyk energii.

– Bierze mnie pan pod włos, nieładnie – stwierdziła.

– Proszę wziąć wuja i jechać do szpitala, nic tu po was – powiedział pojednawczo.

Kiwnęła głową.

*

Maria obudziła się w szpitalu i wcale, ale to wcale jej się to nie podobało. Natychmiast chciała wyjść, nie zawracając sobie nawet głowy ubieraniem się, ale Monika przytrzymała ją i zawołała pielęgniarkę.

– Nic mi nie jest? – Deklaracja Marii zabrzmiała jak pytanie.

– Robią jakieś testy. Na razie wiedzą tyle, że to nie zawał i nie udar. Ale zemdlłaś i byłaś dłuższą chwilę nieprzytomna. A potem znów zemdlłaś w karetce i nie mogli cię docucić. – Monika miała spuchnięte od płaczu powieki i całą twarz umazaną resztkami wczorajszego tuszu do rzęs.

– Wszystko będzie dobrze, to tylko szok – przekonywała ją Maria, choć nie była tego wcale taka pewna. Pamiętała to dziwne uczucie, jakby jej własna głowa unosiła się nad ciałem jak balonik.

Kilka minut później przy jej łóżku pojawił się lekarz. Przynajmniej taką Maria miała nadzieję, bo wyglądający na dwadzieścia pięć lat, ciemnowłosy chudzielec z wielkimi oczyskami zerkającymi na nią zza szkieł mógłby być jej wnukiem.

– Dzień dobry, pani Mario, cieszę się, że się pani obudziła. Napędziła pani wnuczce trochę strachu – powiedział ciepłym głosem.

– Co mi się stało? – zapytała cicho.

– Patrząc na wyniki badań, podejrzewam hipoglikemię i skandalicznie niskie ciśnienie. Wnuczka opowiedziała mi o okolicznościach zemdlenia, więc nie wykluczam, że szok też dołożył swoje. Czy pani cokolwiek dziś jadła? I czy piła pani wystarczająco w czasie ostatniej doby? – dopytywał.

Wtedy do Marii dotarło, że jest już grubo po południu – zegarek nieubłaganie pokazywał czternastą – a ona nie miała nic w ustach od wczorajszej kolacji.

Lekarz chciał ją przytrzymać jeszcze przynajmniej godzinę, aby podać jej kroplówkę i zrobić jeszcze kilka badań, ale zapewnił ją, że będzie mogła wrócić do domu, gdy ciśnienie i cukier osiągną bezpieczne

poziomy.

Kiedy do szpitala dotarli Marek i Magda, czuła się już dużo lepiej. Mogła usiąść bez zawrotów głowy.

– Wszystko w porządku – zapewniła, widząc ich zmartwione miny. – Przegapiłam śniadanie i tyle. Za chwilę możemy wracać do domu... Tylko czy...

– Ciało już zabrali. – Marek domyślił się, co ją martwi. – Jeszcze chwilę się tam pokręca, ale generalnie to już nie twój problem. Masz wystarczająco wielu świadków na to, co robiłaś w ostatnich godzinach, żeby się nie zamartwiać.

Nagle Maria sobie przypomniała coś, o czym mówiła jej Szyszka poprzedniej nocy.

– Alojz może mieć klucze do mojego mieszkania... Marek, a jeśli on tam jest i czeka? – zapytała przejęta.

Marek zadzwonił do Straszewicza i przekazał mu tę informację.

– Zajrzyj tam, z łaski swojej, żeby mi mama znów nie zemdlała z szoku, kiedy wejdzie do środka. Zapasowy klucz jest pod tą białą doniczką w czerwone kropki na kuchennym parapecie.

Po chwili Straszewicz oddzwonił. Klucz przepadł bez śladu.

*

Kiedy wrócili do Ustki, Marek odesłał Marię i dziewczyny na górę, do mieszkania Magdy, a sam postanowił sprawdzić mieszkanie matki. Tak na wszelki wypadek. Alojz nie byłby chyba aż tak bezmyślny, żeby tu na nią czekać, ale znając bezmiar jego głupoty, należało oczekiwać wszystkiego. Ekipa policyjna sprawdzała schody, ale do mieszkania nikt nie zaglądał. Alojz musiał wiedzieć, że jest poszukiwany. Może pomyślał, że tu go nikt nie będzie szukał? Tylko po co zostawiałby trupa na wycieraczce?

– Nie próbuj zrozumieć logiki tego typu, bo się spocisz – rzucił Straszewicz, wchodząc za nim do mieszkania. Obaj przystanęli, patrząc na potworny bałagan. – Zapewne twoja matka tego tak nie zostawiła?

– Mama jest pedantką. A ten palant pewnie o tym wiedział od mojego ojca – odpowiedział Marek i zacisnął zęby.

– Musimy zebrać odciski. Potem możesz sprzątać. – Straszewicz wyjrzał na schody i zawołał technika.

– Co tu się, do cholery, dzieje? – mamrotał Marek. – To było takie spokojne miasteczko.

Straszewicz mógł powiedzieć, że przestało takie być wraz z powrotem Magdy, ale to byłby cios poniżej pasa.

*

Maria wyszła z łazienki wnuczki, trzymając w dłoni test ciążowy.

– Kochanie, czy chcesz mi o czymś powiedzieć? – zapytała z absolutnym spokojem.

Obie dziewczyny zaczęły się śmiać jak opętane i Maria nie potrafiła zrozumieć dlaczego.

– Ta jedna kreska znaczy, że tak czy że nie? – dopytywała.

– Nie jestem w ciąży, Monika też nie – zapewniła Magda.

– To chyba dobrze? – powiedziała Maria, choć musiała przyznać, że zrobiło jej się odrobinę smutno. Może była już gotowa na to, by zostać prababcią?

– To mój test – przyznała Monika, bo uznała, że babcia jednak lepiej zniesie podejrzenie ciąży u zamężnej wnuczki niż u tej niezamężnej.

Co tylko jej przypomniało, że musi zadzwonić do Marcina. Nic mu nie mówiła o swoich podejrzeniach, ale był jak żaba i niektóre rzeczy po prostu wchłaniał przez skórę. Zwłaszcza emocje. Poprzedniej nocy nie miała zasięgu, a do rana rozładowała jej się komórka, ale była pewna, że gdy ją naładuje, odkryje tam więcej niż jedną wiadomość od męża.

*

Reszta dnia minęła spokojnie. Marek pomógł posprzątać szkody, których narobiła burza, umówił też wizytę znajomego fachowca, który miał ocenić, co właściwie należy zrobić z rynną. Pod wieczór wrócili z Łodzi Czarek i Tamara. Przez dłuższą chwilę nie wierzyli, że to, co im opowiadała kompania Garstek o minionym wieczorze, dwóch trupach, szantażu, porwaniu i heroicznym wyczynach, jest prawdą.

– Nawet na kilka dni nie można was zostawić, żeby nie doszło do jakiejś katastrofy! – zawołała Tamara, kiedy dotarło do niej, co przydarzyło się jej bliskim.

– Za burzę, śnieżycę i urwaną rynnę nie ponosimy żadnej odpowiedzialności – zapewniła Monika.

– Za trupy też nie – dodała Magda, która zauważyła lukę w zapewnieniach kuzynki.

*

Anna Garstka dowiedziała się o wszystkim pocztą pantoflową. Spakowała się i przyjechała od razu, zła na męża, że nic jej nie powiedział. Markowi było głupio, bo straciła przez to jeden nocleg, ale też musiał przyznać, że cieszył się jak wariat – jego żona nareszcie była w domu.

– Odbijemy sobie z dziewczynami w czasie ferii, tylko znajdziemy jakieś SPA bliżej Ustki. Wygląda na to, że nie możemy wyjechać na drugi koniec Polski, bo zaraz wpadacie w tarapaty. I cały ten mój relaks diabli

wzięli, gdy dotarły do mnie nowiny o morderstwach i Marii w szpitalu – powiedziała.

Nie kłócił się. Weźmie trochę nadgodzin, by starczyło jej na miły weekend. Czuł, jak szaleństwo ostatniego dnia ustępuje przed jej zdrowym rozsądkiem i spokojem. Jakby wreszcie zawinął do portu.

*

Jeśli coś dobrego wyniknęło z tego idiotycznego zamieszania, poza rozwiązaniem sprawy sprzed dwóch lat, to właśnie to, pomyślał Straszewicz, wnosząc po schodach walizkę Danusi. Wróciła z Anką Garstką dzień wcześniej, a on z trudem ukrywał uśmiech pod wąsem.

– Opowiadaj, ponoć chryja niewąska – powiedziała jego żona, ledwie przekroczyli próg.

– Pewnie jesteś głodna – odparł z nadzieją, bo resztkę przypalonego bigosu splukał z obrzydzeniem w toalecie i sam był równie głodny, jak stęskniony za żoną.

Prychnęła i zaczęła wyciągać z szafki składniki.

– Lepiej niech to będzie dobra historia. – Pogroziła mu palcem. – Warta moich meksykańskich omletów!

– Kochana, brała w tym udział cała rodzina Garstek, chryi jeszcze na deser starczy – zapewnił.

Ona kręciła się po kuchni, on mówił, a potem jedli, a on wciąż snuł opowieść.

– Niemożliwe! – wykrzykiwała co jakiś czas i z niedowierzaniem dopytywała o szczegóły.

A gdy już myślała, że doszedł do końca, skoro wspomniał o szczątkach Bolka w starym garażu, opowiedział jej o nieoczekiwanym odkryciu ciała Mundka na schodach u Marii.

– One naprawdę są bardziej szalone w kumulacji – przyznała Danusia.

– Rozkręcają się. Dobrze, że ta emerytura już całkiem niedaleko.

ROZDZIAŁ 26

Kolejne dni wypełniało czekanie. Na wyniki sekcji zwłok – jednych i drugich. Na postępy śledztwa. Na decyzję prokuratury. Na aresztowanie.

Maria krzątała się po pensjonacie i robiła porządki. Piekła absurdalną liczbę ciasteczek, babeczek, bułeczek, bo pieczenie zawsze ją uspokajało, choć potem zamartwiała się, kto to wszystko zje. Przydatni w tej kwestii okazali się trzech robotnicy mocujący nową rynnę i wymieniający uszkodzone parapety i okiennice. Co ważniejsze – okazali się dyskretni, nie ciągnęli Marii za język, choć musieli słyszeć plotki. Wszyscy słyszeli. Ustka buzowała niczym rój pszczoł w potrząśniętym ulu.

Maria czuła na sobie spojrzenia, gdy robiła zakupy. Słyszała urywające się szepty, kiedy wchodziła do drogerii. Z okien pensjonatu widziała ożywienie na ulicy – wyglądało to tak, jakby pół miasteczka postanowiło wybrać się w tę okolicę na spacer w nadziei, że wróci z jakimś smakowitym plotkarskim kąskiem. Maria wiedziała też, że Magda doświadcza tego samego w kawiarni.

W pewnym sensie nie dziwiło jej to zainteresowanie. Nie co dzień w Ustce odkrywano zwłoki. Nie co dzień dochodziło do morderstw. Byłaby bardziej wyrozumiała wobec tego niezdrowego podekscytowania, gdyby nie znajdowała się w samym oku cyklonu.

I oczywiście nic nie działo się tak szybko, jak tego oczekiwała. W zakładzie medycyny sądowej połowa pracowników była na urlopie, a druga wychodziła z założenia, że początek roku to nie jest czas na nadgodziny. Martwi mogli poczekać, żywi niech się uzbroją w cierpliwość.

Marii cierpliwość skończyła się drugiego dnia oczekiwania. A to było trzy dni temu. I skoro minęło już piątkowe południe, obawiała się, że przed nią jeszcze cały weekend czekania. Zwariuje.

Jej wnuczki trzymały się blisko, jakby się obawiały, że za chwilę się załamie, pęknie, rozbierze do majtek i z krzykiem zacznie biegać po zaśnieżonym podwórku. Rozważała to, nie będzie się wypierać. Aniela musiała pojechać do swego mieszkania dopilnować odpowietrzenia kaloryferów przez fachowca ze spółdzielni, ale potem wróciła do pensjonatu i kręcąc się czujnie w okolicy, „strącała helikoptery paparazzo” – czyli, wedle jej własnej terminologii, brała na klatę tych odważniejszych, którzy zapuszczali się na podwórko, by gapiąc się na schody do mieszkań Marii i Magdy, zapytać: „To tu leżał nieboszczyk?”.

Nikt nie pytał: „Czy zabiłaś go, Mario?”, ale wyglądało na to, że plotka stugębna o jej starciu z Mundkiem dotarła już wszędzie i wyewoluowała

w coś dużo, dużo większego. Miała to być gruba pijacka awantura w samo południe w monopolowym, w czasie której Maria nie tylko poturbowała Zyskę, ale też groziła mu śmiercią i ostrzegła, że lepiej, by z nią nie zaczynał, bo nie będzie to pierwszy raz, kiedy ukatrupi faceta, który podniósł na nią rękę.

Maria obawiała się, że jeśli śledztwo rozciągnie się na kolejne tygodnie, ulica uzna, że to ona odpowiada osobiście za wszystkie zaginięcia i niewyjaśnione zgony mężczyzn w województwie z ostatnich trzydziestu lat. Żony zaczną mordować mężów i puszcząć plotkę, że ci jeszcze za życia narazili się Marii Garstce, więc w sumie sami byli sobie winni.

No dobrze, może było w tym trochę przesady, ale Maria czuła się tak zmęczona i wytrącona z równowagi, że jej obawy bywały nieadekwatne do sytuacji. Jak wtedy, gdy poprosiła w sklepie o śmietanę dwanaście procent, a ekspedientka odpowiedziała, że nie ma. Maria zaczęła płakać, bo w jej zapętlonym i umęczonym umyśle zabrzmiało to, jakby pani Bożenka mówiła: „Nie sprzedam ci śmietany, nie jesteś tu mile widziana”. Nawet nie przyszło jej do głowy, że dwunastka po prostu się skończyła. Wróciła do domu z kubeczkim osiemnastki, wstrząśnięta własną reakcją. Aniela, która na opak zinterpretowała jej minę i zaczerwienione oczy, chciała iść „zrobić porządek” z Bożenką i każdym, kto sprawił Marii przykrość. Cokolwiek owo „zrobić porządek” w tym kontekście mogło oznaczać.

Marek każdego dnia wpadał do pensjonatu co najmniej raz. Zawsze miał jakiś pretekst, ale Maria wiedziała, że się niepokoi i próbuje trzymać rękę na pulsie. Za każdym razem niezmiennie spodziewała się, że przyniesie jej jakieś nowiny. Kiedy przyjechał w czwartek, wyraźnie stropiony, myślała, że to już.

– Szyszka pojawiła się na komisariacie, chciała ze mną rozmawiać – powiedział po chwili, jakby z wahaniem.

– Cóż jeszcze miała do powiedzenia? – zapytała sucho Maria.

– Przepraszała. Prosiła, bym przekazał ci przeprosiny, raz jeszcze. Nie chciała przychodzić, by cię nie „niepokoić”. Podobno szuka pomocy psychiatrycznej.

– Choć tyle rozumu jej zostało – odpowiedziała Maria, której współczucie dla kochanki męża z czasem wyparowało. Może wtedy, gdy musiała zebrać poukrywane w mieszkaniu i pensjonacie anonimy, by oddać je Straszewiczowi?

– Prokuratura nadal nie wystawiła aktu oskarżenia. Chyba nie wiedzą, jak to ugryźć. Za to Szyszka już ostro pracuje nad obroną. Słyszałem, że będzie szła linią chwilowej niepoczytalności.

– Każdy, kto ją tam widział, przyzna, że zachowywała się jak wariatka – przyznała Maria. – Sama nie wiem, czego jej życzę – dodała

po chwili. – Naraziła nas na niebezpieczeństwo i urządziła piekło, ale... – urwała, niepewna, jak to ująć.

– Gdyby nie ona, nie wiedzielibyśmy, co się stało. A ojciec dalej rozkładałby się w garażu na łodzie.

– A ja wciąż żyłabym z tym ciężarem. Chyba mi ten koszmar wyszedł na zdrowie.

Marek przytulił mamę bez słowa.

Nie wspomniał, że zaczyna powątpiewać, czy Szyszkę faktycznie spotka jakaś kara za to, co zrobiła. Miną miesiące, nim odbędzie się rozprawa. Miał dziwne wrażenie, że wszystko, co się wydarzyło tamtej nocy w domu na Uroczysku, rozmywa się niczym koszmarny sen. Prokurator rozmawiał z nim i Straszewiczem kilka razy i nie wykazał wiele zrozumienia.

– Dwóch doświadczonych policjantów dało się sterroryzować wątłej kobiecie z repliką broni? – zapytał z powątpiewaniem.

Tylko tyle miał do powiedzenia po przeczytaniu ich raportów. A Marek nie bardzo potrafił mu wytłumaczyć terror tamtych godzin, niepewność o bezpieczeństwo matki, lęk o córkę i bratanicę, dziwne splątanie emocji i sztormu, które wszystko pogarszało.

A jeśli wziąć pod uwagę, że Szyszka miała zaskakująco spory majątek i bardzo dobrego prawnika, podejrzewał, że do rozprawy może w ogóle nie dojść. Maria powiedziała mu, że jeśli się odbędzie, nie zamierza w niej uczestniczyć, chyba że wezwą ją na świadka, choć miała nadzieję, że tego nie zrobią. Chciała zapomnieć o istnieniu Zofii Szyszki, więc starał się nie rozdrapywać ran.

– Chciałabym już po prostu wiedzieć, na czym stoję – wyszeptała, wtulona w jego sweter.

Doczekała się w piątek przed czternastą.

– Są już wyniki sekcji – powiedział na powitanie.

Maria zamarła, łyżka, którą mieszała zupę, wypadła jej z dłoni i z pluskiem opadła na dno garnka. Garstka pochyliła się i czekała. Nie mogła się odwrócić. Nie chciała, żeby syn zobaczył kłębiące się w niej teraz emocje.

– U taty nie znaleziono śladów leków. Za to stwierdzono ślady pięciu ciosów ostrym narzędziem. Najpewniej przebiły mu wątrobę i płuco, wykrwawił się. Próbuje dopasować narzędzie zbrodni, ale to jeszcze potrwa – powiedział rzeczowym tonem, jakby nie chodziło o jego własnego ojca.

Maria czuła, że zaczyna drżeć. Zacisnęła palce na krawędzi blatu i zapytała cicho:

– A Mundek?

– Zdziwiająco podobnie. Pięć ciosów ostrym narzędziem w tors. Sporo wątpliwości wzbudziły obrażenia pośmiertne, jakby wypadł

z okna. Kto by pomyślał... Ale najważniejsze dla nas jest to, że według patologa Mundek zmarł jakieś pięć godzin przed przyjęciem, czyli w czasie, w którym masz niepodważalne alibi. Podobnie jak Aniela, Magda, Monika czy ja, a nawet Szyszka. Zostaje więc niewiele możliwości.

Maria poczuła obezwładniającą ulgę, gdy dotarło do niej, co właśnie powiedział jej syn. Magda siedziała w recepcji, kiedy usłyszała dobiegający z kuchni niski głos wujka. Zakradła się i nasłuchiwała. Ciągłe jeszcze miewali, on i babcia, zapędy do „chronienia jej przed faktami”, jakby była dzieckiem, które zemdleje, gdy usłyszy słowa takie jak „zwłoki” czy „sekcja”.

– Pięć ciosów ostrym narzędziem? – zapytała, wchodząc do kuchni. – Czy układ ran jest podobny?

Marek spojrzał na nią zaskoczony.

– A i owszem – przyznał. – Rozkład i kierunek sugeruje też to samo narzędzie.

– Na pewno już pomyśleliście o ościeniu Alojza? Zaatakował nim Monikę. Gdybym miała zgadywać, może być jego bronią podręczną, bo nosi go ze sobą cały czas.

Marek przez chwilę milczał, a potem wyciągnął komórkę i wybrał numer Straszewicza. W teorii trzymał się od sprawy z daleka, ale ten szczegół warto było sprawdzić.

– À propos Alojza, złapaliście go już? – dopytywała Magda.

– Zapadł się pod ziemię. Poszedł już za nim list gończy. Szukamy go wszędzie. Sprawdzamy wszystkich znajomych, członków rodziny, współpracowników do dwudziestu lat wstecz. Znajdziemy go. Nie jest wystarczająco bystry, żeby się nam wymknąć.

Nie dodał, że zastanawiali się ze Straszewiczem, czy Alojz nie wykorzystał przemytników i czy w tym momencie nie jest już za granicą. Na razie nikt nie składał broni. Wszyscy byli zdeterminowani, aby gościa ująć i przycisnąć, aż pęknie i wszystko wyśpiewa. Wywiady wśród znajomych Zyśków były przydatne, pozwalały zrekonstruować relację między braćmi i wydedukować, dlaczego Alojz zabił Mundka. Wyglądało to na klasyczną mieszankę agresji i chciwości. Sąsiad słyszał pijacką awanturę w piątek wieczorem, w czasie której Mundek domagał się od brata forsy za pomoc w „skubaniu naiwniaczki”. A wszyscy byli zgodni co do tego, że Alojz pieniędzmi się dzielić nie potrafił. Nawet z bratem.

Maria milczała. Miała ściśnięte gardło i bała się, że jeśli się odezwie, jej głos zacznie drżeć, załamie się, a ona wraz z nim. Wyniki sekcji pozwalały mieć nadzieję, że koniec jest blisko, ale dopóki nie ujmą Alojza... Jak nic rozejdzie się kolejna plotka: Alojz nie zapadł się pod ziemię, po prostu Maria go zamordowała i ukryła ciało. Za rok czy dwa

powinno się znaleźć. Jak zwłoki Bolka.

Magda najwyraźniej podzielała te obawy, bo powiedziała do wuja:

– Lepiej go znajdźcie, zanim tłum wieśniaków z pochodniami przyjdzie po babcię.

*

Choć rozcięcie na głowie Moniki nie wymagało założenia szwów, to było dość głębokie i gdy zaczęło się goić, swędziało jak szalone. Monika drapała się niczym ośmiolatka z wszawicą.

Postanowiła, że zostanie w Ustce na kilka dni. Marcin zdawał egzaminy i to na nich musiał się skoncentrować, a ona miała przerwę w zajęciach. Gdyby przez cały dzień oglądała telewizję, tylko by go demotywowowała.

Nie pamiętała, kiedy ostatnio miała tyle czasu dla siebie. Zdała egzaminy w terminie zerowym, dzieciaki, którym dawała korepetycje, wyjechały z rodzicami na ferie. Mogła spać, odpoczywać i popadać w egzystencjalny kryzys na samą myśl o tym, że za pół roku zrobi licencjat i właściwie nie wie, co zrobić ze sobą dalej. Dwa lata magisterki i znów te same pytania? Oglądała więc australijskiego *Masterchefa*, każdy procedural, na jaki trafiła, przeskakując między kanałami, i czekała, aż kuzynka skończy swoją zmianę w kawiarni, zrobią sobie ramen z paczki albo tosty francuskie i będą leżały w ciemności w piżamach. Tak jakby Magda nigdy nie wyjeżdżała z Ustki.

Skakała po kanałach i drapała się po głowie, gdy nagle, może przez reklamę karmy dla kotów, przypomniała sobie o czymś, co totalnie jej umknęło.

Kiedy pół godziny później Magda wróciła do domu, zastała kuzynkę krążącą w napięciu po mieszkanku.

– Magda, musimy tam wrócić!

– Gdzie?

– Do Uroczyska, do tego domu, do lasu!

– A czemu?

– Kot! Zapomnialiśmy o kocie! On gdzieś tam ciągle jest! Sam, głodny i zmarznięty! Przecież nie możemy go tam zostawić! – Głos Moniki drżał. Bała się, że będzie musiała przekonywać Magdę, ale kuzynka tylko skinęła głową i powiedziała:

– Ubieraj się, zdążymy, zanim się zrobi ciemno.

*

Zaparkowały pod zamkniętą bramą ośrodka. Chodziły po ścieżce wzdłuż ogrodzenia, nawołując: „Kici, kici!”. Zapadał zmierzch. Magda świeciła w krzaki latarką, a Monika wymachiwała plasterkiem szynki, licząc, że

koci głód będzie silniejszy niż kocia nieśmiałość.

Nagle usłyszały za sobą odgłos przypominający bardziej pisk niż miauczenie i między dwoma słupkami ogrodzenia pojawiła się mała szara główka, a chwilę później reszta kociego ciała. Monika kucnęła i wysunęła w jego stronę rękę z łapówką, a kociak z zapalem zaatakował kasek. Zdawało mu się nie przeszkadzać, że jest podnoszony, przytulany i całowany w łeppek, jak długo nie wymaga się od niego, by porzucił swój łup, który ciamkał zapamiętane.

Monika śmiała się, uszczęśliwiona, gdy wracały do samochodu.

– Nie wiem czemu, ale dopiero teraz czuję, że mamy szansę na happy end tej pokręconej historii – powiedziała.

– Jego historia już zakończyła się happy endem – orzekła Magda, wskazując na kotka.

– Właścicielka naszego mieszkania zastrzegła w umowie, że zwierzęta są niemile widziane, więc muszę mu znaleźć dom. Przynajmniej się czymś zajmę, zamiast się zastanawiać, co zrobię ze swoim życiem – stwierdziła Monika.

Gdy sztorm minął, temperatura podskoczyła w okolice zera, więc większość śniegu już stopniała, zostawiając po sobie kałuże i błocko. Droga, którą tu przyjechały, była nierówna i obawiały się, że zaryją się po oś, Monika postanowiła więc pojechać kawałek dalej, w nadziei, że przy odrobinie szczęścia dotrą do asfaltowej nawierzchni.

Prowadziła, pochylając się nad kierownicą. Była ta najgorsza do jazdy część dnia – zbyt ciemno, by widzieć ostro, ale nie na tyle ciemno, by światła mogły znacząco pomóc. Mokra szarówka i gęste zarośla też nie poprawiały widoczności.

– Zatrzymaj się! – zawołała Magda, gdy minęły ostry zakręt.

– Czemu?

– Tam coś było! W rowie, ktoś miał wypadek – mówiła Magda gorączkowo, wykręcając głowę. Widziała zderzak wystający zza gałęzi i tylne koła oderwane od podłoża.

Wyciągnęła komórkę, kiedy Monika, wycofawszy samochód, zatrzymała się tuż za zakrętem.

Magda wysiadła i podeszła bliżej, wybierając numer wujka. Żeby zajrzeć do auta, musiała się przytrzymać nisko zwisających gałęzi. Kiedy wuj odebrał po kilku sygnałach, powiedziała:

– Znalazłam Alojza.

– Nie zbliżaj się do niego! Gdzie jesteście?

– On już chyba nikogo nie skrzywdzi... Wypadł z drogi, samochód zarył maską w rów.

Wytłumaczyła mu, gdzie są i którędy można dojechać.

– Będziemy za dziesięć minut! – zawołał.

Wróciły do auta i czekały w milczeniu.

Kotek przeszedł po podłokietniku z tylnego siedzenia i wdrapał się na Monikę, czepiając się pazurkami jej kurtki, i popiskiwaniami prosił o uwagę. Głaskała go odruchowo, a on mruczał jak mały helikopter.

*

Zająłoby dobrze ponad godzinę, zanim Straszewicz wypuścił je do domu z twardym przykazaniem, żeby z łaski swojej trzymały się z daleka od wszelkich trupów, kłopotów i morderców. Obiecały solennie, że gdyby wpadły na jakiegokolwiek zwłoki, odwrócą wzrok i odejdą, pozwalając komuś innemu znaleźć je i zgłosić ich odkrycie.

W kieszeni kurtki Alojza Straszewicz znalazł klucz do mieszkania Marii. Marek rozpoznał brelok. Kolejny element układanki wskoczył na swoje miejsce.

– Daleko nie odjechał – dobiegł Magdę głos jednego z policjantów. – Nie zdziwiłbym się, gdyby leżał tu od niedzieli.

*

Na dźwięk parkowanego na podwórku samochodu Maria uniosła głowę znad kolejnej blachy kruchych rogalików. Dwie minuty później do kuchni wparowały jej wnuczki z małym kocięciem i informacją, na którą czekała:

– Znalazłyśmy Alojza! – zawołała Magda.

– Policja go złapała? – zapytała z nadzieją.

– No uciec już nie ucieknie – odparła wymijająco dziewczyna.

Opowiedziały jej wszystko, a ona musiała usiąść, gdy nogi się pod nią ugięły. Słuchała i cały czas myślała tylko o jednym: czy możliwe, że to już naprawdę koniec?

Poczuła szarpnięcie za nogawkę. Kociak stał na tylnych łapkach, przednimi wczepiając się w wełnę jej spodni, i miauczał z wyrzutem.

– A czyj ten przystojniak? – zapytała rozbawiona.

– Musimy mu znaleźć dom – wyjaśniła Monika zza drzwi lodówki, gdzie szukała czegoś odpowiedniego dla głodnego wciąż kotka.

– Niech zostanie tutaj – powiedziała Maria pod wpływem impulsu. – Zawsze chciałam mieć kota.

Może już czas, by odważyła się go mieć?

Już czas, by latarniczka wróciła do portu.

Denat wieczorową porą

Copyright © by Aneta Jadowska 2021

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2021

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Magdalena Świerczek-Gryboś, Anna Strożek

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc m

Okładka – Magdalena Babińska / Dedodesign.pl

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2021

ISBN EPUB: 9788382102185

ISBN MOBI: 9788382102178



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa, Grzegorz Krzymianowski

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

Promocja: Piotr Stokłosa, Aldona Liszka, Szymon Gagattek, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Karolina Prewysz-Kwinto

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Paweł Kasprowicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko

finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

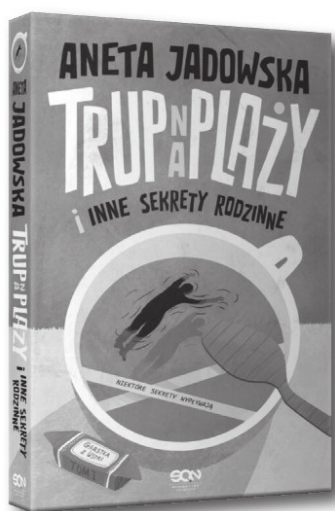
Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Strona redakcyjna

ROZRYWKOWY KRYMINAŁ W STYLU JOANNY CHMIELEWSKIEJ DLA TRZECH POKOLEŃ KOBIEC

Kiedy Magda Garstka wraca po studiach do rodzinnej Ustki, nie spodziewa się, że czeka ją najbardziej ekscytujące lato w całym życiu.

Zatrzymuje się w pensjonacie, który prowadzi jej babcia, rozpoczyna pracę w kawiarni i niedługo później... znajduje zwłoki. Kim był martwy mężczyzna? Jak zginął i czego szukał w pensjonacie Garstków?



**KAŻDA RODZINA TRZYMA TRUPY W SZAFIE.
W NIEKTÓRYCH DOMACH SZAFY SĄ WIĘKSZE**

Szukaj w dobrych księgarniach

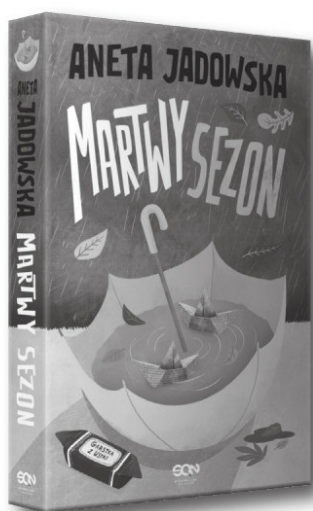
SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

MARTWY SEZON TRWA W NAJLEPSZE

Spokój to stan przejściowy, o czym Magda Garstka wie aż nadto dobrze. Wspomnienia, skomplikowane relacje, przeszłość i przyszłość. *Martwy sezon* to prawdziwa uczta dla miłośników zagadek, a także poruszająca opowieść o poszukiwaniu własnej ścieżki, o zaczynaniu od nowa na przekór światu.



**GDY USTKA PUSTOSZEJE,
NA JAW WYCHODZĄ KOLEJNE TAJEMNICE**

Szukaj w dobrych księgarniach

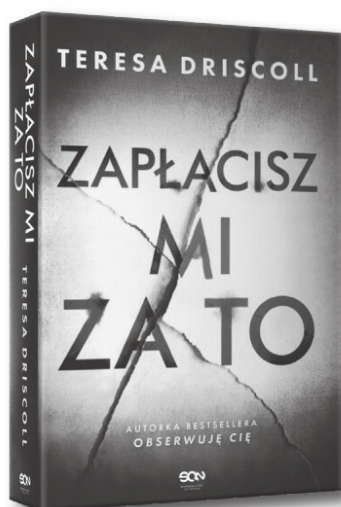


WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

DRISCOLL BAWI SIĘ TWOIMI NERWAMI I WRZUCA CIĘ DO LODOWATEJ WODY, KIEDY NAJMNIJ SIĘ TEGO SPODZIEWASZ

Ta środa jest zupełnie zwyczajna. Do czasu, aż dzwoni telefon. Alice Henderson słyszy tajemniczy głos i mrozącą krew w żyłach groźbę. Rozłącza się i traktuje to jako głupi żart wymierzony w gazetę, w której pracuje. Ale tydzień później stalker wykonuje kolejny ruch – i staje się jasne, że to Alice znajduje się na jego celowniku.



CO ŚRODĘ, JAK W ZEGARKU, WRACA STRACH

Szukaj w dobrych księgarniach

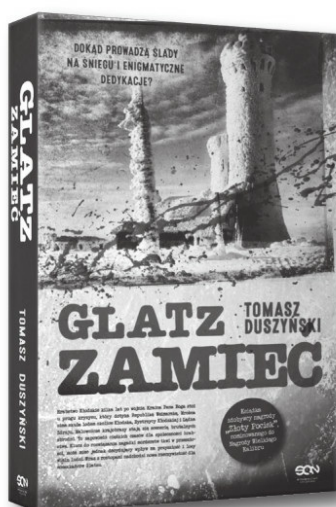


WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

KLUCZ DO ROZWIĄZANIA ZAGADKI MORDERSTW TKWI W PRZESZŁOŚCI

Hrabstwo Kłodzkie kilka lat po wojnie. Kraina Pana Boga stoi u progu kryzysu, który dotyka Republikę Weimarską. Malownicze krajobrazy stają się scenerią brutalnych zbrodni. To zapowiedź ciężkich czasów dla społeczności hrabstwa. Wraz z roztopami nadchodzi nowa rzeczywistość dla mieszkańców Glatz.



**ODKRYTA PRAWDA OKAŻE SIĘ
BRZEMIENNA W SKUTKI**

Szukaj w dobrych księgarniach

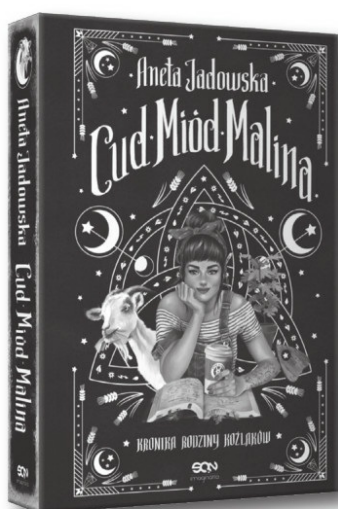


WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

MÓWIĄ, ŻE Z RODZINĄ DOBRZE WYCHODZI SIĘ TYLKO NA ZDJĘCIU... NIE Z TĄ!

Zresztą spróbujcie ustawić klan Koźlaków do fotografii. Powodzenia!
Koźlaczki – wiedźmy, kobiety magiczne i sarkastyczne,
nie poprzestają na półśrodkach i kiedy trzeba, idą na całość.
Są nieobliczalne, ale mieszkańcy Zielonego Jaru wiedzą,
że zawsze mogą na nie liczyć. A każda z nich może liczyć na resztę rodziny.
Na dobre, złe i to szalone pomiędzy.



DŁUGO WYCZEKIWANA KSIĄŻKA O NIETUZINKOWYM KLANIE KOŹLAKÓW

Szukaj w dobrych księgarniach



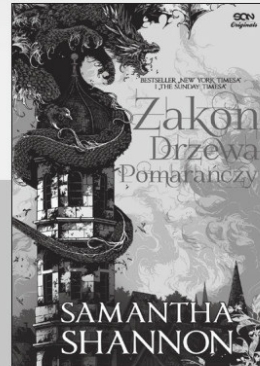
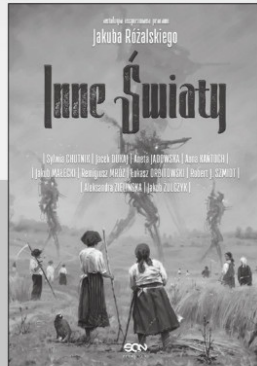
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki. Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL **labotiga**.pl